

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIX.

ROK VIII.

TOM I. — ZESZYT I.

232

Styczeń.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM
Włodzimierska, 14.

Druk ukończono 4 Stycznia 1883 r.

STANISŁAW LESZCZYŃSKI PO PUŁTAWIE.

Wynalazek „momentu psychologicznego“ nie datuje się dopiero od oblężenia Paryża, ani nie jest zasługą księcia-kanclerza niemieckiego. Przy bliższém rozpatrzeniu pokaże się, że każdy ważniejszy wypadek dziejowy ma swój „moment psychologiczny,“ że zaś od nerwów, temperamentu, zdrowia i charakteru główną w nim rolę odgrywających osobistości zależy mniejsza lub większa jego waga. Niech nam odeń właśnie będzie wolno zacząć nasze opowiadanie, niech nam osoba zacnego i poczciwego Stanisława Leszczyńskiego odpowie na zapytanie, o ile w zastosowaniu do niéj „moment psychologiczny“ miał i mógł odegrać swą rolę.

Żywot króla Stanisława trwał długo, niemal wiek cały, przedstawia się potomności różnemi swemi czasy w *różnych* odmianach. Szczególną przecież łaską dla jego pamięci dziejowéj a w nagrodę poczciwości i zacności serca, które *jedynie* przez cały ciąg jego długiego zawodu nie zmieniało się nigdy, skrystalizowała się jego postać i wpoiła w pamięć narodowéj potomności właśnie z najdodatniejszéj i najwdzięczniejszéj swéj strony. Jakiegoż to Leszczyńskiego otacza do dziś dnia dziejowa popularność, jakiż to Leszczyński przedstawia się teraźniejszéj pamięci jako wdzięczna i sympatyczna postać? Leszczyński wybraniec woli narodowéj z roku 1733, oblężeniec Gdański, nadewszystko przecież ów król-filozof, autor traktatów politycznych, jak pamiętny *Głos Wolny*, nie wymieniając innych traktatów, które przed niedawnym czasem stały się przedmiotem pięknego i wyczerpującego studium w jedném z czasopism warszawskich; Leszczyński dobroczyńca Lotaryngii, wychowujący Polsce, któréj panować wzbroniła mu obca przemoc, generacyą przyszłych statystów i żołnierzy. *Ten* Leszczyński przecież jest starcem używającym osobiście wygodnego spokoju, korzysta z wyw-



czasu, by *myśléć* dla Polski, *pracować* dla Lotaryngii, zajmuje stanowisko, które mu pozwala pełnić bezprzeszkodnie obowiązki monarchy pokojowego, Trajana czy Marka Aureliusza. Natomiast jest Leszczyński epoki, która stanowi przedmiot niniejszego opowiadania, Leszczyński młodych lat, Leszczyński czasów Karola XII *innym* człowiekiem, osobistością niefortunnie, siłą dziwacznych okoliczności wyniesioną na pierwszorzędne stanowisko, na którem by się utrzymać nie starczyły niestety ani dobre serce, ani dobra tylko wola.

Na *tém* zaś stanowisku, na stanowisku, na którém trzeba było być mężem stanu i wojownikiem, widzimy Leszczyńskiego przez dziwną ironią losu, istnie jakoby ku stwierdzeniu fizycznéj prawdy o naturalnéj atrakcyi przeciwnych sobie biegunów i pierwiastków, żywém przeciwieństwem swego przyjaciela i protektora Karola XII. Król szwedzki szukał niebezpieczeństwa, gdzie tego nie było trzeba, odzyskiwał w ogniu dobry humor i jasność oka, borykał się z niedźwiedziami, rzucał się, jak w Benderze, w wir szalonéj walki bez nadziei zwycięstwa. Inaczéj młody, światły, wymowny, ale wygodny i nic posiadający ani źdźbła żyłki rycerskiéj Stanisław Leszczyński. Stanowisko jakie zajmował w początkach swego królewskiego zawodu wymagało, jeżeli je chciał brać na seryo, osobistéj odwagi i nadstawienia własnéj osoby. Na nieszczęście widzimy, przez całe życie jego aż do chwili zawinięcia w bezpieczną lotaryngską przystań, same tylko objawy wręcz przeciwnego usposobienia i to właśnie w krytycznych przypadkach, gdzie od męztwa osobistego zależało jeżli nie zbawienie własnéj *sprawy*, to niewątpliwie ocalenie własnéj *chwały*. W kilka tygodni zaledwie po dokonanéj na polu Wolskiém elekcyi Stanisława, rusza August z Czerwonéj Rusi ku Warszawie, gdzie przebywa neoelekt wraz z szwedzkim generałem Arwedem Hornem, prymasem i co wybitniejszemi osobistościami konfederacyi Warszawskiéj, któréj swe wyniesienie zawdzięczał.

Obrona nie była niepodobną; nowéj królewskości trzeba było chrztu krwi i ognia, ku uzacnieniu i uszlachetnieniu jéj tanim kosztem zyskanego i wątpliwego początku. Wzgląd ten nie miał widocznie znaczenia w postanowieniach Stanisławowych. Na kilka dni przed Augustowym szturmem widzimy go wraz z prymasem zwijającego manatki i wynoszącego się bez boju z Warszawy, by poszukać schronienia w obozie Karolowym pod Lwowem. Mimo to utrwala się jego chwiejąca się i wątpliwa królewskość. Traktat Altransztadzki i abdykacya Augusta dają jéj urzędową sankcyą. Przez lata 1707 i 1708 znajduje wprawdzie Stanisław w Polsce oporne elementa, ale mimo to jest do pewnego stopnia panem sytuacyi, rozporządza szwedzkim korpusem generała Krassana, rozporządza

nadto znaczną siłą polską. W lipcu r. 1709 nadchodzi do Polski niewątpliwa już i autentyczna wiadomość o gromie pułtawskim. Z jednéj strony wchodzi do kraju Piotr W. ze swemi wojskami. z drugiéj powracający z Saksonii król August. Położenie trudne. ale nierozpaczliwe, przedstawiające mianowicie widoki powodzenia w razie śmiałego i obcesowego starcia się z niewiele liczniejszym Augustem; co zaś niewątpliwa, narzucające natarczywie obowiązek dobycia miecza w obronie zagrożonéj królewskości. Cóż robi Leszczyński? Usuwa się Augustowi z kraju bez boju, przenosi się w taborze generała Krassana na bezpieczne terytorium Pomorza szczecińskiego; patrzy tu ztąd jak Śmigielski doświadcza szczęścia przeciw Sasom i ich sprzymierzeńcom w Wielkopolsce, jak wielki i bohaterski protektor usiłuje popchnąć Portę Ottomańską na swych i jego najniebezpieczniejszych wrogów. W ciągu roku 1711 rzucają się sprzymierzeni Sasi, Duńczycy, Brandeburczycy i Rosyanie na szczecińskie Pomorze. Obrona była trudną, zwłaszcza w kraju przedziesiątkowanym dżumą, ale cokolwiekbądź, było znów fatalnością Stanisława, że zamiast w obronie Szczecina czy Sztralsundu widzimy go wraz z rodziną uchodzącego do Szwecyi. Wygórowane zaufanie Karola XII obdarza go z oddalenia Benderskiego stanowiskiem pełnomocnika królewskiego w Szwecyi. Karol organizuje wielką dwustronną wyprawę, która jednym zamachem ma zrestaurować zachwianą jego i jego przyjaciela fortunę. Karol, Józef Potocki, Grudziński, Zaporożec Orlik mają, oparci o muzułmańską pomoc działać od południa, kiedy Stanisław i generał Stenbock mają wkroczyć od Pomorza do Polski, podać rękę królowi szwedzkiemu w jéj sercu. Fatalność czyni znów we wrześniu roku 1712 Stanisława uczestnikiem Stenbockowéj wyprawy. Taż sama fatalność sprawia, że po wylądowaniu na brzegach pomorskich Stanisław zamiast stać się według Karolowych intencyi rzecznikiem czém prędszego pochodu do Polski, staje się znów wręcz przeciwnie doradcą kapitulacyi.

Późniéj wybucha konfederacya Tarnogrodzka z całym swym szeregiem czynów nieporządnéj waleczności. Aby z burdy, jaką konfederacya tarnogrodzka była, między szlachtą a królem o dolegliwości materyalnego ucisku, zrobić akt wielkiéj doniosłości politycznéj, trzeba było przewodniéj *myśli*. Myślą taką mógł ją obdarzyć król Stanisław, ale obecny tylko naturalnie na placu boju, zdobywający sobie swą królewskość śmiało i ambitnie, by ją następnie zużytkować na dobro kraju. Tymczasem nadaremno walczą w kraju Gwiazdowscy, Ledóchowscy, Stetkiewicze, Skórzewscy, Urbanowiczowie, Śmigielscy. Król Stanisław *patrzy* znów na nich tylko ze schronienia Zweibruckenskiego. Odtąd nadchodzi dlań chwila dłu-

giego wypoczynku z wypadkami takiéj doniosłości, jakiemi były zgon jego walecznego protektora w przykopach Friedrichshallu; przymusowe, własne przenosiny na terytorium francuskie do Weissenburga, wreszcie małżeństwo jego córki Maryi z młodym królem francuskim. Śmierć Augusta II w roku 1733, otaczający go dość niepodzielnie zapał narodowy wydobywają go z zacisza w Meudon, otwierają mu wstęp do ojczystego kraju, obdarzają królewską koroną. Od Litwy zbliża się jeden, od strony Wielkopolskiéj drugi nieprzyjaciel, generał Lascy i książę Adolf Weissenfelski. Z okien zamku warszawskiego wychodzących na Wisłę, widzi król Stanisław za Pragą, na jéj prawym brzegu ognie nieprzyjacielskiego obozu. Stronnicy jego sposobią się do obrony. Cóż król Stanisław? Gdyby teraz przynajmniéj stanął na czele i zechciał wystąpić w obronie tyle popularnéj w kraju swéj osoby i władzy! Nadaremna pretensya ówczesności i historyi. Król Stanisław, dosłownie jak przed 29 laty, umyka się nieprzyjacielowi z Warszawy, by ruszyć w wędrówkę do nadmorskiego Gdańska w nadziei co prędszego oglądania posiłków francuskich, w większéj pewności osobistego bezpieczeństwa. Poczciwa i dzielna metropolia baltyckiego handlu wznosi się w téj tragicznéj chwili do szczytu patryotyzmu i poświęcenia za osobę elekta polskiego. Giną gdańszczanie zasłaniając własnémi piersiami zamkniętego w ich murach króla, rzuca się rozpaczliwie na bagnety nieprzyjacielskiego żołnierza, by ocalić honor Francyi, bohaterski margrabia Plelo; nieszczęściem, nazwijmy znów, samegoż Stanisława, iż go podobne wzory, z któremi sąsiadować ciągle mu przeznaczono, nie zdolne zachęcić i na ten raz do naśladowania.

Wśród konania gdańskiéj obrony, opuszcza potajemnie miasto. Po różnych niebezpiecznych przejściach i przeprawach dostaje się na terytoryum króla pruskiego, następnie kieruje z Królewca wśród licznego zastępu wychodźtwa z Polski i Litwy ruchem w kraju, któremu ma dopiero położyć koniec pacyfikacya z r. 1735. Z chwilą *tą* dopiero rozpoczyna się owa druga, promienniejsza część żywota Leszczyńskiego, część żywota dozwalająca téj miękkiéj, wygodnéj, nie stworzonéj do sprostania trudnym okolicznościom naturze, odsłonić się z dodatniéj strony, ze stanowiska pokojowéj działalności pokazać się pełnym najlepszych chęci dla poddanych, zacnego serca, podniosłego umysłu monarchą. Nasze zadanie mniéj wdzięczne niestety. *Nam* i naszym studyom przychodzi trudnić się owym Leszczyńskim *pierwszéj* epoki. Ku pociesze własnéj, ku zaszczytowi jego, sympatycznéj cokolwiekbądź wśród próżni jaka go otacza, osoby powiedzmy, że epizod, jaki sobie opowiedzieć za-

mierzamy, przedstawia embryonicznie wszystkie przymioty, wszystkie piękne strony jego charakteru i serca, które przychodzą do zupełnego rozkwitu i dostrzegalności na zewnątrz w spokoju lotaryńskiéj cieplarni. Po tym szkicu z dziedziny *„momentu psychologicznego,“* uwydatniającego się, jak widzimy, wskróś wszystkich krytycznych chwil żywota i zawodu Leszczyńskiego, przypatrzmy się, w interesie zrozumiałości przedmiotu naszego opowiadania, genezie jego wystąpienia na widownię wypadków. Syn Rafała wojewody łęczyckiego, generała Wielkopolskiego, podskarbiego koronnego i Anny z Jabłonowskich, liczący lat 20 zaledwie w chwili wstąpienia na tron Augusta II, należy, zauważmy przedewszystkiem, do rodziny, która, dzięki swym rozległym posiadłościom w województwie poznańskiém i kaliskiém, wzdłuż granicy Szląska, znajduje się tradycyjnie w dobrych, zbyt dobrych może stosunkach z sąsiednim domem brandeburskim. Jan Leszczyński, w. kanclerz koronny Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego, jest najniezaprzeczeniéj, najdowodniéj agentem interesu elektorskiego tam, gdzieby nawet interes i godność Rzeczypospolitéj tego były zabraniały. Nurtujący po Wielkopolsce wysłańcy Brandeburczyka, czy to za Jana Kazimierza, czy za Michała Wiśniowieckiego, znajdują zawsze nietylko gościnny punkt oparcia, ale pożądane skazówki politycznéj natury w Murowanéj Goślinie, zwykłém miejscu pobytu kanclerza. Sami mieliśmy sposobność widziéć dotykalne dowody serdeczności stosunków między domem Leszczyńskich a domem panującym w Brandeburgii. Elektor uwiadomiony o uczcie wyprawianéj w domu kanclerskim, daje polecenie swéj administracyi leśnéj w przyległém granicom wielkopolskim Księstwie Kromieńskiém, aby nie omieszkała wyprawić na dwór Leszczyńskiego odpowiedniéj liczby sarn, jeleni i dzików. Stosunki te dziedziczyły się z generacyi na generacyą. Ślady ich odnajdujemy o wiele późniéj jeszcze, w zamiarze późniejszego króla Stanisława oddania swych dóbr wielkopolskich w zastaw i opiekę króla pruskiego, aby je zabezpieczyć w ten sposób od mściwości saskiéj, w skwapliwém uznaniu ze strony Brandeburgii królewskości Stanisława, w mediacyi podjętéj między nim a Augustem przez dwór berliński; w opiece rozciągnionéj nad nim przez Prusy po ucieczce z Gdańska, w korespondencyi wreszcie utrzymywanéj przez Fryderyka II z późniejszym księciem Lotaryngii.

Stosunek ten przyjazny między Leszczyńskimi a Berlinem, nie jest obojętnego całkiem znaczenia w dziejach wyniesienia i zawodu Stanisława, mimo wszelkiéj chwiejności, jaka cechuje politykę brandeburską w ciągu wojny północnéj. Nie można zresztą powiedzieć, aby za wstąpieniem elektora saskiego na ziemię polską w charak-

terze pretendenta, późniéj króla polskiego, był odrazu zatruwał jakiś antagonizm stosunki jego z rodziną Leszczyńskich. Przeciwnie widzimy młodego Stanisława figurującego w poczcie dygnitarzy Rzeczypospolitéj podczas aktu koronacyjnego Augusta w Krakowie. Po śmierci Małachowskiego darzy August 24-letniego zaledwie syna podskarbiego koronnego województwem poznańskiém. Antagonizm ich, jeżeli się mocno nie mylimy, nie jest samodzielnéj natury; wyradza się z *innego*, także dopiero wyrastającego z niespodziewanych okoliczności i stosunków przeciwieństwa, które zasługuje na tém baczniejszą uwagę, im większą odgrywa rolę w dziejach genezy Stanisławowej królewskości. Uciszył Agust II, jak mieliśmy sposobność sami naocznie się przekonać, we Wrześniu 1698 pretensye tronowe Jakóba Sobieskiego ofiarowaniem znacznych korzyści materyalnych, których przecież późniéj nie dotrzymał. Było to pierwsze zarzéwie rzucone między szczęśliwego Sasa a zawiedzionego w swych nadziejach syna Jana III. Inwazya Karola XII, ofiary czynione ze strony szedzkiéj Jakóbowi rozgrzały jego ambicyą, wciągnęły go powoli w wir podziemnych przeciw Augustowi robót, które, jak wiadomo, zaprowadziły go późniéj do więzień Pleisenburga i Königsteinu. Rodzina Leszczyńskich była zaprzyjaźnioną, jak serdeczniéj być nie mogło z rodziną Jana III. Rafał Leszczyński, ojciec Stanisława, jest — jak widzimy — poufnym korespondentem Jakóba Sobieskiego, zawiadowcą jego majętności w Wielkopolsce, politycznym nadto reprezentantem. Rafał umiera w r. 1703, stosunek owéj przyjaźni przechodzi na syna Stanisława, objawia się w oryginalny, charakteryzujący się szczególnie sposób w samym fakcie jego wyniesienia. Po raz pierwszy pokazuje się tu w publicznym zawodzie młodego wojewody poznańskiego owa przewaga dobroduszności dobrego serca nad siłą i stanowczością tyle potrzebnemi wśród ciężkich opałów wojennych i politycznych wstrząśnień. Bohaterski król szwedzki, nieprzebłagany w postanowieniu strącenia Augusta z polskiego tronu, przeznaczał go Jakóbowi Sobieskiemu. Pochwycenie i uwięzienie Jakóba udaremnia ten zamiar. Młodszy brat, Aleksander Sobieski, któremu następnie król szwedzki tron ofiaruje, wymawia się od jego przyjęcia, nie chcąc przesądzać prawom starszego i zabierać należnego mu miejsca.

W takiém położeniu rzeczy staje interwencyjnie *dobre serce* młodego wojewody poznańskiego. Król szwedzki znajduje upodobanie w jego światłéj i pouczającéj rozmowie, w jego sympatycznéj, pociągającéj osobie. W kłopocie o następcę po Auguście przeznacza jemu koronę polską. Mógłby się Stanisław z przyjęcia jéj wymówić, jak się wymówili inni, jak się wymówił Aleksander Sobie-

ski. Cóż przecież, zapytajmy, decyduje o przyjęciu z jego strony zaszczytnego ciężaru, który barki jego były za słabe udźwignąć? Oto *dobre* dla przyjaźni, dla pamięci stosunków rodzinnych i własnych *serce*. Każdy inny król byłby przesądzał prawu Sobieskich; on jeden, ich przyjaciel, ich poufny domownik mógł wziąść w swe ręce koronę jako depozyt, który im zwróci, gdy Jakóbowi otworzy się więzienna furta. Leszczyński „sakryfikował się,“ jak powiada sam w wystawionym przez się skrypcie „dla dobra królewskiego domu Sobieskich,“ zobowiązał się im pod rewersem ustąpić, „skoro tylko książę Jakób odzyska wolność.“ Pod smutnemi wróżbami, w charakterze zastępczym, bez wiary w siebie i w narzucone sobie przez natarczywą protekcyą króla szwedzkiego zadanie, rozpoczyna się Leszczyńskiego królewskość. Blady, znużony, na obliczu swém widoczne ślady smutku, jak naoczni świadkowie powiadają, noszący, jedzie biedny Stanisław wśród zapadającéj ciemności dnia 12-go lipca 1704 na koniu z pola elekcyjnego pod Wolą, wśród salw artyleryi szwedzkiéj do kościoła św. Jana. Następne dni i czyny jego problematycznego królowania znaczą odpowiadającą wiernie genezie jego i pobudkom niepewność. Spoglądają nań z ukosa prymas Radziejowski i Lubomirscy; otaczają co gwałtowniejsze i hałaśliwsze elementa konfederacyi warszawskiéj, jak marszałek jéj Bronisz, jak Gembicki starosta nakielski, jak biskup poznański Święcicki. Mentorem nowéj królewskości, właściwym panem sytuacyi jest generał-dyplomata szwedzki Arwed Horn, z żelaznym zastępem nielicznego żołnierza szwedzkiego, z niemniéj żelaznem postanowieniem obrony, cokolwiekbądź, powierzonéj sobie przez swego króla Warszawy. Leszczyński—jak już mieliśmy sposobność zauważyć wyżéj—nie poczuwa się do obowiązku nadstawienia głowy za swą zastępczą godność, opuszcza przed szturmem Augustowym Warszawę, udaje się, poprzedzony kuryerem w osobie Stanisława Poniatowskiego do obozu szwedzkiego pod Lwów, kiedy Sas rozpędza na cztery wiatry konfederacyą warszawską, bierze do niewoli Horna, biskupa poznańskiego i starostę nakielskiego. We Lwowie, późniéj w Wielkopolsce, odkąd Karol rozkłada się na zimowe leże w Rawiczu, staje Stanisław bez własnego punktu oparcia, smutna przyczepka taboru Karolowego z tytułem królewskim, jako rzecznik przynajmniéj pod *tym* względem, nie bezskuteczny i nie bezwpływowy, sprawy czy to mieszczan lwowskich, czy wielkopolskiéj szlachty zagrożonych ciężarem kontrybucyi szwedzkich. Znajdują się w ręku moim potwierdzające to *lauda* sejmików średzkich połączonych województw Kaliskiego i Poznańskiego.

Wśród wymuszonego obecnością szwedzką milczenia stronników Augustowych, zjeżdża się szlachta do Środy i obraduje pod laską marszałkowską czy to Franciszka Radzewskiego, czy miecznika poznańskiego Aleksandra Gurowskiego nad podymnem i szelężném, nad mającemi się „podnosić“ na rzecz króla Stanisława chorągwiami pospolitego ruszenia. Ostatecznie kończy się przecież każde takie *laudum* inwokacyą interwencyi prymasowéj na rzecz miłego pokoju, interwencyi „króla Stanisława“ przez uproszonych ku temu osobno delegatów, „aby się zechciał wstawić do króla Imci szwedzkiego o ulgę w nieznośnych ciężarach.“ Poczciwy Stanisław jest zawsze gotów na usługi braci szlachty, przyjmuje ich w swéj wspaniałéj rezydencyi Rydzyńskiéj z wszelką uprzejmością, a instancye jego u króla szwedzkiego odnoszą w części przynajmniéj pożądany skutek. Na tém też przecież, jak na obszarze Wielkopolski zajętym przez króla szwedzkiego, kończą się granice panowania Stanisławowego w swym pierwszym roku z 1704 na 5. Nie uznaje go większa część dygnitarstwa Rzeczypospolitéj, odstępują Lubomirscy, stoją na uboczu prymas, wielki kanclerz koronny Załuski, podkanclerzy litewski Stanisław Szczuka, nawet jeszcze własny wuj Stanisława wojewoda Ruski i podkanclerzy Szembek, nie wymieniając innych. O uznaniu europejskich mocarstw nie ma mowy. Sama, tyle życzliwa zkądinąd Stanisławowi Brandeburgia zbywa jego królewskość żartami. Dwór rzymski, dzięki zręcznéj akcyi wyprawionego przez Augusta do Rzymu w charakterze nadzwyczajnego posła hr. Lagnasco, nie uznaje go również i kładzie całą wagę swego wpływu na szalę Augustową; nuncyusze papiescy dają przez cały czas, nawet po abdykacyi Augusta i po uznaniu królewskości Leszczyńskiego przez wszystkie niemal mocarstwa europejskie, wybrańcowi Karola XII tytuł jedynie tylko „wojewody poznańskiego.“ Chwiejny to słowem grunt, na którym Stanisław stąpa w pierwszym roku swojéj królewskości. Sam siedzi w Rydzynie, w bezpośredniém pobliżu Rawickiego obozu; rodzinę, żonę Katarzynę z dwoma małemi córkami Maryą i Anną wyprawia na bezpieczne, dalekie od zawieruchy wojennéj terytorium Warmińskie do Brunsbergi; konferuje ze Szczuką, Załuskim i Benedyktem Sapiehą podskarbim litewskim, naséła mianowicie prymasa Radziejowskiego w Gdańsku najrozmaitszymi agentami, usiłując go wraz z królem szwedzkim skłonić do spełnienia aktu koronacyjnego i ulegalizowania wątpliwéj ciągle swéj władzy. Prymas Radziejowski powstrzymywany chorobą i zakazami papieskiemi, umiera w Gdańsku, gdy tymczasem aktu koronacyjnego wśród asystencyi szwedzkiego żołnierza i ponownych salw artyleryi szwedzkiéj dopełnia w kościele św. Jana

w Warszawie dnia 5 października 1705 arcybiskup Lwowski Zieliński. Ceremonia ta nie zmienia moralnego stanowiska i politycznéj władzy neo-elekta. W Wielkopolsce, gdzie znajduje zwolenników w Broniszu, marszałku konfederacyi warszawskiéj, w dwóch braciach Franciszku i Władysławie Ponińskich, Franciszku Skaławskim, Radzewskim kasztelanie śremskim, w Adamie Radońskim, Urbanowskim obu ostatnich sekretarzach swoich, gdzie obecność załogi szwedzkiéj w samém mieście Poznaniu trzyma wszystko w uległości, znajduje posłuszeństwo i uznanie. Po za tém zalicza do swych zwolenników litewskich Sapiechów, Janusza i Michała Wiśniowieckich później nieco Stanisława Szczukę podkanclerzego litewskiego. Staje nadto w szeregach jego przyjaciół słynna w dziejach owéj epoki księżna Dolska z domu Wiśniowiecka, któréj późniéj przypada równie ciekawa, jak ważna rola w katastrofie Mazeppy; staje wreszcie zamianowany przezeń w. kanclerzem koronnym brat jego matki, wspomniany wyżéj wojewoda Ruski Jan Stanisław Jabłonowski. Mimo to wszystko nie zyskuje Leszczyńskiego królewskość gruntu przez lata 1705 i 1706 ani w Polsce ani za granicą.

Po swéj koronacyi, jak i przed nią, jest, co najwięcéj przez województwa wielkopolskie i to także część ich tylko, uznanym królem bez władzy i środków, którego król szwedzki wodzi za sobą w swych różnych wyprawach, czy to litewskiej w styczniu 1706, czy to wołyńskiéj w kwietniu tegoż samego roku. Co najwięcej; zapisuje kronika owych wypraw znów tylko ową interwencyjną dobroć neo-elekta na rzecz zagrożonéj czy to ciężarem kontrybucyjnym, czy to egzekucyjną pożogą, czy to wyrokiem rozstrzelania z rąk szwedzkich szlachty. Na nieszczęście jednakże nie była czy nie chciała owa interwencya być dość skuteczną, aby zapobiedz czynowi ponurej i poziomej zarazem zemsty, jaka cechuje wogóle często bardzo pobyt Karola XII w Polsce, jaka była niemałą przeszkodą do pozyskania ufności w sprawę podjętą przez Szwedów, jakiej fakt wreszcie zapisuje pochód króla szwedzkiego z Wołynia ku wielkopolskim województwom w sierpniu 1706 roku. Wojewoda bełzki Adam Sieniawski, w. hetman koronny po Hieronimie Lubomirskim z ramienia Augustowego, należał do najpopularniejszych przeciwników Szweda i neo-elekta. Byłby to przecież ważny i pożądany nabytek dla Stanisławowéj sprawy, równie ważny, jak poprzednio pozyskanie prymasa Radziejowskiego, decydujący nieledwie o zwycięztwie Stanisława wobec tego, co nazwijmy opinią publiczną narodową. Król szwedzki nie umiał sobie nigdy nakładać przymusu, tam nawet nie, gdzie interes jego i podjętéj przezeń sprawy najwyraźniej tego wymagał. Karol był mściwym, Stanisław nie był, nie chciał, czy nie

umiał być na ten raz wpływowym. Przeprawiając się w marszu swym ku Wielkopolsce przez Wisłę, znalazł się król szwedzki w obliczu wspaniałego zamku i ogrodu Puławskiego, posiadłości hetmana Sieniawskiego. Zamiast być wspaniałomyślnym i przezornym, wolał Karol być mściwym. Pałac puławski, otaczające go zabudowania wraz z wszystkiemi zbiorami sztuki, na jakich uroczéj owéj siedzibie już wówczas nie zbywało, spłonęły na własny rozkaz króla szwedzkiego z rąk jego żołnierza.

Nie twierdząc, aby zgliszcza i popioły puławskie były wzniosły wyłącznie i jedynie nieprzebytą zaporę zgody i porozumienia między potężnym magnatem a chwiejącym się na swym niepewnym tronie królem, nie możemy przecież zataić sobie, że przynajmniej nie były środkiem pozyskania pierwszego dla drugiego. Miesiąc wrzesień 1706 roku jest, jak wiadomo, datą ostatecznego przesilenia wahających się losów wojny na korzyść szwedzką. Karol wkracza do Saksonii, Stanisław znajduje się, jak zwykle, przy jego boku, świadcząc o jego tryumfach, nie dzieląc niebezpieczeństw. Główną kwaterę obiera sobie król szwedzki w upamiętnionym później przez zawarty tamże pokój Altranstadt, król Stanisław w pobliskiem Leissnig. Odtąd to zapowiadają losy Stanisława wziąść korzystniejszy obrót a królewskość jego wyjść z fazy intencyi i życzeń w fazę rzeczywistości. Karol uczynił ze zwykłym sobie, nieprzepartym uporem, nietylko wobec Saksonii i Augusta, ale wobec wszystkich traktujących z sobą mocarstw europejskich uznanie królewskości Stanisławowéj pierwszym warunkiem jakiejbądź politycznéj rozmowy. Stawia ten warunek Saksonii, pełnomocnikom Augusta Imhofowi i Pfingstenowi, stawia go posłom cesarza niemieckiego hr. Zinzendorffowi i Wratislawowi, stawia go posłom pruskim Pintzenowi i Marschallowi, wyjeżdża z nim wobec zwiedzającego później obóz jego w miesiącu kwietniu 1707 Marlborougha. Związani granicami wymierzonemi naszemu wykładowi, nie możemy się zapuszczać zbyt wyczerpująco i dokładnie w dedal szczegółów, jakie przedstawiają dzieje pobytu Karola w Altranstadt, Stanisława w Leissnig, w zmieniającém się co chwila otoczeniu: Jana Sapiehy wojewody wileńskiego, wuja-kanclerza Jana Jabłonowskiego, wśród niekończących się odwiedzin różnych dygnitarzy Rzeczypospolitéj, jak n. p. wracającego z wycieczki do Rzymu biskupa warmińskiego Załuskiego, podkanclerzego litewskiego Szczuki, licznych deputacyi wielkopolskiéj szlachty z nieustającemi prośbami „o sublewacyą ciężarów i kontrybucyj szwedzkich.“ Rola poczciwego Stanisława jest bierną, wyczekującą, cokolwiekbądź przecież zyskuje mu postawa jego tutaj serdeczne sympatye ludności i odsłania w nim znów, w dziwnej sprzeczności z groźnym i okrutnym

Szwedem, który wstęp swój do Saksonii znaczy pożogą miasteczka Königsteinu i rozpisaniem ciężkich kontrybucyj, czynem, który odsłania w istnym tym męczenniku Karolowéj polityki, przedewszyststkiem to, czem był zawsze: serdecznego i wspaniałomyślnego człowieka. Fakt mimo swéj drobiazgowości zasługujący tem więcéj na pamięć i wzmiankę, że znalazł ocenienie i uznanie w obozie przeciwnym. Korzystając z bogatéj w zwierzynę okolicy Leissnigu, wyprawił się król Stanisław na polowanie w towarzystwie kilku zaledwie osób bez żadnych zewnętrznych oznak i przyborów swéj królewskiéj godności. Psy myśliwych rozpędzone za zwierzyną wpadły między owce należące do włościan pobliskiéj wioski i poszarpały z nich kilka. Chłopi znając rozkazy króla szwedzkiego co do zachowywania najściślejszéj dyscypliny, uderzyli w dzwony, zebrali się tłumnie, napadli zbrojni w widły i cepy eskortę nieznanego sobie osobiście króla i poturbowali przy tej sposobności jego samego. Nadbiegła pomoc i wyzwoliła z niebezpieczeństwa. Winnych przytrzymano i zaprowadzono do obozu szwedzkiego. Powieszenie lub rozstrzelanie ludzi, spalenie wsi, były to zwykłe w takich razach rzeczy, z któremi praktyka wojny trzydziestoletniéj, zaczynająca się odnawiać wśród obecnéj wojny sukcesyjno-hiszpańskiéj, Niemcy oswoiła, a na któréj mściwość mieszkańcy okolicy Leissnigu byli przygotowani z wszelką rezygnacyą. Tymczasem wyprosił sam Leszczyński od wszelkiéj kary i odpowiedzialności zbyt troskliwych o swoję własność wieśniaków saskich. W nagrodę otoczyła go od razu entuzyastyczna popularność miejscowéj ludności. Przeciwnik króla Augusta wyszedł na ulubieńca Sasów, co naturalnie nie przeszkadza, że pozostał w zatargu z *polityką* saską. Tymczasem, jak już wyżéj powiedziano, znamy ów pobyt w Leissnigu jako zenit powodzenia w życiu Stanisława pod względem politycznym. Pełnomocnicy Augustowi Pfingsten i Imhof podpisują dnia 24 września 1706 znany traktat pokoju Altransztadzki a razem z nim podpisują, gotując sobie wieczne więzienie i pokutę za winę Augustowę, abdykacyą z korony polskiéj swego pana i uznanie królem polskim Stanisława Leszczyńskiego. Pierwszy to nareszcie akt, od którego neo-elekt mógł zacząć liczyć dni *rzeczywistości* swego panowania. Najważniejszém ze względu na stosunki krajowe, na postawę i usposobienie biskupów i duchowieństwa w Polsce było uznanie królewskości Leszczyńskiego przez kuryą Rzymską. Udawał się z prośbą o to do Rzymu jako w. kanclerz koronny z ramienia Stanisławowego Jan Jabłonowski. Nadaremno jednakże. Papież odmówił tego uznania; stanowisko barona Schencka, agenta Augustowego, było tu zbyt silne, aby pozwolić na zwycięztwo Stanisławowéj sprawy. Leszczyński pozostawał ciągle dla Rzymu i nuncyuszów papieskich „wojewodą poznańskim.“

Szczęśliwym skutkiem były uwieńczone starania szwedzkie około wyjednania owego uznania wobec Brandeburgii i Austryi. Brandeburgia nadesłała akt uznania przez posła swego na dworze drezdeńskim barona Marschalla w lutym roku 1707 do obozu szwedzkiego. Uroczyściéj jeszcze i świetniéj odbył się akt tegoż uznania ze strony Austryi. Austrya czuła się więcéj. niż którebądź inne z mocarstw europejskich, zagrożona postawą króla szwedzkiego w sercu Niemiec. Dwór wiedeński drżał na samą myśl możności przerzucenia się Karola XII do obozu francuzkiego wśród ówczesnéj wojny o sukcesyą hiszpańską; obawiał się niesłychanie o przymierze zbuntowanego wtedy właśnie przeciw swéj władzy na Węgrzech Franciszka Rakoczego z groźnym królem szwedzkim. Pożar wojny sukcesyjno-hiszpańskiéj połączony z pożogą wojny północnéj groził domowi rakuskiemu zgubą, którą jakimbądź kosztem chciał zażegnać i odwrócić. Dodatkowo wchodził w rachubę dworu wiedeńskiego wzgląd na konieczność uznania królewskości hiszpańskiéj arcyksięcia Karola, brata cesarza Józefa I, przez Szwecyą i Polskę. Nie w innym celu wyprawił się w imieniu i w interesie koalicyi antifrancuzkiéj, w kwietniu roku 1707, Marlborough do obozu Karolowego pod Altranstädt. Jakie zaś były postulaty króla szwedzkiego do Austryi?

Głównym i naczelnym uznanie królewskości Leszczyńskiego, drugim uzyskanie religijnych ustępstw dla zgnębionych od czasu wojny trzydziestoletniéj protestantów szląskich. Za cenę tych koncesyj zobowiązywał się król szwedzki przez reprezentantów swych Pipera, Hermelina i Cederhielma dać gwarancyą swéj neutralności w wojnie sukcesyjno-hiszpańskiéj i powstrzymać się od podania ręki powstaniu Rakoczego. Dwór wiedeński wahał się długo, rada ministrów cesarskich opierała się uznaniu królewskości Leszczyńskiego wobec dobrych i nieprzedawnionych według siebie praw Augusta do polskiego tronu. Zwyciężyła przecież nieubłagana konieczność wypadków. Dnia 26 lutego 1707 doręczył poseł cesarski Zinzendorf kanclerzowi szwedzkiemu akt uznania Stanisława Leszczyńskiego ze strony dworu wiedeńskiego. Dnia 9 marca nastąpiła uroczysta ceremonia owego uznania przez posłuchanie, jakiego Zinzendorf w charakterze cesarskiego posła zażądał u Stanisława jako uroczyście uznanego króla polskiego. Był to zapewnie najszczęśliwszy dzień królewskości Leszczyńskiego, zawracający może jemu samemu nie co głowę, wzbudzający rzeczywistą pretensyą władzy i królowania, zacierający może nawet pamięć owego nieszczęsnego rewersu, którym się zobowiązywał zwrócić posiadaną depozytowo koronę w ręce znajdującego się już od przeszłego grudnia na wolności Jakóba

Sobieskiego. Promienna i rzeczywistego znaczenia politycznego chwila w życiu Leszczyńskiego. Poseł cesarza „św. państwa Rzymskiego“ hr. Zinzendorff oddawał dnia tego siebie i swego pana sprawę pod protekcyą wczorajszego szlachcica polskiego. Prosił go, aby sam wraz z Rzeczpospolitą był przyjacielem cesarskiego domu, aby nie pozwolił wspierać Rakoczego i buntowników węgierskich; nie dość na tém udawał się do niego z prośbą, aby wraz z Karolem XII uznał królewskość hiszpańską arcyksięcia Karola, cesarskiego brata, nadto, aby skłonił króla szwedzkiego do gwarancyi neutralności. Stanisław po raz pierwszy może od chwili swéj elekcyi nie posiada się z radości, czuje się nareszcie prawdziwym królem, *ale* i na tym szczycie nie umie się znów utrzymać choćby na kilka godzin tylko, a z króla zajmującego tron Piastów, Jagiellonów, Batorego i Sobieskiego wychyla się znów postać owego dobrodusznego szlachcica, któremu opatrzność odmówiła nieodwołalnie przymiotu reprezentowania wielkiego stanowiska. Stanisław rozradowany uznaniem cesarskiem, nie umiał pokryć ani swéj radości, ani być powściągliwym w objawach wdzięczności za zaszczyt, który go spotyka z rąk najstarszego w Europie i najpoważniejszego domu panującego. „Trudno powiedzieć,“ pisze hr. Zinzendorff w przeznaczonéj dla swego dworu depeszy, „jakie mi czynił zapewnienia i oświadczenia wdzięczności, a to w słowach godniejszych wojewody, aniżeli króla.“

Uznanie dworu wiedeńskiego pozbawiło Leszczyńskiego nieco równowagi, ale nie dziwmy się temu do zbytku i bierzmy rzeczy po ludzku. Najświetniejszy to stosunkowo i najszczęśliwszy moment kłopotliwéj jego królewskości, moment radości na obcéj ziemi, zasępionéj niezadługo potém smutnemi, ponuremi wiadomościami dochodzącemi nie tylko już z ojczystego kraju, ale co dokuczliwsza, z rodzinnych stron, niemal od własnego domowego ogniska. Karol i Stanisław przesiadywali ciągle jeszcze w Saksonii, wymuszając na Auguście wszelkie drobiazgi i szykany traktatu altransztadzkiego, zrzeczenie się tytułu królewskiego, wydanie Patkula, pamiętny list powinszowalny zdetronizowanego króla do Leszczyńskiego, kiedy żywioły nieprzyjazne neo-elektowi w Polsce wsparte pomocą wojsk obcych, gospodarowały bezprzeszkodnie po nieszczęsnym kraju. Mianowicie uległo w lipcu 1707 samoż dziedziczne Stanisławowe miasto Leszno zupełnemu zniszczeniu i spostoszeniu przez komendę różnojęzyczną i różnonarodową, zostającą pod dowództwem pułkownika rosyjskiego Schultza. Na nieszczęście nie przynosiła wtedy firma Stanisławowa, chwilowo przynajmniéj, ani stronnikom, ani jego bezpośrednim poddanym w Polsce pożądanego bezpieczeństwa i spokoju.

Zaprzeczyć się jednakże nie da, że powrót jego do Polski z Saksonii przy boku Karola XII w miesiącu wrześniu 1707, odbywa się pod szczęśliwszemi i lepszą przyszłość zapowiadającemi wróżbami, aniżeli pochód jego przeszłoroczny tam dotąd. Wraca Stanisław do Polski uznanym przez Brandenburgią i cesarza niemieckiego królem; wkrótce potém przybywa do głównéj kwatery szwedzkiéj w Wieńcu na Kujawach turecki Aga, by ze strony Sułtana przywieść królowi szwedzkiemu i jego protegowanemu wyraz przyjaźni i oświadczyć gotowość uznania królewskości Leszczyńskiego. Niezadługo później nadchodzi podobneż uznanie ze strony królowéj angielskiéj Anny...

Mimo to wszystko, nie był stan rzeczy po temu, aby nowy król polski z ramienia Karola XII był mógł stanąć o własnych siłach i począć wznosić budowę organiczną wśród burzy wojennéj, wśród chaosu obcego najazdu, dokazywań rozpasanych żywiołów własnych, ruin, zgliszczów i nędzy, wśród zapowiadającéj z rokiem 1708 groźne swe odwiedziny dżumy. W Poznaniu i Malborgu, w Elblągu i Toruniu czuwają załogi szwedzkie nad bezpieczeństwem Stanisławowego panowania, a niezaprzeczony wyraz uległości dlań znajdujemy we współczesnych laudach wielkopolskiéj szlachty. Tam gdzie ramię szwedzkie nie sięga jednakże; w Małopolsce, na Rusi, widzimy opierającego się na opiece carskiéj, wstrętnego wszelkiemu porozumieniu ze Szwedem i nową królewskością w. hetmana koronnego Adama Sieniawskiego, widzimy ubijającego się ze Szwedami i ich partyzantami Smigielskim i Dobrosołowskim Jakóba Zygmunta Rybińskiego; kiedy dygnitarze cywilni, jak prymas Stanisław Szembek, jak podkanclerzy koronny Jan Szembek uchodzą z kraju, osiadają na neutralnym gruncie cesarskim w Opawie a do współki z Denhoffem marszałkiem konfederacyi sandomierskiéj, wchodzą przez rozmaitych agentów, bądź to przez generała Goltza, bądź przez kamerdynera Spiegla w tajne układy z Augustem, który mimo abdykacyi nie spuszcza z oka „interesu polskiego.“ Dodajmy téż jeszcze, iż król Stanislaw mimo, jak wątpić nie należy, najlepszéj woli, nie mógł uniknąć ani błędów w swojém postępowaniu, ani zadowolnić wszystkich ambicyj, ani pozostać, w chaosie jaki wytworzyła wojna szwedzka, w zgodzie z prawami Rzeczypospolitéj. Szerzy się w kraju pamiętajmy daléj, klęska dżumy. Obcy i swój żołnierz dokazuje. Wioski płoną, ludność zbiedzona, znędzniała, odarta, ucieka do szałasów leśnych. Nie ma mowy o uprawie roli, bydło pociągowe, konie, owce zabiera żołnierz bądź to obcéj inwazyi, bądź rozpasany i rozpuszczony długą wojaczką, zmuszony zresztą pamiętać o swéj codziennéj potrzebie jakimbądź kosztem i sposobem, czy to party-

mi partyzantami jednéj i drugiéj strony, wśród srożącéj się mimo nadchodzącéj zimy dżumy.

Rozpoczynający się, tyle pamiętny rok 1709 nie zmienia nic w podobném położeniu rzeczy. Coraz częstsze i smutniejsze wiadomości od topniejącéj powoli wśród mrozów Ukrainy i głodu armii Karola XII; powtarzające się ciągle nadaremno usiłowania około pozyskania hetmana Sieniawskiego. Obok tego marsze Krassaua po Prusach i Mazowszu wśród zatargów z żołnierzem głównego filaru Stanisławowéj sprawy, Józefa Potockiego wojewody Kijowskiego; obok tego, starania o wydobycie pieniędzy z miast pruskich, mianowicie z Gdańska na podtrzymanie potrzeb i blasku królewskości,— otóż co charakterystyczniejsze znamiona dziejowéj kroniki polskiéj w owéj srogiéj, równie srogiéj jak w r. 1812, zimie z roku 1708 na 1709.

Na nieszczęście nie widzimy, aby Stanislawowa królewskość była przyniosła choć chwilę wytchnienia, choćby nadzieję tylko jakichbądź pogodniéjszych widoków, choćby cień tylko wysłuchania modlitwy alegorycznego owéj epoki mnicha, który prosi P. Boga, „aby go zechciał oświecić przecież, kto jest przyjacielem a kto wrogiem Rzeczypospolitéj."

Z wiosną roku 1709 przenosi się król Stanisław pod egidą Krassaua do Poznania, późniéj nieco w czerwcu posuwa się wraz z nim i generałem Riddershielmem, wraz z żołnierzem polskim Józefa Potockiego w. hetmana koronnego z ramienia jego ku województwom małopolskim, ciągle w zamiarze złamania oporu, lub przyprowadzenia do posłuszeństwa w. hetmana koronnego Sieniawskiego. Pochód ten Stanisława wraz ze Szwedami ku województwom małopolskim daje się znów straszliwie krajowi we znaki, dobre serce i ustępczość Stanisława nie są w stanie zaradzić kontrybucyjnemu łakomstwu Szwedów, gdy w tém właśnie, kiedy piechota szwedzka pod dowództwem pułkownika Schultza znajdowała się w Sandomierzu, jazda pod dowództwem Krassaua wraz z królem Stanisławem w Krakowie, nadeszła wiadomość o gromie Pułtawskim. Zobaczmy, jak ją przyjęły oba obozy, zobaczmy, jakie w jednym i drugim wywołała postanowienia.

II.

Przenieśmy się teraz chwilowo z zakrwawionego bratnią walką, przedziesiątkowanego dżumą, zniszczonego pożogą i rabunkiem nieproszonych gości domu żałoby polskiéj, do obozu przeciwnego, na dwór rozkoszy i używania króla Augusta w Dreznie. Jeżeli Sta-

nisław *intronizowany* przez natarczywą protekcyą króla szwedzkiego, prowadził żywot opłakany, kłopotliwy i smutny, nie można tego samego powiedzieć o jego *zdetronizowanym* przez upór tegoż samego Karola przeciwniku. August umiał sobie urozmaicić i uprzyjemnić czas po upokorzeniu Altransztadzkim. Zdetronizowany w Polsce, udał się w roku 1708 do Flandryi, niby to na wojnę przeciw Francyi jako książę Rzeszy Niemieckiéj. Cała kampania jego jednakże kończyła się na wesołym pobycie w Bruksel ii, na zabawach i rozkoszach z aktorkami i baletniczkami tamtejszych teatrów. Prócz tego krzyżowały się w bujnym i pełnym zawsze najdziwaczniejszych planów umyśle Augusta najrozmaitsze pomysły, nabytek królestwa Neapolitańskiego, Flandryi austryackiéj, następnie Czech i Węgier. Po takich, dwa lata przeszło trwających oscylacyach umysłu i polityczn éj awanturniczości Augusta, zwraca się igła magnesowa z początkiem roku 1709 znów w stronę Polski. Powodem podobnéj zmiany były wiadomości nadchodzące od armii szwedzkiéj na Ukrainie. August pozostawał, mimo i wśród różnych obrotów swojéj polityki, w ciągłéj komunikacyi ze swymi stronnikami w Polsce, z w. hetmanem koronnym Adamem Sieniawskim, z bawiącymi w Opawie na Szląsku Szembekami, prymasem i podkanclerzym, ze Stanisławem Denhofem marszałkiem konfederacyi Sandomierskiéj.

Nie dość na tém, utrzymywał podobne stosunki z cesarzem Piotrem za pośrednictwem wyprawianych doń bezprzestannie agentów czy to kamerdynera Spiegla, nawiasowo powiedziawszy, nie najmniéj zręcznego i użytecznego w pośród owych dyplomatów, czy to rotmistrza Krügera. Ostatni mianowicie przywiózł na wiosnę r. 1709 do Drezna wiadomość, że armia szwedzka na Ukrainie liczy zaledwie już tylko 15,000 ludzi i że się znajduje w jak najsmutniejszém położeniu. Wkrótce potém, w miesiącu czerwcu, tuż przed samą bitwą Pułtawską, zjechali do Drezna równocześnie niemal agenci Carscy Lith z Berlina, Urbich z Wiednia, Bruckenthal wprost z obozu Carskiego, nalegając na Augusta, aby śpieszył zerwać co prędzéj wymuszony na swych kłopotach Altransztadzki pokój, zawrzeć przeciw Szwedom z Piotrem W. przymierze i aby nie zwlekał rozpoczynać akcyi. Podobne nagabywania nie pozostały bez wrażenia i wpływu. Poprzednio już przybył do Drezna, wracając z podróży do Włoch król duński Fryderyk IV i zawarł z Augustem przymierze przeciw Szwecyi. Obaj królowie ruszyli, jeszcze przed bitwą Pułtawską do Berlina, aby dla zawiązanego między nimi przymierza pozyskać króla pruskiego. Król pruski wahał się, ale właśnie podczas pobytu jego i jego gości w Potsdamie, nadeszła głucha wieść o wielkiéj klęsce, jaka miała spotkać na Ukrainie armią Karola XII.

zant króla Stanisława Adam Smigielski, Dobrosołowski lub mający pod sobą zbiegowisko Niemców i Francuzów pułkownik Züllich, czy też Augustowy partyzant Jakób Zygmunt Rybiński, lub kwarciani hetmana Sieniawskiego. Współczesny pamiętnikopisarz Otwinowski, nie dokładny i nie zawsze wiarogodny gdy opowiada fakta; tém prawdziwszy i wymowniejszy, ile razy kreśli obrazy bądź to położenia materyalnego, bądź usposobienia moralnego kraju, przedstawia na jednéj z najdrastyczniejszych swych pamiętników stronnic, godny kto wie czy nie wstępu do Boccaciowego *Dekameronu*, obraz położenia Polski, stanu polskiego szlachcica, stanu polskiego włościanina w owém dwuleciu smutnego królowania Stanisława po powrocie z Saksonii. Co się miast tyczy, leżały Stanisławowe właśnie, tyle kwitnące dawniéj nad granicę szląską miasta: piękne i zamożne Leszno w gruzach i ruinie, Poznań stękał pod twardemi rządami plac-komendanta szwedzkiego pułkownika Funcka i pod ciężarem co tygodniowych dostaw i kontrybucyjnych pieniędzy. Nie wątpimy, że dobre i uczciwe serce króla Stanisława bolało szczerze wobec podobnego widowiska nędzy i ruiny własnego kraju a że, sumieniu swemu często zapewnie zadawał pytanie, czy może wyniesienie jego i chęć utrzymania się przy blasku korony nie przyczynia się do owego stanu zgrozy, i czyby może ofiara z niéj, nie ulżyła krajowéj doli. Przypuszczenia podobnego nie stawialibyśmy w naszéj troskliwości o zachowanie historycznéj prawdy, gdybyśmy stwierdzenia jego dokumentowego nie znaleźli właśnie w dziejach epizodu, ku któremu w opowiadaniu naszém sterujemy a który jest głównym tegoż przedmiotem. Namysły te i rozmowy z sumieniem zacnego neo-elekta nie wchodziły przecież w fazę jakiegobądź czynu wobec wszechwladnéj woli bohaterskiego wojownika, do którego tryumfalnego rydwanu Stanisław znalazł się przykutym, nie zmieniały na włos rozpaczliwego położenia kraju wołającego w swych udręczeniach o spokój i przeklinającego zawieruchę wojenną. Cóż dziwnego, jeżeli Stanisław, pogniewany ze znakomitościami Rzeczypospolitéj; z w. hetmanem koronnym, prymasem, podkanclerzym koronnym, marszałkiem konfederacyi Sandomierskiéj i jéj adherentami, jeżeli stąpający wszędzie tam, gdzie się nie opierał na Szwedach, na niepewnym gruncie, nie cieszył się też wcale pośród ogółu szlacheckiego w owéj epoce, która przedstawiała jeszcze stosunkowo najpodstawniejsze warunki trwałości, potrzebną mu dozą miłości i popularności. „Za przejściem króla szwedzkiego z Saksonii, poczęły się rzeczy dużo mięszać na szwedzkiéj stronie,“ mówi w swych pamiętnikach Otwinowski. „Wprawdzie jedni panowie polscy szli do Szweda, lecz drudzy widząc *despotica jussa* króla szwedzkiego i króla Stanisława ar-

cy złe *principia*, odchodzili do konfederacyi Sandomierskiéj. Najpierwiéj Szczuka podkanclerzy litewski *ultro* podjechał, aby go było wzięto na szwedzką stronę; *magnum momentów* dodał tamtéj stronie wielkiéj mądrości człowiek i wielu za sobą pociągnął. Spodziewał się Szczuka pieczęci wielkiéj i dla tego tam poszedł, aby go oszukano w tém. Tu król Stanisław położywszy wszelką nadzieję w orężu szwedzkim, którego niepewny *event* bywa, miasto *plakacyi* animuszów i *alicyowania* do siebie bo on jako *illegitime* tron osiadł *despotica methode*, tak i daléj *absolute* zaczął postępować, począł rozdawać honory, urzędy, starostwa po żywych, którzy w konfederacyi Sandomierskiéj trwali statecznie, choć się był assekurował *in pactis conventis*, dołożywszy *salvis juribus moderno cum possessorum*. Jedném słowem tak począł poczynać król Stanisław, że już prawie żadnéj formy Rzeczypospolitéj nie zostawował. Dał pieczęć wojewodzie ruskiemu, Stanisławowi Jabłonowskiemu, wujowi swemu rodzonemu; *primatum* Zielińskiemu, arcybiskupowi lwowskiemu, którego wkrótce wojska wzięły ukrywającego się w lasach pod Toruniem; województwo krakowskie oddał Lanckorońskiemu podkomorzemu krakowskiemu; nawet książęciu Michałowi Wiśniowieckiemu wziął buławę wielką litewską, dał ją staremu Sapieże dawnemu hetmanowi, którą potém i temu wziął król szwedzki, a dał synowcowi jego Sapieże, staroście Bobrujskiemu. Tu się arcy-przeciwnie nagrodziło księciu Michałowi hetmanowi litewskiemu, bo się w Rzeczypospolitéj owem przekiwnieniem do Szweda dyskredytował a tam przyszedłszy i znaczne uczyniwszy przysługi miasto rekompensy, buławę stracił, zkąd konfuzyą cięższą nad śmierć podjął. Dał mu za to król Stanisław województwo ruskie, ale to za to nie stało. Ten postępek Szweda i króla Stanisława *amovit* bardziéj konfederacyą sandomierską *ab accessu* do nich, nawet i samych owych, którzy tam na ich stronie byli, *commovit* do recesssu; bo Lubomirscy z swojemi znacznemi dywizyami poszli już *ad finem anni* do konfederacyi sandomierskiéj.

I tak szwedzka strona poczęła słabieć a konfederacya sandomierska zaległszy wojskami swemi więcéj daleko krajów niż tamci, nie wymownie się poczęła mocnić w wojska, tak polskie jako i regimenty nowe dragońskie przysposabiać, bo sam hetman koronny 6 regimentów dragonii nowych tego roku erygował, oprócz marszałka konfederackiego i inszych, którzy także regimenty pozaciągali za konsensem hetmańskim, jako to: Rybiński, Olszewski starosta wieluński, Załuski, wojewodzic Rawski, Tarło starosta Pilznieński, Świnarski, i ci ludne regimenty popodnosili. Zgoła bardzo dobrze poczęły się konponować rzeczy konfederacyi Sandomierskiéj w tym

roku a to się działo za sposobnością wielką wypróżnionych z cudzych wojsk krajów. Bo choć w tym roku wojska rosyjskie były *in visceribus regni*, lecz tylko w Wielkiéj Polsce, w Kujawach a Prusach uganiali się z szwedzkimi partyzantami, a mała Polska i ruska prowincya wolna była, a wtenczas mając czas i wolne kraje, umiał hetman zażyć owéj sposobności do przygotowania się wojska." Powyższy ustęp z opowiadania szlacheckiego pamiętnikopisarza przytaczamy umyślnie, nie tyle z powodu, abyśmy go mieli uważać za ważny przyczynek *faktyczny* do ówczesnych dziejów Polski, ile raczéj, że charakteryzuje z jednéj strony trudności położenia Stanisławowego, z drugiéj usposobienie panujące dlań w kraju. Nadaremna dziejowa pretensya do Stanisława, aby w téj krytycznéj chwili rozpoczął jakąś organiczną działalność, aby poczynało przecież przeglądać z niéj i z niego choć zdala to, co jaśniało późniéj w całym blasku na bezpiecznym tronie Lotaryngii. Biedny Stanisław kłopoce się napróżno około stworzenia sobie podstawy w dygnitarzach i panach Rzeczypospolitéj, a tymczasem, nie zadawalniając nikogo w *kraju*, kiedy się cieszy uznaniem większéj części *zagranicznych* mocarstw, kiedy mianowicie poseł francuzki Bonac ze schronienia swego gdańskiego pracuje zabiegle w jego interesie, towarzyszy sam pochodowi Karola, który tenże w pierwszych miesiącach roku 1708 podejmuje przeciw wojskom Carskim na Litwie i Białéj Rusi.

W niepewności przyszłych kolei, przeczuwając może Pułtawę jako ostateczny koniec tyle świetnie zrazu rozpoczętéj wyprawy, uznał Stanisław za rzecz stosowną wysłać rodzinę swą, małżonkę z dwoma małemi córkami do Szczecina, na terytoryum ówcześnie jeszcze szwedzkie. Sam tymczasem towarzyszy nieodstępnie Karolowi w jego litewskiéj wyprawie; którą rozpoczyna najświetniejszy w zawodzie króla szwedzkiego czyn wojenny, bitwa pod Hołowczynem.

Pochód obu królów, a lepiéj powiedziawszy obu dziwnie nierozerwalnie złączonych z sobą a przecież tak różnych usposobieniem i skłonnościami przyjaciół, trwał wspólnie do pierwszych dni miesiąca czerwca 1708. Wojska Carskie ustępowały wszędzie, istnie jakby w jasnowidzeniu przyszłości z roku 1812. Miasteczko Radoszkowice między upamiętnionem późniéj słynnym bulletynem Napoleońskim „*z dnia 3 grudnia*" Mołodecznem a Mińskiem, stanowi ostateczny kres wspólnego Karola i Stanisława marszu; dzień 12 czerwca 1708 zapisuje ostatnią datę *osobistego* się ich widzenia. W Radoszkowicach nastąpiło rozstanie się ich i pożegnanie. Karol poszedł szlakami, które go po różnych zmiennych kolejach miały zaprowadzić pod Pułtawę; Stanisław wrócił na Litwę, późniéj do Polski, by przez cały

rok, który pożegnanie Radoszkowickie dzieli od katastrofy Pultawskiéj prowadzić ów utrapiony, niepewny, kłopotliwy żywot, nie dający *jemu* ani chwili wytchnienia, *krajowi* ani chwili spokoju i zadowolnienia. Jedyną, jak i dotąd, podstawą jego, jedynym punktem rzeczywistego oparcia owa załoga szwedzka w Poznaniu pod Funkiem, w Malborgu i Elblągu pod Ekebladem, ów różnojęzyczny i różnonarodowy pułk dragonii pod pułkownikiem Züllichem, ośmiotysięczny wreszcie korpus generała Krassau, który na wyraźny rozkaz Karola wkracza z Pomorza szczecińskiego do Polski, by tworzyć w razach potrzeby straż bezpieczeństwa dla Stanisława, podstawę i oparcie dla Stanisławowéj sprawy. Przybył nadto z Wismaru do Polski na przegląd żołnierza szwedzkiego, cieszący się szczególném zaufaniem króla szwedzkiego generał Ridderhielm, nie mniéj późniéj osobisty przyjaciel Leszczyńskiego. „*Podnoszone*", by się wyrażać ówczesną urzędową terminologią, uchwałami laudów średzkich, na rzecz „króla Stanisława" chorągwie pospolitego ruszenia przebiegają kraj. Przebiegają go równocześnie Adam Śmigielski i Dobrosołowski, by się, co chwila spotykać ku wstydowi imienia polskiego i ku uciemiężeniu kraju z podjazdami hetmańskiego wojska, z partyzantami Rybińskiego, w krwawéj, braci przeciw braciom walce. Stanisław sam wraca po rozstaniu się z Karolem królem szwedzkim do Grodna, by, jak dawniéj nad Radziejowskiego, tak teraz nad Sieniawskiego pozyskaniem dla swéj sprawy rozpocząć równie zabiegłe jak nadaremne starania. Zgromadzili się około osoby króla Stanisława w Grodnie po powrocie z Radoszkowic wielki jego kanclerz koronny i wuj Jabłonowski; Potoccy, Michał i Janusz Wiśniowieccy.

Wszelkie starania téj rady zwróciły się ku Sieniawskiemu i wojsku koronnemu, zajmującemu pod jego rozkazami województwa małopolskie. Napróżno jednakże. Sieniawski jak tego mamy przekonywające dowody w ręku, znajduje się przez ten czas w ciągłéj korespondencyi z cesarzem Piotrem W. i z hetmanem Mazepą, odgrywającym wtedy jeszcze wobec hetmana przynajmniéj rolę wiernego Carskiego sługi. Wszelkie usiłowania Stanisława i jego stronników nie znajdują doń przystępu, a o ten skopuł rozbija się ostatecznie kwestya jego zwycięztwa politycznego wobec kraju. Bezpłodnie dlań, na podróżach do pomorskiego Starogrodu, gdzie go czeka przybyła ze Szczecina małżonka, na objazdach miast pruskich, na pobycie w Gdańsku, późniéj Malborgu, przemija koniec lata i jesień roku 1708, wśród coraz smutniejszych wiadomości nadchodzących z Ukrainy od armii szwedkiéj, wśród krwawych walk między polski-

Pod wrażeniem jéj a już z gotowym planem koalicyi przeciw królowi szwedzkiemu, rozjechali się monarchowie Prus, Danii i Saksonii. August wrócił dnia 22 lipca do Drezna i zastał już tutaj kuryera z Polski przywożącego pewną i szczegółami popartą wiadomość o pogromie pułtawskim. Znajdujący się naówczas na miejscu ze wszystkich dyplomatów Carskich pułkownik Lith, zaopatrzony przez pana swego w odpowiednie pełnomocnictwa, rozpoczął, istnie jak gdyby alians Augusta Piotrowi był jeszcze wśród obecnych okoliczności tak bardzo potrzebnym, z reprezentantami Augustowymi Flemmingiem, Ogilvym i Pflugkiem negocyacyą kończącą się dnia 29 lipca 1709 traktatem, którego wszelkie korzyści obracały się na korzyść Sasa. Obowiązywał się wprawdzie August rozpocząć bezzwłoczną akcyą przez wkroczenie do Polski w 10.000 ludzi. Natomiast przecież obiecywał mu pełnomocnik Carski współdziałanie znajdującego się już na miejscu rosyjskiego korpusu generała Goltza; wypłatę 300.000 rubli z chwilą przekroczenia granicy, następnie 100.000 rubli rocznie. Stosownie do zawartéj umowy nie zwlekał August ani chwili działania. Dnia 8 sierpnia 1709 wydał z Drezna manifest tłómaczący powody zerwania traktatu Altransztadzkiego i zapowiadający powrót do Polski. Dnia 21 sierpnia 1709 wyruszył na Gubin ku granicom Polski. Dnia 31 sierpnia, widzimy Augusta we włości Stanisławowéj Brennie, dnia następnego w Stanisławowem, powstającem powoli z gruzów przed-dwuletniego pożaru mieście Lesznie. August przypatruje się polu bitwy pod Wschową, następnie polu bitwy pod Poniecem, gdy tymczasem ku nieszczególnemu zaszczytowi natury ludzkiéj poczyna się około niego, jak około każdego sukcesu, gromadzić tłum nie tylko własnych zwolenników, ale i szlachty wielkopolskiéj odstępującéj sprawy Stanisławowéj. W Poniecu przyjmuje króla Augusta uroczyście właściciel miejsca starosta Obornicki Unrug, dawniéj wypróbowany zwolennik Stanisława i agent nawet jego na dworze berlińskim. Liczba ta nawracających się, być może z obawy, wzrasta na każdym kroku, czy to w Brennie, czy Wschowie, czy Poniecu, czy Gołanicach.

Z dawnych stronników Augusta przybywają doń tuż za wstąpieniem na ziemię Wielkopolską, podskarbi Przebendowski, podkanclerzy koronny Szembek, generał Wielkopolski Maciéj Radowicki, brat jego Andrzéj kasztelan poznański, biskup Kujawski Szaniawski, miecznik koronny Denhof, podkomorzy koronny Lubomirski. Gospodarzem jakoby domu wprowadzającym Sasa do odzyskanego królestwa jest kasztelan poznański, któremu co chwila dano przedstawiać królowi nawróconych jego co znaczniejszych przeciwników, nie mówiąc już o zwyczajnéj szlachcie i podrzędniejszych stanowisk

dygnitarzach. Senatorowie strony Augustowéj dają panu swemu radę, by nie chciał być zbyt surowym względem tych, co go odstąpili, by ich sobie zdobywał łagodnością, pozyskiwał zapomnieniem przeszłości. Zbyteczna rada. August postawił ją sobie jako regułę za pierwszym wstępem na ziemię polską. Wyniszczony wojną i wciąż grasującą dżumą, łaknął dom polski wytchnienia a jeżeli która z części Polski, to Wielkopolska przedewszystkiem nie była zdolną stawiać oporu.

Mijały się odezwy konfederacyi Sandomierskiéj, oznajmując „powrót pana“ z uroczystemi protestami najwybitniejszego i najdzielniejszego ze stronników Stanisławowych, Józefa Potockiego wojewody kijowskiego przeciw łamaniu traktatu Altransztadckiego i powrotowi Augusta. Sas spoglądając z pewną ostrożnością ku Krakowu, ku Częstochowie, gdzie się znajduje Stanisław, gdzie rozłożone siły generała Krassau, pułkownika Züllicha, Józefa Potockiego, posuwa się przez miesiąc wrzesień żółwim krokiem przez południowy skrawek województwa poznańskiego, przez województwo kaliskie ku Toruniowi; na spotkanie z cesarzem Piotrem, późniéj z królem pruskim w Kwidzynie. Kraj, mianowicie województwa wielkopolskie, przedstawiają ponury widok. Dżuma dziesiątkuje wciąż ludność; w Poznaniu trzymanym jeszcze przez załogę szwedzką, pozostaje zaledwie 4,000 mieszkańców przy życiu; wymierają wsie całe. Wśród takiego to obrazu żałoby i nędzy przeciąga August ze swém wojskiem, z mnożącymi się około niego dawnymi i świeżo nawróconymi stronnikami przez kraj wielkopolski ku Prusom, w widocznéj obawie, aby czasem jaki krok rozpaczy ze strony czy to Krassaua czy Stanisława nie zakłócił takiéj pogody jego restauracyi i powrotu. Dziennik jego pochodu za pierwszym wstępem na wielkopolską ziemię nosi ślady owéj obawy; oko Augusta zwrócone w stronę Stanisława i Krassaua. W obozie pod Wschową każe aresztować oficera ze świty podkomorzego Lubomirskiego, niejakiego Salischa, którego ma w podejrzeniu, iż jest agentem Krassaua. W obozie pod Gołanicami znajduje się nagle czterech żołnierzy szwedzkich, których król nie wie, czy uważać za dezerterów, czy téż za szpiegów szwedzkiego generała. Z ostrożnością tedy i niepokojem stąpa Sas na odzyskanym bardzo niepewno jeszcze gruncie polskim, do czego przecież, jak zobaczymy, nie ma powodu.

Zajrzyjmy teraz z kolei rzeczy do obozu *Stanisławowego*, przypatrzmy się tutaj wrażeniom i bezpośrednim następstwom pułtawskiego gromu. Jak zauważyliśmy wyżéj, zaskoczył wypadek bitwy pułtawskiéj króla Stanisława wraz z jazdą generała szwedzkiego Krassaua na wyprawie ku województwom małopolskim, w ostatecz-

nym zamiarze przełamania siłą lub przejednania namową oporu hetmana Sieniawskiego. Sieniawski stał w czerwcu i lipcu 1709 r., a więc w dniach bitwy Pułtawskiéj w pobliżu Lwowa, następnie pod Czarnym Ostrowem na Podolu. Król szwedzki, troskliwy nawet wśród owych opałów na Ukrainie o los Stanisława w Polsce, wydał w Grudniu jeszcze r. 1708 generałowi Ridderhielm w Wismarze, generałowi Ekeblad w Elblągu rozkazy, by z wszelkiemi gotowemi siłami spieszyli Stanisławowi na pomoc. Rozkazy te weszły w wykonanie w miesiącu maju 1709 roku. Ośm pułków piechoty szwedzkiéj z Wismaru, dwa bataliony piechoty z Elbląga, 900 dragonów, wszystko to pod dowództwem pułkownika Schultza, ruszyło powolnym marszem przez Poznańskie ku województwom małopolskim, gdzie się znajdowali Stanisław z Krassauem. Zajął właśnie Schultz Sandomierz, Stanisław z Krassauem rozkładał się na lewym brzegu Wisły między Krakowem a Opatowem, kiedy w lipcu 1709 nadeszła wiadomość o klęsce Pułtawskiéj. Wiadomość ta, przyjęta początkowo przez króla Stanisława z niewiarą, jaką naturalnie wywołuje każda zła wiadomość, stała się dla obu korpusów szwedzkich hasłem wspólnego połączenia pod Krakowem. Położenie rzeczy wcale rozpaczliwém nie było; trzeba tylko było działać zgodnie i energicznie a nadewszystko nie tracić głowy. Jak najniepodejrzańsze urzędowe świadectwa szwedzkie mówią, liczyła cała połączona pod dowództwem generała Krassaua w Krakowskiem i Sandomierskiem siła *szwedzka* 8000 ludzi. Był to korpus wyborowy, składający się przeważnie z Niemców w służbie szwedzkiéj, nie dotknięty jeszcze klęskami wojny. Prócz tego rozporządzał Stanisław pułkiem dragonów pod dowództwem pułkownika Züllicha, składających się przeważnie z Francuzów i Niemców. Nie dość i na tém jeszcze, miał król Stanisław na swe zawołanie dwa do trzech tysięcy koni jazdę pospolitego ruszenia pod dowództwem nie mniéj zręcznych, jak wypróbowanéj wierności partyzantów, jakimi byli Józef Potocki wojewoda kijowski, Jan Grudziński, Adam Śmigielski i Dobrosołowski. Gra była więc może ryzykowna, ale w ręku Stefana Czarnieckiego lub Karola XII wcale nie stracona, a August nie był bez racyi, gdy zwracał z obawą oczy ku Częstochowie i Krakowu, gdy drżał mianowicie na myśl, że Krassau i Stanisław mogą się nań rzucić przemagającemi siłami lub wpaść przez Szląsk i Łużyce do Saksonii, pomścić na jéj mieszkańcach i mieniu grzech złamania Altransztadzkiego traktatu. Nie był przecież Krassau Karolem XII, ani Leszczyński Stefanem Czarnieckim. Prócz tego składały się rozmaite przyczyny na mało pocieszający obrót rzeczy, jaki będziemy mieli sposobność opowiedzieć.

Moralne wrażenie pułtawskiéj bitwy było, jak nas przekonywają współczesne dokumenta, nieopisanéj doniosłości. Jak było gromem dla zwolenników Szweda, jak zgnębiało ich i łamało moralnie, jak stawało się hasłem dezercyi od Stanisławowéj chorągwi, tak podnosiło odrazu czoło i przedsiębierczość żywiołów przeciwnych, począwszy od króla, skończywszy na ostatnim szlachcicu uchwalającym w Środzie kary na „adherentów szwedzkich.“ Nie dość na tém, wywierała dżuma zaczynająca powoli trapić i obóz szwedzki, swe demoralizujące wpływy. Obok tego poczynało się dawać we znaki wszelkim próbom i pokusom jakiejś energiczniejszej na rzecz króla Stanisława akcyi usposobienie korpusu, składającego się przeważnie z elementów niemieckich. Jeżeli rodowici Szwedzi przesycili się wojną, jeżeli — jak zobaczymy późniéj— okazywali mimo wszelkiéj uległości dla rozkazów swego króla, niechęć dla Polaków i Stanisława, jako domniemanych przyczyn i pobudek przedłużającéj się wojny, działo się to w stokroć spotęgowany jeszcze sposób ze strony Niemców, Meklemburczyków, Pomorczyków, Rugian, *szwedzkich* poddanych. Pamiętniki wspomnianego już przez nas wyżéj Otwinowskiego skreślają w jaskrawy sposób usposobienie żołnierstwa korpusu Krassauowego dla towarzyszów polskich. „Tu z téj akcyi — mówi szlachecki pamiętnikopisarz — mogą się Polacy nauczyć, jako konfidować cudzoziemcom, którzy nic szczerze z Polakami nie czynią, nie chąc dla nich nic utracić swego. Oto i tu, dokąd było potrzeba Szwedom polskiego wojska do posługi, szli z nimi o polskim chlebie, łudząc ich, że nie odstąpią; ale gdy im trzeba było dać chleba szwedzkiego i konserwować ich o swém koszcie, porzucili ich, powiedziawszy im po szwedzku: *Kus me reva Polak*!“

Usposobienie to niemiecko-szwedzkiego żołnierza, znajdowało zachętę, może nawet i przyczynę w usposobieniu samego dowódcy korpusu. Krassau, pomorski szlachcic, był osobiście niechętny Stanisławowi. Fakt ten potwierdza w opowiadaniu dziejów téj epoki tak niezaprzeczony, tak gruntowny jéj źródłowo znawca, jakim jest panujący obecnie król szwedzki Oskar II.

Nie pozostawała nadto bez wrażenia na obóz Stanisławowy owa dezercya, jaką wywołała pomiędzy szlachtą, na rzecz Augusta klęska Karolowéj sprawy, przybycie powolne hetmana Sieniawskiego i Cara Piotra na widownią wojenną polską. Cokolwiekbądź i mimo to wszystko, pozwalamy sobie przecież twierdzić, że wobec liczb i sił, jakiemi Stanisław w téj chwili rozporządzał, nic jeszcze straconego nie było a mianowicie, że rzucenie się śmiałe i obcesowe na słabszego o wiele Augusta w Wielkopolsce, przedstawiało widoki

powodzenia. Na nieszczęście jednakże była w obozie Stanisławowym *jedna* tylko, niedość słuchana osobistość, zdolna energicznych postanowień. Był nią — jak się przekonamy z późniejszego jeszcze opowiadania—Józef Potocki, wojewoda kijowski, w. hetman koronny z ramienia Stanisława, tak wobec niego, jak wobec Krassaua jedyny rzecznik szybkiego, zaczepnego działania. Tymczasem jest to znów w życiu Stanisława jedna z owych licznych chwil, w której *czyn* będąc potrzebniejszym niż kiedykolwiek, ustąpił miejsca popędom kapitulacyjnym, natchnionym być może nawet, iż dobrą wolą i życzliwemi dla dobra krajowego chęciami. Pod wpływem podobnych usposobień, przyszedł tedy w obozie Stanisławowym do skutku zamiast marsowych jakichś postanowień, pokorny i kapitulacyjny manifest z dnia 19 sierpnia 1709, z obozu pod Opatowem. Zamiast uderzyć w donośną strunę czynu, któryby był uderzył wyobraźnią narodową, zdobył sobie może narodowe posłuszeństwo, uczynił prawdopodobną i skuteczną odsiecz turecko-tatarską, jaką król szwedzki przygotowywał z Benderu, uderzył Stanisław w Opatowskim uniwersale w sposób nie dość pożałowania godny, w strunę pokory i dobrowolnéj abdykacyi. Uznawał konfederacyą Sandomierską, wzywał jéj dygnitarstwo do wspólnéj z sobą narady, ofiarował się nawet dla dobra ojczystego odstąpić korony i oddawał się pod rozporządzenia i wyroki Rzeczypospolitéj. Naturalnie nie może mieć pretensyi, by wierzyli weń, by go podtrzymywali inni, ktoś co sam w siebie nie wierzy i sam siebie bronić i podtrzymywać nie chce. Łatwo tedy pojąć, jak dalece uniwersał Opatowski Stanisława stał się tylko jeszcze głośniejszém hasłem rozpoczętéj już w jego szeregach dezercyi. Z nastającym miesiącem wrześniem, gdy August posuwał się wolnémi marszami ku Toruniowi, ruszyła cała siła Stanisławowa, Krassau, Józef Potocki, Śmigielski, Züllich z okolicy Opatowa, następnie z pod Krakowa, w strony Częstochowy i Wielunia. Jak z jednéj strony nie były jeszcze dość silne wojska Carskie by ich zaczepić w tym marszu, strzegł się ich również niepokoić August.

Przez koniec września, przez większą połowę miesiąca października obozują Stanisław i Krassau w ziemi Wieluńskiéj; wzdłuż granicy szląskiéj. Żołnierza jego trapi dżuma, tak, że z początkowéj liczby ośmiotysięcznéj jego korpusu pozostaje zaledwie 6,000 pod bronią. Wszystko to jednakże nie przeszkadza szwedzkiemu generałowi będącemu na wylocie z kraju, obłowić się, ile tylko można jego kosztem. Krassau stojąc w okolicy Częstochowy, rozpisuje na szlachtę niesłychanie ciężkie kontrybucye; nie poprzestając na nich, plądruje szlacheckie dwory i kościoły. Piętnaście wo-

zów naładowanych złotem i srebrem postępuje zwolna za szwedzkim korpusem, którego dowódca czeka ze Szląska mającéj przybyć małżonki. Nareszcie, w początku miesiąca października wkroczył Krassau, nie napastowany przez nikogo, unikając sam jakiegobądź spotkania z jakimbądź nieprzyjacielem, ze swym sześciotysięcznym korpusem w granice województwa poznańskiego, ściągnął do siebie załogę poznańską pod dowództwem pułkownika Funcka, sprowadził nadto załogę Malborską i ruszył pod Wieluń nad granicę brandeburską. Osobno postępowali: wojewoda kijowski ze swą jazdą, osobno pułkownik Züllich z pułkiem dragonów. Stanisław mógł się znaleść pośród swoich, przy boku wojewody kijowskiego; wolał poszukać schronienia w korpusie nieprzyjaznego sobie generała szwedzkiego, zmierzającego widocznie bez boju ku schronieniu Szczecińskiego Pomorza. Nie zapominajmy, że w Szczecinie naówczas, na terytoryum szwedzkiém, pod opieką regencyi pomorskiéj, znajdowała się małżonka Stanisława z dwoma małemi córkami. W chwili przekroczenia granicy, na krawędzi polskiéj ziemi, w widłach Warty i Noteci, okazał się przynajmniéj wojewoda kijowski człowiekiem stojącym na wysości podjętego zadania. Wszystko słabło około niego i w obozie Stanisławowym. Janusz Wiśniowiecki wojewoda krakowski, uczynił akces do Sasa: Jan Sapieha starosta bobrujski w. hetman litewski z ramienia Stanisławowego „poszedł również — jak powiada Otwinowski — *in adorationem* króla Augusta.“ Sam Adam Śmigielski objawiał w marszu między Częstochową a Ostrowem jakieś podejrzane na rzecz Augusta intencye. Generał carski Goltz został wykomenderowany w 15,000 ludzi od strony Torunia, by zgnieść lub wpędzić w kraj brandeburski zdziesiątkowany korpus Krassaua i Stanisławowe wojsko polskie, siły liczące wszystkiego razem do 10,0000 ludzi. Wtedy-to wystąpił wojewoda kijowski wobec generała szwedzkiego z planem śmiałym, godnym walecznego żołnierza i obrońcy sprawy, który o niéj nie zrozpaczył. Domagał się aby korpus szwedzki wspólnie z polskim żołnierzem dotrzymał na miejscu, aby stawił czoło nadciągającéj nawałnicy. Gdy Krassau odmówił, chciał Potocki aby Szwedzi nie skąpili przynajmniéj moralnego poparcia i nie przechodzili granicy polskiéj, aż on sam się z nieprzyjacielem nie zewrze. Krassau nie chciał o tém ani słuchać, wyjechał na terytoryum brandeburskie do Drezdenka, aby się z brandeburskiemi władzami porozumiéć w przedmiocie przeprawy wojsk szwedzkich przez kraj pruski na Pomorze Szczecińskie, a gdy wojewoda kijowski chciał się razem z nim tamże przeprawić, groził sam nań uderzyć. Wtedy-to zdobył się wojewoda kijowski na krok niepospolitéj przedsiębierczości i waleczno-

ści. Odwróciwszy się od granicy brandeburskiéj, ruszył ku Szląskowi. Zaczepiony w pobliżu jego granic pod Odolanowem przez całą siłę generała Goltza, stracił wielu ludzi, między innymi walecznego partyzanta Dobrosołowskiego; ostatecznie wydobył się z krwawéj matni, dostał się na Szląsk, wszedł potém znów do Polski, zajrzał do Krakowa, aż nareszcie ścigany przez żołnierza Carskiego i kwarcianych z wojska w. hetmana koronnego, dostał się pod Skolem, dawném karpackiém gniazdem i węzłem komunikacyi między Polską a zbuntowanymi przeciw domowi habsburskiemu Węgrami, na przeciwną stronę Karpat. Rakoczy przyjął go z otwartemi rękami, dzielni partyzanci polscy byli powstańcom węgierskim najpożądańszym sprzymierzeńcem przeciw wojskom cesarskim. Późniéj, w r. 1710, opuszcza wojewoda kijowski widownią węgierską i dostaje się ze swémi walecznemi niedobitkami do obozu Karola XII pod Bender, gdzie stanowi jednę z głównych podpór sprawy i działania króla szwedzkiego.

Czemuż Stanisława nie ma pośród żelaznéj owéj falangi własnych ziomków? Nie naszą rzeczą szukać przyczyn, których by się znaleść nie dało; dość niestety powiedzieć jako fakt, iż zamiast w obozie wędrownym Potockiego, woli Stanisław pomieścić się w równie, choć bezpieczniéj i króciéj wędrownym obozie generała Krassaua, a w początku listopada 1709 znajduje się po kilkodniowym marszu wraz z żoną i z dwoma córeczkami gościem, pomieszczonym niechętnie przez regencyą miejscową, na zamku dawnych książąt pomorskich w Szczecinie. Przyjęcie tutaj Stanisława nieuniknione, bo nakazane przez Karola XII, który rozkazom swym posłuszeństwo wyjednywać umiał, nie było, czemu się zbytnio dziwić nie można, szczególnie serdeczném. Wojna przedłużała się, wycieńczała i nużyła ludność; w dodatku udzieliła się i Pomorzu szczecińskiemu, czyniąc niesłychane spustoszenia, dżuma. Nie dość i na tém jeszcze, stanęła nagle, niedotkniętéj jeszcze dotąd żadnym bezpośrednim najazdem nieprzyjacielskim krainie, przed oczami perspektywa inwazyi sasko-rosyjskiéj, dyszącéj nad granicą polsko-brandeburską, nad owym skrawkiem dzielącym posiadłości króla pruskiego od posiadłości szwedzkich, na tani a obfity połów, jaki przedstawiał w Szczecinie i pod Szczecinem stopniały korpus Krassaua i Stanisławowa emigracya. Schronił się na Pomorze król Stanisław i jego rodzina, jak co dopiero powiedziano, razem z nim przybyło około 300 osób najbliższego otoczenia, służby, wojskowych, urzędników znaczenia i zatrudnienia politycznego, między innymi sekretarze: Adam Radoński, Urbanowski, Józefat Karp, Adam Śmigielski, ten ostatni jedyna pewnéj wybitności osobistość wojsko-

wa, mianowany przez Stanisława na owéj emigracyi pomorskiéj stolnikiem koronnym. Zastęp wychodźtwa zwiększał się przez ostatnie miesiące roku 1709 co chwila nowym przybytkiem z Polski. Goście zaczęli ciężyć Pomorzu, tém więcéj, że zagrażali pociągnąć za sobą klęskę nieprzyjacielskiéj inwazyi. Regencya pomorska z ramienia króla szwedzkiego składała się naówczas z siedmiu dygnitarzy, na których czele stali Szwedzi: Mellin, Meyerfeldt i Klinkowström. Reprezentując kraj, który jakkolwiek był posiadłością króla szwedzkiego, wchodził przecież w skład ziem Rzeszy niemieckiéj, zasłaniali członkowie regencyi siebie i jego tarczą neutralności ubezpieczającéj Rzeszę według traktatu Altransztadckiego wśród zmiennych i burzliwych kolei północnéj wojny.

Późniéj nieco w lipcu już roku 1710, kiedy niebezpieczeństwo inwazyi wobec coraz większego nagromadzenia żywiołów burzliwych i zagrażających koalicyi północnych mocarstw, stawało się coraz widoczniejszém, wydała pomorska regencya manifest zastrzegający neutralność Pomorza jako kraju Rzeszy Niemieckiéj i zaręczający, że jakkolwiek zarządziła środki obrony jedynie z zasobów miejscowych, nie wpuściła przecież ani jednego żołnierza szwedzkiego z kądinąd i nie uczyniła nic, coby mogło zagrażać bezpieczeństwu sąsiadów. Król Stanislaw znajdował się wśród podobnego otoczenia w Szczecinie, wskazany na rolę tymczasowo bierną, czekając w niepewności, co losy przyniosą, utrzymując, co najwięcéj mniéj lub więcéj tajemne stosunki ze swymi stronnikami w Polsce, jak z Wladysławem i Franciszkiem Ponińskimi, z Janem Jabłonowskim, z Wiśniowieckimi, z Sapiehami, nie wyliczając innych, Karpia trzymał przy swym boku jako sekretarza przeznaczonego do utrzymania korespondencyi dyplomatycznéj, Śmigielskiego jako wojskowego partyzanta, którego będzie można wypuścić na Polskę, skoro się tego nadarzy potrzeba i sposobność. Najprawdopodobniéj byłby się podobny stan rzeczy przedłużał w nieskończoność, a spokój Szczeciński Stanisława i jego rodziny nie doznawał zbyt przykrego zakłócenia, gdyby nań nie były oddziałały nieubłaganie wypadki na wielkiéj politycznéj i wojennéj widowni. Na *trzy* jéj główne ogniska wypadnie nam w interesie naszego przedmiotu zwrócić uwagę, na *Bender*, *Warszawę* i *Sztokholm*.

(*d. n.*) *Kazimierz Jarochowski.*

CZARODZIEJKA.

POWIEŚĆ.

I.

Noc była ciemna. Wicher niosąc tumany śniegu szalał po stepie. Darmo mój woźnica nawoływał zdyszane konie do biegu, biedne zwierzęta z sił się ostatnich wybijały, lecz czułem, że lada chwila nie będą wstanie przerzynać zwiększających się zasp śniegowych. W nawoływaniu Piotrusia był przestrach, który pomimo woli i mnie się udzielił. Już od dwóch godzin jechaliśmy bez drogi wśród nieprzejrzanych ciemności, w okolicy prawie nam nieznanéj. Wiatr dął z całéj siły, w powietrzu huczały grzmoty pasujących się wichrów przeciwnych, które kręcąc słupami śniegu uderzały na siebie z mocą niezmierną, wiły się, plątały szalonym tańcem, aż z sił wybite, z jakimś językiem przekleństwa i szelestem westchnień piersi olbrzymiéj leciały w step głuchy, zostawiając po sobie jako ślad tylko co odbytéj walki, biały wał śniegu. Konie co chwila stawały wstrzymywane prądem hulających wiatrów, czasem pokrywały nas wszystkich istne fale białego morza, że mimo woli zaczynałem szeptać pacierze, widząc zbliżającą się ostatnią swoję godzinę.

Kto nigdy nie błądził pośród pól Ukrainy w czasie śniegowéj zamieci, ten przybliżonego nawet pojęcia mieć nie może o okropności chwili, w któréj po nierównym ruchu sań czujesz, że rumaki resztę sił tracą, wstrzymują się, pochylą i padną na całun biały—a w on czas wichry-grabarze wezmą się szybko do usypania mogiły. Jakaś rozpacz ogarnia na widok ruchoméj przestrzeni. Śniegi wiatrem z ziemi dźwignięte piętrzą się w słupy, gną, łamią się, rozsypują w warkocz olbrzymi i zda się, że lada chwila i ciebie porwą w ten taniec opętany, taką siecią otaczają, zachodzą, porywają za ramiona, w twarz sypią lodu oddechem, grając szaloną pieśń zatraty.

Nie należąc do rzędu ludzi bojaźliwych, zrazu czułem pewną przyjemność w téj muzyce wichrów, ale kiedy dreszcz pierwszy połaskotał i konie nie ciągnęły lecz szarpały już tylko sanie a Piotruś powiedział: źle z nami!—nieprzyjemnie mi się czegoś zrobiło—więc przeżegnawszy się zacząłem szeptać cichutko: kto się w opiekę...

Śnieg się wzmagał, wiatr gwizdał przeraźliwie, sanie co chwila zapadały w głąb śnieżnego morza. Tuliłem się w saniach jak mogłem, rozgrzewałem się uderzając dłońmi o ramiona—ale wiatr niegodziwiec coraz to nowe, wolne znajdował przejście do mojego ciała. Spacerował sobie w najlepsze po szyi i grzbiecie, obejmował nogi, całował kolana i zmusił mnie nakoniec do niemiłego dzwonienia zębami. Po bezskuteczniéj walce z chłodem, musiałem rozpocząć drugą—z sennością. Ale i tu opuszczały mnie siły, powieki kleić się zaczęły... i po chwili widziałem w oczach przesuwające się różne postacie, jakieś twarze z okropnémi grymasami, śmiejące się, skaczące, płaczące—mijały jednak szybko, ustępując miejsca nowym arlekinom wyobraźni. Jedna twarz tylko nie dawała mi spoczynku. Z potwornie śpiczastym nosem, z wykrzywioną buzią do śmiechu nieumęczenie patrzyła mi w źrenice—gdy znikała, to po to tylko, żeby za chwilę pojawić się znowu z tym okropnym uśmiechem na ustach i z tym nosem, który mnie do rozpaczy doprowadzał.

Był to ostatni herold zdradziecko zbliżającego się snu.

— Wio!! wrzasnął nagle głos przerażony Piotrusia.

— Co tam?!... zawołałem, budząc się ze snu.

Ciemność do koła była szalona, wichr świstał przeraźliwie, sypiąc na stojące sanie całe garście drobnego jak piasek śniegu.

— Co tam, Piotruś?! powtórzyłem.

Odpowiedzi nie było żadnéj.

— Piotruś!! krzyknąłem przestraszony, powstając w saniach.

— A no! odpowiedział głos chłopca z przed koni.

— Co się tam zrobiło? konie ustały czy zajechałeś gdzieś do rowu?...

— Ta gdzie tam do rowu! zajechaliśmy dyszlem w okno jakiejś chałupy.

— No! to chwała Bogu! Zostań przy koniach a ja pójdę, żeby się gdzie do drzwi domacać.

Miałem wysiadać z sani, gdy nagle w oknach mojego zajazdu błysnęło światełko znać tylko co zapalone. Podszedłem do okna, w którego wybitéj szybie sterczał dyszel. Izba była duża, mogłem nawet dopatrzyć pewien komfort w umeblowaniu. Przed oknem rozbitem stał mężczyzna lat może czterdziestu, po którego wygolonéj twarzy i sukni długiéj łatwo poznałem księdza. Z rozwartemi usta-

mi, pochylony, oczyma nieruchomemi patrzał na koniec niefortunnego dyszla.

Po omacku znalazłem drzwi probostwa, które pod silnym naciskiem rozwarły się naoścież.

Wszedłem do izby.

— Niech będzie pochwalony—odezwałem się, stając za plecyma księdza.

Zamiast stosownéj odpowiedzi, ksiądz zwrócił się gwałtownie do mnie i głosem pełnym gniewu, wskazując na dyszel sterczący w oknie zawołał:

— Proszę pana—co to takiego?!

— Dyszel od moich sani, odpowiedziałem, błagająco patrząc mu w oczy.

— Nie rozumiem konceptu! zawołał ksiądz urażony.

— Ojcze przewielebny! ja nieskończenie rad jestem z tego wypadku. Czułem już, że mi szpik w kościach zastygał, aż oto nieba łaskawe zlitowały się nademną i ukazały dom księdza proboszcza gdzie będę mógł zesztywniałe członki rozegrzać i—no! posilić się troszeczka.

— A kto waćpana nauczył w podobny sposób noclegu się dopominać? zawołał pleban, wskazując palcem na *corpus delicti* mojéj impertynencyi.

— Nie widziałem chaty księdza dobrodzieja. Ciemno, czarno, szaro, biało było, jak zwykle podczas takiéj zawiei—tłómaczyłem się dzwoniąc zębami.

— Czego waćpan żądasz?

— Ksiądz dobrodziéj zechce mnie i moim koniętom jakiego kącika udzielić...

— A, proszę jegomości! mój dom nie jest domem zajezdnym. O dwieście kroków od probostwa jest austerya, wcale porządna. Wyjmuj waćpan *ten heretycki dyszel* i ruszaj z Bogiem!

— Ojcze najprzewielebniejszy! zawołałem przestraszony—te okolice są mi zupełnie nieznane. Zbłądziwszy, biłem się godzin kilka po śnieżnych zaspach. W prawo czy w lewo mam się obrócić—nie wiem! Jeżeli znów na step wyjadę, zginę na pewno.

— U mnie niéma miejsca ani dla waćpana ani dla koni.

— O ile mogłem zauważyć, dom księdza proboszcza jest dosyć przestronnym.

— Przestronny czy nieprzestronny—to waćpanu nic do tego!

— Ależ gdzie ja się obrócę? Na odkrytem polu wilki mnie zjedzą.

— Nie dawno było u nas polowanie, przepłoszono dobrze te zwierzęta—obawy niéma!

— Litości!...

— Wskazałem waćpanu austeryą—

— Ale ja do niéj nie trafię!

— To traf!...

Nie było rady. Oczy księdza ciskały pioruny gniewu, na wszelkie błagania i zaklęcia serce jak głaz było nieczułe.

W czasie téj niemiłéj dla mnie rozmowy wzrok mój wypadkiem padł na biurko, na którém leżały w nieładzie rozrzucone książki, zwoje rozmaitych papierów i inne przedmioty do pisania służące. Bystre moje oko dojrzało w tym labiryncie dwudziestopięciorublówkę przyciśniętą odłamem marmuru. Z twarzą, na któréj życzyłem sobie, żeby odmalowała się rozpacz, zbliżyłem się do proboszcza.

— A więc kiedy ksiądz dobrodziéj nie jest łaskaw na mnie— rzekłem pokornie całując go w ramię i stając między nim a dwudziestopięciorublówką — to już polecam się boskiéj Opatrzności i Wszystkich świętych opiece a księdza dobrodzieja upraszam o pomodlenie się na moję intencyą.. a może i za duszę moję—bo...

Dwudziestopięciorublówka była już w mém ręku—

— Do austeryi nie trafię i jeżeli wilki mnie nie zjedzą to śnieg z pewnością zasypie.—

Tu zręcznym ruchem dwudziestopięciorublówka z lewéj ręki do prawéj przechodzi.

— Więc... oto na mszę świętą... za duszę moją..

I własność niezaprzeczona księdza proboszcza do jego się dłoni dostała.

— A! mój kochany! zawołał nagle gospodarz, całując mnie w czoło i czerwieniejąc jak burak—po co to? na co?.. i tak bym się za twoję duszę pomodlił, gdyby, broń Boże! jakie nieszczęście ciebie spotkało. No! ale ofiarę przyjmuję... bo gdybym ją odrzucił może byś się obrazić był gotów. Racya! racya! śnieg zasypać może i wilki zjeść mogą! Nie puszczę cię za nic! Do austeryi na pewno nie trafisz—a zresztą co to u nas austerya? lichota! prawie jéj zupełnie niéma, przed dwoma dniami do szczętu się spaliła. Zostań! zostań! psa w taką zawieruchę z domu nie wypędzają—a cóż dopiéro podróżnego, szukającego przytułku i to kto? ja—ksiądz!... pfe! pfe! nie gniewaj się! Ogrzéj się—zziębnięty jesteś. Może kawy—ha? późniéj kawał mięsa z serdelowem masłem—co?... Bierzmy się tylko co prędzéj do wysadzenia tego dyszla.

Radość była nie do opisania i gościa i gospodarza.

Nie upłynęło minut kilkanaście jak dyszel przy energiczéj pomocy księdza proboszcza wyparty został z pokoju, szyba zatkana poduszką, Piotruś po hojnéj wieczerzy spoczywał snem błogosławionych i moje nawet rumaki strzygły wesoło uszami, stojąc nad żłobem zapełnionym owsem po brzegi.

A cóż się ze mną stało?

Ja—po spożyciu wyśmienitéj, choć na prędce przygotowanéj kolacyi, leżałem na miękkiéj pościeli zadowolony z noclegu choć zaniepokojony w sumieniu własném, z myślą rannego wstania, żeby można było opuścić plebanią przed dopełnieniem przez gospodarza w każdym razie niemiłéj dla mnie—rewizyi biurka.

II.

Sen cichy skleił mi oczy... Bezkształtne postacie zaczęły wić się po mózgu, plątać się, tańczyć jak fantastyczne w czarnoksięskiéj latarni obrazy, aż z mgieł bezładnych wywinął się obraz jeden nieporównanych piękności i wdzięków. Był to gaj z drzew srebrnolistnych przerznięty śpiewającym potokiem. Roje różnobarwnych ptaków unosiły się nad grającemi falami a jeden z nich, mały jak koliber, ludzkim głosem do fal tych przemawiał. Chciałem ująć gadającego ptaszka ale on wciąż pierzchał i pierzchał przedemną, aż zaśmiał się taką kaskadą dźwięków srebrzystych, takim pełnym śmiechem harmonii niezrównanéj, żem się wstrzymał w pogoni, zadrżał i sen mój zniknął...

Dzień biały, mroźny, pogodny. przez wyrznięte serce okiennic mojéj sypialni, spojrzał mi w oczy promienną wstęgą słońca. Zerwałem się z łóżka, chcąc się co prędzéj ubierać i przygotować do drogi—ale – o dziwo! za przymkniętemi drzwiami pokoju srebrny śmiech kolibra drżał jeszcze chwilę, aż się roztopił w potoku żywéj, lekkiéj, milutkim głosem kobiéty prowadzonéj rozmowy.

Zaparłszy dech w sobie zbliżyłem się do drzwi.

Zrazu nic nie rozumiałem, za głośno mi czegoś biło serce, za silnie uderzała krew w skroniach. Każde słowo pochwycone uchem, brzmiało w niém dźwiękiem najcudowniejszéj sonaty, każdy szelest sukni jedwabnéj lubym mnie dreszczem przejmował. Po kilku dopiéro minutach dziwnego stanu niepokoju przyszedłem do zupełnéj równowagi umysłu. Pochyliłem się, przyłożyłem oko do dziurki od klucza, ale—zamiast żądanego przedmiotu, zobaczyłem tylko szerokie plecy księdza proboszcza. Boże! jak ja ciężko westchnąłem wtedy! a tu ciągle głos srebrny dzwonił i szeleściała suknia jedwabna. Zmrużyłem więc oczy, puszczając słuch tylko na wywiady.

Mój koliber szczebiotał:

— A któż to taki jest ten gość wczorajszy księdza plebana? zkąd jedzie? dokąd? Opowiadanie księdza proboszcza zaciekawiło mnie niezmiernie. Śmiałam się też serdecznie z niefortunnego wypadku.

— Mościa dobrodziejko! odpowiedział głos księdza—kto on taki, zkąd i dokąd jedzie—nie miałem jeszcze zręczności dowiedzenia się. Wiem tylko, że się nazywa Adamem Szczeradyńskim. Kawaler to jest mocno dystyngowany, postawy bardzo pięknéj.

Posłyszawszy to zarumieniłem się nieco.

— Z małéj zaś rzeczy zmiarkowałem—ciągnął ksiądz daléj—że musi być człowiekiem co najmniéj dostatnim i bardzo religijnym.

— Adam Szczeradyński!... powtórzyła kobiéta—doprawdy! że to nazwisko jest mi znajome—ale zkąd?., a! W jednem z pism naszych czytałam wierszyk podpisany tém nazwiskiem. Wierszyk krótki ale dziwne na mnie wrażenie wywarł. Nauczyłam się go na pamięć. Zatytułowany: Do Anioła snów dobrych.

— E! e! odezwał się proboszcz, to ja obawiam się go mojéj pani przedstawiać.

— Dlaczego?

— Poezya to czasem jest rzecz bardzo niebezpieczna.

— A któż mnie nauczył ją kochać i to smutne życie moje blaskiem jéj opromieniać, jeżeli nie ty, ojcze? Czyż zresztą nie jest poezyą ocierać łzy sierotom, aniołem snów dobrych zjawiać się w chatach nędzarzy? Nauczycielem moim byłeś, a ja z nauk twoich skorzystałam trochę.

— A! odezwał się proboszcz — to utwór ten podobnéj jest treści?..

— No—nie!... odpowiedział cicho głos kobiéty—ale czyż mnie nawet marzyć nie można i choć trochę w błękitach polatać?

Słowa te wypowiedziane były głosem, który serce przeszywa. Rozgorączkowana wyobraźnia przedstawiła mi postać nieznajoméj smukłą, piękną i zdawało mi się, że gdy ostatnie wymawiała wyrazy musiały łzy błysnąć w jéj oczach. Przyjemnie mi było i bardzo przyjemnie, że wierszyk mój napisany kiedyś, w chwilach tęsknoty za ideałem, chwaliła, umiała nawet na pamięć, ale nie mogłem zrozumiéć, jakim sposobem, wydalający mnie wczora tak nieprzyzwoicie ksiądz proboszcz mógł ją uczyć poezyi i to poezyi czynu?

Dalszy ciąg moich myśli przerwał głos plebana.

— A któż ci marzyć zabrania? nie ja przynajmniéj! Do marzeń masz prawo jak i do szczęścia, którego Panu Bogu podobało się nie dać tobie. Ja bym ci pani nieba przychylił, gdyby to tylko w mojéj było mocy.

— O wiem, wiem! ty dobry jesteś dla mnie!

— A czy możesz mnie, pani, ten wierszyk powiedzieć?

— Dobrze! posłuchaj!... ach! zawołała po chwili—jaka ja jestem ciekawa, czy oryginał poety, odpowiada postaci stworzonéj w wyobraźni?...

Nie skłamię jeżeli powiem, że każdy na mojem miejscu chciałby w téj dobie jak najpiękniéj wyglądać. Cóż więc dziwnego, że przegładziłem czuprynę i pokręcając wąsa przytuliłem ucho do rozchodzącéj się w drzwiach szparki; żeby wyraźnie każde słowo jéj słyszyć.

Mój koliber déklamował:

Aniele dobrych snów! natchnienia duchu!
Przeczuty tylko i widziany we śnie—
Po gwiazd promiennym spłyń do mnie łańcuchu
I stań przedemną cieleśnie.

Zamień się w postać kobiéty—anioła,
Która, gdy jasny dzień szczęścia się zmierzchnie—
Ust od bladego nie oderwie czoła,
Przed krzyżem życia nie pierzchnie.

Niech głos jéj dobry, gdy czoło stroskane
Pracą lat długich i trudem uznoję—
Na serce padnie jak balsam na ranę...
Duchu! w ramiona spłyń moje!..

Koliber przestał mówić—ale echo w jego się głosie rozkochało. Chwyciło dźwięki słów smutnéj piosenki i grało niemi czas jakiś, zachwycone melodyą muzyki niezwykłéj aż się nasyciwszy do woli oddało mi wszystkie, żebym je w sercu pokołysał, rozmarzył się—upoił...

Za drzwiami tym czasem nieprzerywano rozmowy.

— Jakże się podoba proboszczowi? spytała kobiéta.

— Ładny! ładny! opowiedział ksiądz widocznie zamyślony—bardzo ładny!..

— Ale proszę już rozbudzić swojego gościa—chcę go koniecznie poznać. Jeżeli zaś mi się podoba, ksiądz pleban zechce tak pokierować rozmową, żebym go mogła poprosić do siebie.

— A po czém mam poznać, że on się mojéj dobrodziejce podobał?

— Choćby po oczach—ale prawda, że ksiądz proboszcz znać się na oczach nie może...

Zaśmiała się, ksiądz się odeśmiał i powstał z krzesła zbliżając się do mojego pokoju.

Posłyszawszy ruch powstającego księdza odskoczyłem ode drzwi co prędzéj, stając przed zwierciadłem i udając zajętego poprawianiem włosów i wiązaniem pięknéj kokardy na szyi. Serce do niezniesienia kołatało mi w piersiach...

Głos dźwięczny mojego kolibra jak srebrny dzwonek brzmiał mi w uszach, dźwięk jego czysty, pełny, z koralowych ustek biedz musiał, był zapewne własnością jednéj z tych istot, do których nikomu niewolno się zbliżyć bez niemego podziwu, bez serca przepełnionego choćby beznadziejną miłością.

— A cha! cha! mości dobrodzieju! — zawołał ksiądz pleban — stojąc we drzwiach mojéj sypialni. — Zaspało się trochę — mówił zbliżając się i zniżywszy głos szepnął mi na ucho: chodź waćpan prędzéj! poznam waćpana z dziwo-żoną, pilnuj się tylko...

— Żeby mnie nie porwała czasem?—dokończyłem — jestem do wzięcia.

Ksiądz się uśmiechnął, kiwnął głową: powoli! powoli! zamruczał i wziąwszy mnie pod rękę wprowadził do saloniku, w którym obrócona plecami do nas, zajęta przewracaniem albumu stała kobiéta w powłoczystéj, czarnéj sukni, z warkoczem kruczych włosów misternie splecionym na greckich kształtów głowie. Jedyną drogą ozdobą jéj skromnéj tualety był pyszny sznur pereł na alabastrowéj zawieszony szyi. Posłyszawszy za sobą szelest kroków, zwróciła się twarzą do nas, patrząc na mnie szafirowémi jak włoskie niebo oczami.

Zaparłem dech w sobie.

Te oczy jakąś głębią ogromną patrzyły, jakąś potęgą nieziemskich czarów przykuwały do siebie na wieki.

Prezentuję mojéj najłaskawszéj pani i opiekunce tutejszego kościoła, pana Adama Szczeradyńskiego — mówił proboszcz zbliżając się ze mną do pięknéj kobiéty — kim zaś on jest to już jéj pozostawiam do zbadania, bo sam w téj materyi nic jeszcze nie wiem — dokończył śmiejąc się.

Jak na kryształowéj szybie jeziora swawolnym, niespodzianym wiatru podmuchem wydmie się fala, zadrży i to drżenie drugiéj udzieli—tak nagły, choć lekki rumieniec błysnął na jéj licach i nadpowietrzną drogą do mnie przybiegł, wyciskając na mojéj twarzy ogniste znamię nieśmiałości i wstydu bez winy. Wiedziałem, że z rumieńców takich czasem się rodzi miłość...

Kobiéta pierwsza wyszła z zakłopotania.

— Ksiądz proboszcz nie wymienił nazwiska mojego...

— A! — przerwał jéj pleban — wybacz mościa dobrodziejko! Ale zdawało mi się, że anioły nazwisk nie noszą—zawołał patetycznie i dodał:

— Prezentuję waćpanu panią Annę Ornowską, Starżównę z domu...

Na słowa te spadłe nagle jak piorun, krew wszystka z twarzy uderzyła mi w serce, rozdęła je, skurczyła i czułem, że we mnie zaszła jakaś zmiana straszliwa, bo wzrok pięknéj pani spojrzał na mnie dziwnie badawczo i zamglił się łzą niby, która wysiłkiem woli skryła się w głębiach szafirowych jéj oczów. Zauważyłem lekkie drgnięcie jéj ust zbielałych nagle jak dwa listki kwiatu akacyi...

„Pani Anna Ornowska“— powtórzyłem w duchu... Więc serce jéj jest już czyjąś własnością, a własność to tak droga, że ją chyba wraz z życiem się pozbywa.

O mój kolibrze z srebrnolistnego gaju, mamże gonić za tobą, by ciebie nigdy nie ująć? w bezcelowéj pogoni targać siły i serce kruszyć? Mam-że być podobnym do heliotropu, który wciąż do swojego słońca się zwraca, aż póki ono nie spali go, nie zniszczy— na wieki?..

O moj kolibrze z srebrnolistnego gaju!..

Jak błyskawice orzące chmurne łono burzliwego nieba, w mózgu moim przelatywały myśli z grzmotem straszliwym. Trwało to sekundę może, dwie najwięcéj. Myśl pocieszająca: może wolna? ułagodziła burzę uczuć.

Stałem tak przed czarującém zjawiskiem zmięszany, odurzony niezwykłą pięknością téj kobiéty. Nie wiedziałem sam co z sobą zrobić, od czego zacząć rozmowę. Położenie moje, nasze może, pogorszyło się gdy gospodarz zapoznawszy nas zwrócił się do swojego pokoju.

— Siadaj pan! — rzekła do mnie po chwili, pokazując mi ręką krzesło obok siebie i patrząc za odchodzącym księdzem. Poznanie się nasze jest niezwykle—dodała— ani pan ani ja nie możemy ukrywać. Pan miałeś minę studenta, ja piętnastoletniéj dzieweczki.

Zaśmiała się...

Mój koliber nie tak się śmiał przedtém—jakiś odcień smutku do téj muzyki śmiechu się dołączył.

— Gdy więc nie możemy ukrywać — odpowiedziałem— powinniśmy, ja przynajmniéj czuję się w obowiązku powiedzićć prawdę, choćbyś pani zagniewać się na mnie miała.

Pani Anna podniosla na mnie oczy duże, lekki rumieniec zabarwił twarz jéj piękną i cudnych kształtów usta zajaśniały czerwienią koralów.

Mówiłem poważnie:

— To spotkanie nasze nie jest prostym wypadkiem, jest ono wyrokiem losów nam nieznanych. Zobaczyłem ciebie, pani, przed chwilą a zda mi się, że znam cię oddawna — rozstaniemy się, ale zapomnieć ciebie nie będę mógł nigdy...

— A jednak trzeba będzie zapomnieć, rzekła smutnie.

— Rozkaz niewykonalny...

— Kto panu żartować pozwolił?

— Dla czego pani prawdę zwiesz żartem?

— Więc kto panu dał prawo taką prawdę wygłaszać?

— Anioł snów dobrych—odpowiedziałem z uśmiechem.

Czy jest co piękniejszego jak rumieniec na twarzy pięknéj kobiéty? Róża by w téj chwili pozazdrościła kolorów jéj lica, zachodni blask słońca nie palił się nigdy płomienniéj. Nie mówiłem nic rozkoszując się rumieńcem téj pięknéj. Pani Anna to spostrzegła.

— Niedobry pan jesteś—odezwała się— nie!— dodała prędko— niegrzeczny pan jesteś!

— Czy dla tego żem uwierzył w zjawienie się wołanego ducha? we wcielenie się anioła snów dobrych?

— Jeżeliby i tak było, że ideał przez pana wymarzony był do mnie podobny, to czy pan nie wiesz, że losy czasem źle rządzą. Każą na szczęście czekać długo i gdy już w jego przyjście zwątpimy, pożegnamy wszystkie o niém marzenia; gdy nowych losów koleją pędzeni myśléć nawet o niém stracimy prawo — wtedy staje przed nami—za późno, by je można ująć, za piękne, by je zimną dłonią odepchnąć...

W oczach jéj zakręciła się łza znowu, którą chciała pokryć wymuszonym uśmiechem.

— Dziwną zaczęliśmy rozmowę — rzekła, potrząsając głową jakby z pięknego czoła chciała niemiłą jakąś myśl spędzić — za dziwną nawet na tak krótką znajomość. Ale pan mówisz, że nie my temu winni, tylko wyroki losów nam nieznanych. Gniewajmy się więc na nie... A teraz, pozwolisz pan, że go zaproszę dziś do siebie—rzekła powstając i zwracając się do wchodzącego księdza—dodała:

— Pan Szczeradyński został przezemnie zaproszony do Mrugotyna, pod opiekę księdza oddaję już mojego dziś gościa. Czekam panów o dwunastéj.

— Ależ mościa dobrodziejko, przecież to ja miałem naprowadzać rozmowę.

— Ojcze Atanazy! — przerwała pani Anna z pośpiechem.

— Nie wyskakuj jak Filip z konopi — dokończył śmiejąc się proboszcz.

Nachyliła się, ucałowała księdza w ramię, mnie podała rękę białą, wilgotną...

— Będziesz pan?—zapytała.

— Czy mógł bym odmówić?..

Rączkę jéj zatrzymałem w swéj dłoni dłużéj niż miałem prawo. Odpowiedzią na to było jéj powłóczyste spojrzenie i uśmiech, który mi niebo otworzył.

III.

Para skarogniadych rumaków krwi wschodniéj, rwąc kopytami głębokie zaspy śniegu, uniosła piękną panią z przed oczu moich.

Długo patrzyłem za nią i choć ją okryły srebrne mgły oddalenia, nie mogłem oderwać zesztywniałéj źrenicy od długich śladów sani i wciąż mi się zdawało, że na dalekiém tle horyzontu czerniał jakiś punkcik mały, znikał na chwilę i znów się zjawiał i stał zawieszony w błękitném powietrzu wielkości najmniejszego komara.

Westchnąłem głęboko.

— A to co za niefortunne sapnięcie? — zawołał wesoło proboszcz, zbyteczny świadek cichéj tęsknoty serca.

Zbudzony ze snów słodkich fałszywym akordem prostéj harmonijki, drgnąłem gwałtownie.

Staliśmy na ganku.

— Zimno, mości dobrodzieju!— rzekł ksiądz Atanazy— chodźmy do izby.

Weszliśmy — ksiądz mówił daléj:

— Zacna to, zacna niewiasta ta pani Anna! Gdyby nie ona, nie wiem co by biedni ludzie robili w tym oddalonym od reszty świata zakątku naszego kraju. Choroby by ich zjadły i zmizerowały. A tak z jéj łaski mamy szpital dla cierpiącego biedactwa i kościół nie świeci dziurawym dachem i probostwo z fanfaronadą patrzy sobie ze wzgórza na okolicę i nie myśl waćpan, żeby nie miało ogrodzenia, że tak łatwo wczora do mojego okna się dobrałeś, są prześliczne sztachetki pomalowane na biało i popielato ale je śnieg niegodziwiec zasypał zupełnie i dzisiaj można swobodnie przez nie jeździć, żadnego nie lękając się wypadku. Odwiedza mnie pani Anna parę razy na tydzień, bo ztąd mieszka o kilkanaście minut drogi, i dziś z rana przybiegła do mnie, będąc zaniepokojoną czy czasami wczorajsza burza chaty mi nie rozwaliła. Dobra to kobiéta, ale niebezpieczna.

— Dla czego?—spytałem niespokojnie.

— Cho! cho! cho! waćpan to prędzéj odemnie mogłeś zauważyć, nie nadaremnie westchnąłeś jak miech w kuźni porządnego kowala. Kręcą się franty koło niéj niby szerszenie koło muszkatel, lawirują jak ćmy koło dobrze podkręconéj lampy.

— A ona co?

— Aha! jużeś ciekawy jak ona podrygi te przyjmuje; sprobój a zobaczysz!

Spojrzał na zegarek.

— No! mości dobrodzieju, dwunasta nie za górami, przygotuj się *comme il faut* do wizyty w Mrugotyńskim pałacu. Ja za parę minut będę gotów do wymarszu, a miéj się tylko waszmość na baczności.

— Bo...

— Bo mąż jéj jest strzelcem zawołanym. Kulą z pistoletu lecącym srokom dzioby rozbija....

Zaśmiał się i wyszedł z pokoju.

Wesołość, lekkie traktowanie życia i niezapominanie języka w gębie odziedziczyłem po przodkach swoich, których większa połowa była adwokatami i mecenasami przy trybunałach: lubelskim i żytomierskim. Tu, od czasu dziwnego poznania się z panią Anną, coś zakneblowało zawsze wymowne moje usta. Ostatni argument księdza zgrzytnął mi niemile po uchu nie dla tego, żebym się miał przestraszyć, bo dyabłu rogatemu z samego środka piekła niekoniecznie bym się pokłonił, ale że te słowa coś wyglądały na żart niewczesny, bolesny dla mnie w obecnym nastroju potrąconéj dziwną grą uczuć duszy. Nie odpowiedziałem nic jednak bo nie udało mi się nic odpowiedziéć.

Jak dziecko po długiém patrzeniu w zawieszoną pośrodku nieba tarczę słońca widzi ognistą plamę w głębiach swych oczów po odwróceniu ich lub nawet zamknięciu; w źrenicach moich, smukła jak kolumna, jak sen o szczęściu piękna, stała pani Anna Ornowska. Ale miałżem prawo marzyć o niéj? śmiał-że bym się do niéj zbliżyć z myślą pozyskania jéj względów? Nie! za nadto dumny byłem, przekonaniom i zasadom swoim nie kłamałem jeszcze, nie uwodziłem nigdy i nikogo! Nie miałem jednak siły odjechać bez zobaczenia jéj raz jeszcze, choć czułem, że mogło się coś splątać, coś pęknąć mogło, choćby i serce...

W drzwiach stanął ksiądz Atanazy.

— Brawo! brawissimo! nim nałożyłem sutannę a już waćpan jak lalka wyczupurzyłeś się... (ksiądz Atanazy zwykle ubierał się godzinę i minut szesnaście). — No! formuj front! już moje dromadery czekają na nas przed gankiem.

Z bijącém sercem wsiadłem do sań.

Ksiądz się utulił cały w postawionym kołnierzu od futra i milczał, ja w głębokiéj utonąłem zadumie.

IV.

Ogromny jak średniowieczne zamczysko, bez jego tylko rycerskiéj powagi, na tle zielonych jodeł i świerków zarysował się dwór Mrugotyński. Fronton gmachu wzniesiony bez szczególniejszych architektonicznych linij, z olbrzymiemi kolumnami wsuniętemi w zapadłe łono ścian połamanych, tworzył dwupiętrową galeryą, nad którą wyginały się sufity pokrajane żebrami łuków półgotyckich, spiętych po środku wykrzywionemi gnomów twarzami. W głębi, pomiędzy filarami świeciły różnobarwne szyby okien kształtów podłużnych, oddanych pod straż niewieścim karyatydom. Boczne skrzydła pałacu z jednotaflowemi oknami przedzielonemi tylko wąskim słupkiem pięcioramiennéj niby palmy, rysowały łagodne półkole. Prawą stronę tego potworu kończyła sześciograniasta wieżyca z ostrym dachem i szpicem, u którego skrzypiąca obracała się z wiatrem chorągiewka, lewa wdzięczyła się balkonem, którego marmurowa podstawa nurzała się w falach dziś zamarzniętego jeziora. Płaskiego dachu pałacu strzegły Cerery i Cerbery i tym podobne bóstwa i straszydła mitologiczne.

Jeżelibyś chciał po fizyonomii gmachu odgadnąć naturę jego mieszkańców, najniekorzystniejszy sąd musiałbyś wydać. Próżność i pycha połączone z nader słabo rozwiniętym smakiem estetycznym podały tu sobie ręce.

Inaczéj musiały wyglądać dawniéj.

Miejsce powagi zajęła wymuszona elegancya, mury potężne dźwigające niegdyś miedziane dachy, musiały się poddać wyuzdanéj fantazyi próżności, która zgrzybiałe czoło dziada ustroiła egzotycznemi kwiatami, nielicującemi z powagą kilkuwiekowego staruszka.

Zbliżaliśmy się właśnie do wjazdowéj bramy, na któréj kwadratowych słupach, wsparte o miecze, gipsowe tarcze świeciły herbami i koronami o gałkach dziewięciu. Dromadery księdza proboszcza sunęły się powoli po mało jeszcze przetartéj drodze, jeden niemiłosiernie kulał, drugi zaś nieumęczenie kręcił ogonem.

Zatrzymaliśmy się przed gankiem.

Służba w liberyi rozwarła podwoje — weszliśmy na salę.

Po środku ogromnego pokoju, którego ściany obite karmazynowym adamaszkiem, świeciły od zwierciadeł, złoconych ram obra-

zów, kryształowych kinkietów, kotar złotolitych u mahoniowych podwoi i pozłacanych kopii nad oknami, u których zwieszały się kapiące złotem przysłony; na kobiercu utkanym w ziemiach Iranu, stał atletycznéj budowy, oliwkowéj cery twarzy, z krótko ostrzyżonemi faforytami, hrabia Tytus Ornowski.

Nic głupszego na świecie jak pierwsze poznajamiania się chwile. Miło! przyjemnie! zaszczytnie!.. po których siada się na wygodnych, jak u pana Ornowskiego fotelach i coś z pod nosa, ni w pięć, ni w dziewięć przebąkiwać się zaczyna.

Siedliśmy już tedy i pan hrabia bąknął:

— Wczora złorzeczyłem zawiei, dziś przebaczam gwałtownym jéj szturmom bo miłego nam w osobie pana przyprowadziła gościa.

— Nie mniéj serdeczne i ja przebaczenie jéj posyłam bo dała mi zręczność poznania gościnnego pana hrabiego domu.

— Ha! ha!— zaśmiał się ksiądz Atanazy — gdyby nie najmilsza pani Ornowska, nie wiem czyby waćpana jakakolwiek burza przyholowała do Mrugotyna...

Spąsowiałem — hrabia zagryzł wargi.

— Skorzystałem z łaskawych zaprosin hrabiny.

— Za które i ja żonie mojéj niewymownie jestem wdzięczny— dokończył hrabia.

Podaliśmy sobie ręce.

— *Ma femme* ukochała samotność. Mimo licznych stosunków i związków krwi jakie nas łączą z całą niemal Europą, obojętność jéj na wszystko odstrasza ludzi. Raz tylko, od dwóch lat naszego pożycia, udało mi się ją namówić na podróż do Londynu. I gdy mnie zachwycały wyścigi i niezrównana klacz lorda Pembroll, ona zwiedzała groby Westminsteru, ja zamarzyłem o wyjeździe do Pekinu, ona zatęskniła za ojczyzną. Nudzę się w téj ojczyźnie śmiertelnie. Gość każdy w Mrugotynie jest krukiem białym i przeto pożądanym niez...

Tu ziewnął hrabia.

— Miernie — dokończył, zasłaniając nieco za późno stulone już usta.

Ponieważ ziewanie jest sympatyczném, odpowiedziałem więc niém gospodarzowi. Ksiądz Atanazy także dłużnym nie został, za głośno tylko zabrzmiała odpowiedź proboszcza.

— Zanudzisz się pan u nas *c'est sûr*! — rzekł hrabia z lekkim uśmiechem — pan domu powinien być duszą towarzystwa, a tymczasem...

Szmer się zrobił — w otwartych drzwiach salonu stanęła Anna.

Piękna pani była w tym samym stroju w jakim ją widziałem dziś z rana. Ta sama suknia, ten sam sznur pereł na szyi, tak samo włosy zwinięte, a jednak była w niéj jakaś zmiana widoczna. Wydała mi się piękniejszą jeszcze ale dziwnie smutną i przygnębioną. Żadnego znaku rumieńca nie było na téj przezroczystéj białości twarzy, tylko usta świeciły gorączkowo płomienną barwą, oczy więcéj cienia rzucały i cała jéj postać zdawała się mówić: ja nie jestem szczęśliwą! I zaiste! duszna atmosfera pałacu, ciemne ściany sal, chłód jakiś wiejący od murów tego posępnego gmachu, złém były otoczeniem dla istoty do kwiatów i słońca stworzonéj. Czułem, że tu się ukrywać musi jakaś tajemnica nieszczęścia. Patrzyłem jednak na nią z niewymowną rozkoszą i patrzyłbym tak lat tysiące. Była to chwila wcielenia się marzeń i złotych pragnień serca, chwila urodzin miłości pierwszéj i ostatniéj!

Cicho, jak anioł ruin, idąc po kobiercu przykrywającym marmurowe płyty posadzki, zbliżyła się do nas. Powitała księdza Atanazego ucałowaniem ramienia, mnie malutką rączkę podała.

Może mi się wydało, lecz ręka jéj w mojéj dłoni zadrżała, tętno serca słyszałem przez suknię, mógłbym każde uderzenie policzyć.

Spłoniła się — zbladła... lecz w chwilę zapanowała nad sobą. Podziękowała, żem nieodmówił jéj zaproszeniu i siadając między mną a mężem, obojętną rozpoczęła rozmowę.

Rozmowa była ciężka, nużąca, przerywana czasem wesołym konceptem proboszcza. Gawędziliśmy o niezwykłych mrozach tegorocznéj zimy, o wczorajszéj zawiei i niefortunnym z powodu niéj wypadku, nakoniec zostałem zapytany o celu swojéj podróży, zkąd i dokąd jadę?

— Zapusty przepędziłem na Podolu u krewnych — rzekłem zapalając podane mi przez hrabiego cygaro — obecnie powracam do swojéj rodzinnéj wioski, gdzie ostatnie miesiące zimowe przesiedzę nad książką, uprzyjemniając samotne życie wspomnieniami doznanych w podróży wrażeń...

— Miałeś ich pan dużo?— spytała pani Anna.

— Jedno tylko — lecz siłą równało się uderzeniom piorunu...

Czułem niedorzeczność odpowiedzi.

Anna zaparła dech w sobie, hrabia pełną piersią pociągnął dym z cygara i puścił w powietrze kilkanaście misternych kółek.

Zapanowało milczenie.

Poczciwy ksiądz Atanazy znać zrozumiał położenie nasze, pośpieszył więc niezwłocznie z pomocą. Zaśmiał się wesoło i zawołał.

— To ja mości dobrodzieju doznałem wrażenia, jakiego od trzaśnięcia piorunu tylko doznać można, kiedy waćpan w okno probostwa dyszlem zajechałeś...

Hrabia zaśmiał się—Anna odpowiedziała przymuszonym uśmiechem.

— Mówiłeś pan, że zapusty przepędzałeś na Podolu—czy wesoło?

— Balów było kilkanaście— ostatni maskowy świetnie się udał.

— Lubisz pan tańczyć?

— Zanadto może — szczególnie walca.

— Pan masz mój gust... Ach! jak ja dawno tańczyłam!

— Czy okolice państwa bawić się nie lubią?

— Nie wiem!

— Przecie hrabiostwo macie z sąsiadami stosunki?

— Z jakimi sąsiadami? — odpowiedział hrabia — kilkunastu szlachciców, proprieterów kilku wiosek, kilkudziesięciu posesorów w moich majątkach i parę sztuk dyrektorów moich fabryk *voilà tout!* i to jest sąsiedztwo?

— Ach! jak ty się wyrażasz!—odezwała się pani Anna—patrząc na męża.

— Co byś waćpan zrobił — zawołał ksiądz Atanazy, zwracając się do mnie — gdybyś był raptem dyrektorem jakiéj fabryki i słyszał to piękne kazanie.

— Wyzwałbym hrabiego na pojedynek—rzekłem z uśmiechem.

— Przyjąłbym wyzwanie—odpowiedział hrabia— ale na szczęście—dodał po chwili — do podobnego ewenementu przyjść nie może. Slyszałem o Szczeradyńskich jako o posiadaczach pięknéj fortuny, nie mówiąc już, że Niesiecki o rodzie pana szeroko pisze.

— Jak on pisze tego nie wiem — odpowiedziałem nieco poirytowany — pod względem zaś majątkowym należę do jednowioskowych szlachciców, których sąsiedztwo nie jest zbyt miłe panu hrabiemu.

— *Mais vous avez mal compris!..* Szlachta, o któréj wspomniałem, to są ludzie pracy... to jest— łapał się pan hrabia — dorobkowicze nieznanego pochodzenia, przeważnie synowie oficyalistów, którzy zasiedli miejsca po zbankru... to jest po upadłych rodach magnackich.

— Opróżnione miejsca ktoś przecie zająć musi i może z większą dla społeczeństwa korzyścią niż zbankrutowani magnaci.

Wejście kamerdynera oznajmującego, że waza na stole, przerwało drażliwą rozmowę.

Pani Anna podała mi ramię. Ksiądz Atanazy już pomaszerował był naprzód, błogosławiąc modlitwą cudownie woniejące dary boże. Przeznaczono mi miejsce około gospodyni domu, na przeciw usiadł pan hrabia z proboszczem.

Gdybym nie lękał się znudzić moich czytelników, opisałbym po kolei wszystkie potrawy, ich barwy, wonie i smaki z niczém porównać się nie dające. Ale, że i ludzka mowa za ubogą jest w terminologii zapachów i smaków, powiem więc tylko, że po skończonym obiedzie można było, jak powiadają, wszystkie palce oblizać. Obiad się skończył ogólném płókaniem ust wodą miętową, podaną w przepysznych filiżankach z sewrskiéj porcelany, z takiemiż głębokiemi miseczkami.

Po trzygodzinnym obiedzie, ksiądz Atanazy szepnąwszy mi na ucho: ostrożnie, mości dobrodzieju, bo ja coś widzę! i obiecując przysłać konie, odjechał, wesoły niby, ale z jakąś troską i niepokojem na czole. Pan hrabia ziewnął parę razy, powiedział mi kilka komplimentów ni w pięć ni w dziewięć i przepraszając, udał się obejrzéć gospodarstwo jak mówił, a późniéj dowiedziałem się, zdrzemnąć się nieco, co zresztą było jego codziennym zwyczajem, a z którego w téj chwili rad byłem niewymownie.

Zostaliśmy sami — Anna i ja.

Słońce, jak tarcza olbrzymia, nabrzmiałe, czerwone, zatrzymało się na krańcach zachodu. Krwawy blask rzuciło na majestatyczne drzewa parku brylantujące się soplami lodu, pąsową łuną oblało biały całun pól dalekich, ginących w sinéj przestrzeni i snopem promiennym, przekradłszy się przez kryształowe szyby pałacu, ucałowało twarz pięknéj pani, zazierając w oczów szafiry, jakby tam nieba drugiego szukało...

Milczący, poważni, mierzyliśmy komnaty posępnego gmachu krokiem cichym. Anna miała powieki opuszczone ku ziemi, których rzęsy rzucały cień długi na lica białe. Ja patrzyłem wprawdzie na nią ale do zaczęcia jakiejkolwiek rozmowy myśl nie wydała rozkazu. Straciłem pamięć chwili obecnéj, lubym oddając się marzeniom...

Piękna pani chciała może wyjść z położenia, które ją niepokoiło trochę. Kilka razy powieki się podniosły, usta poruszyły, ale słowa w lekkiém tylko westchnieniu konały. Doprawdy! raz pierwszy poznałem niebezpieczeństwo milczenia. Zdawało mi się, że skrzydła mi u ramion wyrosły, że ująwszy ją w pół kibici będę zdolny do samych gwiazd unieść.

Czy zrobiłem ruch jaki, który przeląkł nieśmiałą — nie wiem! ale nagle głowę podniosła, spojrzała mi w oczy i przechodząc wraz ze mną długie szeregi komnat to obite adamaszkiem, to wykładane marmurem.

— Chodź pan! — powiedziała przerywając nużące milczenie — zapoznam pana z mieszkaniem naszém, które jest olbrzymiem dla mnie więzieniem. — Hrabia Tytus — mówiła — zasklepił się jak je-

dwabnik w kokonie dawno przebrzmiałéj sławy swojego rodu. Prądy nowych idei, nowych przekonań i wiar nie przebiły szyldkretowéj skorupy przesądów. O przyszłości myślić nie lubi — teraźniejszość go nudzi—umarła przeszłość pociąga za sobą umysł i serce jego. Dom nasz jest prawdziwym klasztorem, świątynią bogów, niemających już wyznawców swoich.

— Jakąż tu rolę pani odgrywa?—spytałem.

— Rolę niepoświęconéj kapłanki przy dopalającém się ognisku znicza.

— Przechodziliśmy właśnie przez jedną z sal, u ścian któréj poskładane hebanowe stoły inkrustowane złotem i szafy z naczyniami z tego drogiego kruszcu, wskazywały, że była to jedna z izb biesiadnych, w któréj zasiadali, nie bliscy sąsiedzi hrabiego lecz ludzie równi mu urodzeniem, tytułem i nie rzadko przekonaniami. Na ścianach wisiały stare płótna z szlachetnemi rysami przodków; herby Ornowskich, Starżów i innych skoligaconych z nimi domów piękną girlandą obiegały salę.

Spojrzałem na te postacie ludzi dawnych: znajomy mi ten, i ten, i ten... Niejeden z nich radą uczciwą przybył w pomoc krajowi; niejeden pół mienia na ołtarz ojczyzny złożył; niejeden śmiercią swoją zapieczętował żywot chwalebny. Nie potrzebowali się chlubić blaskiem dawnym, każdy z nich swojego miał dosyć.

Dzisiejszy potomek tych niedzisiejszych ludzi dziwnie był do nich niepodobny. Nie duma szlachetna z zasług własnych, nie pogoda czoła po uczciwie przeżytym dniu, lecz pycha niezmierna z blasku nie swojego, wyraz przedwczesnego znużenia i przesytu były charakterystyką twarzy hrabiego Tytusa. Nie było na niéj jednego rysu tych mężów dawnéj przeszłości, natura poskąpiła mu nawet rumieńca, tego kwiatu zdrowia a może i szczęścia.

Przechodząc przez tę salę, gdy chciałem koło jednego z portretów się zatrzymać, hrabina drgnęła i pociągając mnie za sobą, rzekła prędko:

— Nie zatrzymuj się pan w téj sali, ona jest dla mnie pełną wspomnień boleśnych. Przebiegam przez nią szybko, nie przyzostaję nigdy. Tu odbył się targ bezwstydny o honor bezbronnéj kobiéty.

Prowadząc ją pod rękę czułem jak serce jéj biło, jak krok omdlewał. Chciałem rozpocząć jakąś rozmowę lecz wyrazów mi brakło. Słowa jéj, piękność jéj i wszystko co mnie otaczało, wydawało się snem raczéj niż rzeczywistością.

W milczeniu minęliśmy jeszcze parę pokojów, aż zatrzymaliśmy się w niewielkiéj, w porównaniu z innemi, komnacie pełnéj kwiatów, światła i woni, któréj ściany były wyłożone białym jak

śnieg marmurem i ozdobione kilku obrazami dobrego pędzla pejzażów. Fortepian, szafa i stół pełen papierów i książek, wskazywały, że jestem w cichéj świątyni pracy młodéj kobiéty.

— Siadaj pan!—rzekła—wskazując mi miejsce obok siebie. Tu dopiero uśmiechać się i być wesołą mogę. Ten pokoik ubrałam według swojego gustu—tu czytam, marzę i płaczę czasami.

— Więc — rzekłem budząc się z zamyślenia — tu jest kres naszéj wędrówki!... Myślałem, że ona nie będzie mieć końca, że tak w wieczność pójdziemy razem...

— Co panu jest? — spytała Anna brwi lekko marszcząc i podnosząc na mnie oczy, w których znaku najmniejszego gniewu nie widziałem.

— Sam sobie mógłbym rzucić to pytanie. Przeżyłem lat trzydzieści, ludzi dużo, wrażeń dużo przeszło przed mojemi oczyma, prześliznęło się przez duszę, nie zostawiając żadnego na niéj śladu. Pamięć nie przechowała żadnego obrazu, żadne silniejsze uczucie nie potrąciło sercem. Życie moje było podobne do życia pająka, który w cichym zakątku snuł spokojnie nić szarą. Blask słońca, upajającą woń białéj lilii, znał z marzeń tylko. Ale dzień dzisiejszy...

— Nie kończ pan!—przerwała Anna—na świecie jest wszystko złudzeniem, snem. Przed naszem okiem kwiat się rozwinął, pociąga nas barwą swoją i świeżości połyskiem — zrywamy go, przypatrujemy mu się bliżéj i plamkę jedną, drugą i trzecią znajdujemy na listkach białych. Kwiat kilka chwil już przeżył i pył ziemi czystą mu powalał sukienkę. Może i dzień dzisiejszy jest snem tylko, dajmy więc pokój rojeniom! Ale, na co to mówię? Pan dotąd nie zaznałeś żadnego zawodu, na co mam zabijać w panu wiarę w szczęście, co jest jedynym skarbem; gasić pragnienie szczęścia, co jest szczęściem samem!

— Więc wszystko jest złudzeniem?—rzekłem jakby do siebie—więc nawet widzenie pani jest snem tylko, po zniknięciu którego... oszaleć można!..

— Pan marzysz!—drżącym głosem powiedziała Anna.

— Marzenia w śnie bywają — odrzekłem.

Anna nie odpowiedziała nic. Wzięła jakąś książkę do rąk i bezmyślnie zaczęła przewracać karty.

Czułem — kłamała obojętność.

Zapanowało długie milczenie — bo i o czém mogliśmy mówić? Ona skłonną była do łez, ja do szaleństwa. Pokochałem ją całą mocą duszy, całą potęgą pierwszego uczucia, moją młodością całą, któréj nie zbrukałem jeszcze w kale ziemi.

Ale, wypadało coś mówić.

Anna podniosła głowę i wskazując na książkę trzymaną w ręku, spytała:

— Czy znasz pan tę powieść?

— Nie lubię powieści— odpowiedziałem —nudzą mnie! Jedna tylko, którą dziś czytać zacząłem, zajęła mój umysł i serce.

— Czy wolno wiedzieć pod jakim nadpisem?

— Brak tytułowéj karty.

— Kto jéj autorem?

— Traf, los czy Bóg — nie wiem!

Anna spojrzała na mnie.

— Nie rozumiem pana.

Popatrzyłem na nią — ona spuściła oczy.

— Czy dzień dzisiejszy nie rozpoczął się dla mnie tajemniczą zagadką powieści?

— Czy tylko dla pana?

Rumieniec twarz jéj oblał.

— Ach! co ja mówię!.. wybacz pan! ale ja siebie nie rozumiem.

Krótko, urywanie te słowa z drżących ust wybiegły. W jéj pomięszaniu, bladości, rumieńcu było coś, co mnie nieprzepartą siłą ciągnęło do niéj. Krew z szelestem przelatywała mi przez żyły, uderzala w serce, mięszała rozum. Coś zaraźliwego być musi w tym tajemniczym wirze krwi. Rumieniec z razu lekki, mały jak plamka zakwitł na licach Anny, późniéj całą twarz jéj oblał, zapalił usta i kazał westchnieniu z piersi wylecić, uderzyć sercu nagle, gwałtownie, szalenie... Czy ją to przestraszyło? nie wiem! lecz szybko powstała i spytawszy mnie: czy lubisz pan muzykę? nie czekając odpowiedzi zbiżyła się do fortepianu.

Zabrzmiały tony ciche, dźwięczne, lekkie, urocze... Jakaś pieśń nieziemska wypłynęła z pod palców kobiéty, szukającéj szczęścia niezaznanego, upojeń miłości, szału rozkoszy. Myślałeś, że się naciągnęły struny powietrza i odpowiedziały jękiem na jęk, płaczem na płacz i wiedzione pieśnią ducha muzyki drżéć zaczęły coraz silniéj, głośniéj, rozpaczniéj... Z błyskawiczną szybkością dźwięk leciał jeden, drugi, porywał tysiące za sobą, miotał się w szale westchnień namiętnych aż się rozsypał w głosów miliony i w hymn modlitwy uderzył. Nagle tony się zmięszały, splątały w jakieś brzęczenia bezładne jak płacz gwałtowny, jak krzyk rozdzieranego serca—struny westchnęły jękiem długim, niezmiernym zgrzytem boleści... i pękły nagle jakby zdławione zimnym śmierci uściskiem. Kilka jęków tylko odezwało się w czterech rogach sali jakby tajemnicze duchy ze snu się zbudziły i płakały.

Anna grać przestała.

Milczeliśmy.

— Pani wyśpiewałaś poemat życia —rzekłem.

— Jego początek i koniec.

— Nie, pieśń się urwała w połowie.

— Nie zawsze się dosnuwa nić życia, zabrzmiała odpowiedź.

Po krótkiém milczeniu Anna podniosła oczy, wpatrzyła się we mnie długo i spytała poważnie:

— I co pan o mnie myślisz?

— Wiem tylko, że jestem niewolnikiem twoim, pani!

— Do wypowiedzenia tych słów dałam ja sama panu prawo nieoględném postępowaniem. Wybacz pan! Niekorzystne wyobrażenie, jakie możesz mieć o mnie, zmień na lepsze. Na szczeréj przyjaźni pana mnie już dziś wiele zależy.

Podała mi rękę.

— Nie zawiedziesz się pani na niéj nigdy.

— Ale — spytała po chwili — czy można tak prędko pozyskać przyjaźń?

— Nawet miłość!— zawołałem, nie czując się być panem siebie.

Pani Anna drgnęła — podniosła głowę dumnie i długo, długo patrzyła na mnie.

Zmierzyliśmy się oczyma.

Było to badanie wzajemne, tajemnicza rozmowa dusz.

— Obraziłeś mnie pan—rzekła, podnosząc się zwolna z siedzenia i robiąc krok do wyjścia.

Krew mi zbiegła do serca, jakiś ból niém szarpnął i strach ogarnął duszę, jakby traciła raj obiecany. . .

— Pani!— zawołałem, zatrzymując ją w drzwiach— nie oddalaj się odemnie z tém gniewném czołem, z myślą, że stanął przed tobą może człowiek podły. Kłamcą nie byłem nigdy i teraz być nim niechcę. Rzuciłaś na mnie urok, pod którego zaklęciem zostanę do końca życia. I cóż winien człowiek, który wpatrzył się w słońce i ono go oślepiło? Co duch winien, który w przelocie przez błękity anioła spotkał i pokochał? Za prędko to, za nagle, za nieprawdopodobnie!.. Pani! ostatni raz mnie widzisz przed sobą, progów tego domu nie przekroczę już nigdy! Więc zaklinam cię na wszystkie sny twoje, niech przynajmniéj w pamięci twéj zostanę jako ten, którego możesz—choć szanować. Bądź zdrowa! Żegnam cię, widmo urocze, na wieki! . . .

Gwałtownie, namiętnie pochwyciłem jéj obie dłonie i przycisnąłem do serca i niewyrywane do ust podniosłem całując długo,

a dwie łzy duże — przeklęte czy błogosławione! — na białą jéj rękę upadły.

Anna drżała jak listek osiny.

Spojrzałem na nią.

Z pod ciemych rzęs, długim sznurem pereł spływała kropla za kroplą.

Anna płakała.

Czy w takich chwilach godziny szybciéj spływają? czy słońce chciało ująć nas zdradą? dość, że zsunęło się z nieba cicho, zostawiając czerwony pas tylko na jego czole zciemnioném mrokiem wieczoru.

Do ust jéj przycisnąłem usta płomienne.

— To tylko mojém być może, Anno! kocham ciebie...

Pocałunek ten miał siłę zapalną. Anna zadrżała, zachwiała się... chciała walczyć—siły ją opuściły, dreszcz roskoszy przebiegł po ciele, błysnął płomieniem w oczach, wyleciał z piersi westchnieniem... i usta się uśmiechnęły takim czarów uśmiechem jakby dusza do snu się kładła otulona błękitném skrzydłem aniołów.

— Tak prędko! prędko!.. czy ty nie kłamiesz? szeptała w lubym szale, w upojeniu szczęścia spełnionego—i drogie jéj ramię oplotło mi szyję i pocałunek słodki, rozkoszny, jak wieczność długi, drżącemi niesiony usty, na ustach moich spoczął...

Anna szeptała:

— Drogi! jedyny! Ty może nie wiesz, że raz pierwszy dotknęłam ust mężczyzny—że pocałunek ci niosę... dziewiczy!.. Marzenia moje stały się życiem, sen się wyśnił, wcieliły się mary serca! Mój drogi! luby! jedyny!..

I znów całowała, i znów szeptała namiętnie.

Nagle—czy siły ją opuściły? czy pamięć jaki obraz straszny wyzwała z mgieł dalekiéj przeszłości?.. zbladła, zachwiała się i usunęła z rąk moich na ziemię.

Rzuciłem się—porwałem w ramiona omdlałą i drogi ciężar składając na tureckiéj otomanie, zacząłem całować ręce jéj i kolana.

Podniosła oczy i wybuchnęła w płacz głośny.

— Anno! co tobie? co tobie aniele mój biały? wołałem nieprzytomny.

Wpatrzyła się we mnie oczyma, w których łzy duże jak brylanty świeciły.

— Czy nie mówiłam tobie; że wszystko na ziemi snem jest? Jestem niewolnicą człowieka—nie należę ni duchem, ni ciałem do niego, którego usta nie spoczęły nigdy na mnie, którego nienawidzę całém życiem, które on złamał i zdruzgotał!.. a mogęż być twoją?

Mam dłonie związane kajdanami przysięgi, skute pierścieniem i słowem przyjętéj ofiary. Mam że więc prawo? mam że sumienie wolne serce twoje krępować, zamykać tobie wrota do szczęścia? Nie! nie!... zapomnij o mnie! Pamiętaj tylko o dniu tym jako o śnie pełnym widzeń tęczowych, po którym zostaje wspomnienie miłe. Bądź zdrów i szczęśliwy!... Po latach wielu, w długą noc zimową, przyciskając do serca swojego istotę, która ci serce i życie odda—powiesz, jéj że kiedyś miałeś sen dziwny, że widziałeś marę niezwykłą, któréj na imię było—Anna!

— Nigdy! nigdy! zawołałem, porywając ją w ramiona—drogiem imieniem żony nie będę miał czoła żadnéj nazwać kobiety. Serce moje zostanie tu na zawsze—myśl tylko wezmę z sobą, żebym mógł pamiętać o tobie!...

Zapalone światła w salach pałacu zmusiły nas do opuszczenia cichego przybytku rozkoszy i boleści. Musieliśmy zapanować nad sobą, przytłumić wzburzone uczucia, maskę obojętności włożyć na twarze Było to większe zwycięztwo niż wszystkie boje Cezarów.

Weszliśmy do sali portretów.

Naprzeciw nas postępował wolnym krokiem, przypatrując się przodkom swoim, hrabia Tytus Ornowski.

— Przepraszam pana, rzekł podchodząc do mnie, żem go na parę godzin musiał zostawić—ale mam nadzieję, że w towarzystwie pani Anny nie znudziłeś się wcale.

I podnosząc dłoń ku ścianom, mówił:

— Czy przypatrywałeś się pan tym portretom? Dwudziestu ośmiu Ornowskich i tyluż było senatorów tego nazwiska! Laski marszałkowskie, buławy hetmańskie i kanclerskie pieczęcie udziałem ich były. I możesz pan mnie pytać dla czego ja! w którego żyłach płynie krew trzydziestu pokoleń, zniżyć się nie chcę do stosunków z ludźmi, którzy ledwo mogą nazwisko ojca wymienić, dziada rzadko, pradziada już nie znają? I możesz pan brać za złe mnie i innym do mnie podobnym, nieobecnym nawet w kraju, że zapoznani, wyśmiani przez tłum gawiedzi, który chciał by nas odrzéć ze wszystkiego co dla nas jest drogie i święte—bo może sami tych relikwij nie mają—usuwamy się od pracy dla dobra téj ziemi, przedajemy fortuny napływowym żywiołom, nie chąc przyłożyć rąk do budowy gmachu, którego fundamenty nie według naszéj zakładane są myśli?..

— Panie hrabio! zawołałem--niech z myślą podźwignięcia ruiny, kamień węgielny sam szatan rzuci, schowam szkaplerze go straszące i na barkach góry mu zniosę...

— A jeżeli w tym gmachu nie zechcą zostawić miejsca na napis imienia pańskiego? jeżeli każą panu zatonąć jak kropli wśród wód przestrzeni—to wtedy co?..

— Kropla zginie—zostanie morze!..

— Wytłómaczmy się wyraźniéj—powiedział hrabia. A więc—wyrzec się pamiątek, strzaskać tarcze herbowe, zapomnieć o chlubie imienia, na którą ojcowie nasi potem pracowali i krwią...

— Nie tak, panie hrabio! przerwałem. Chluba ta nie naszą jest własnością. Nie oddawajmy jéj czci hołdem niemym i pogardą pracowników nowych. Do krwi ich i potu dorzućmy kroplę z żył własnych; w płaszczu purpurowym na ramionach uderzmy młotem kowala, gdy czas z rąk nam wydarł buzdygany. Jeżeliby nawet duch wieku chciałby i bogi dawne zdruzgotać, nie powstrzymamy jego biegu ni krzykiem, ni milczeniem obojętném—on zna hasło tylko jedno: naprzód!... Z nim więc w przyszłość nową, z myślą nową—lub bez niego w nieubłaganą zatraty konieczność!..

— Strasznych dożyliśmy czasów! zawołał hrabia. Ten duch w jednę bryłę zbić pragnie i tych, którym historyczna przeszłość świeci i tych, którzy z nieznanych jam wyleźli. Prądy demokratyczne wszystkiemi szczelinami i do naszéj się Polski wciskają. Rody dawne—to nic! tradycye—to nic! nic wszystko, bo ich miejsce zajmuje dzisiaj jakaś osobista zasługa!..

— A czy ta osobista zasługa nie znaczy więcéj niż chluba marna z zasług nie własnych?

— Ale proszę pana—lada chłop mieć może tę osobistą zasługę, lecz nie każdy pochwali się takiemi szeregami portretów...

— I ram złotych—wtrąciła Anna;

— Ostro, dowcipnie i demokratycznie powiedziano—rzekł hrabia. Krew Starżów zepsuła się w żyłach pani.

W czasie téj rozmowy zauważyłem w odległych pokojach pałacu jakąś małą figurkę, która zakreślając elipsę, przesuwała się cicho przez marmurowe posadzki i powoli zbliżała się do nas. Chód tego człowieczka był niepewny, ubranie niepasujące do sal Mrugotyńskiego dworu. W ręku miał czapkę z dużym ceratowym daszkiem, długi surdut zapięty na wszystkie guziki wyszarzane dobrze sięgał prawie do ziemi, z pod niego wyzierały spodnie brudno-żółte w paski ciemniejszego nieco koloru. Diabeł wenecki w codziennym swoim stroju nie musiał inaczéj wyglądać. To téż i twarz tego człowieka dziwnym szatańskim patrzyła wyrazem. Głowę miał do połowy łysą, czoło w tył pochylone z ostrym, cienkim zagiętym ku dołowi nosem, osadzonym między ukośnemi oczkami jak pieprz maleńkiemi, które od czasu do czasu przymrużał; z buzią szeroką od ucha do ucha złowrogo uśmiechniętą, pokazującą kilka stérczących pieńków jako ślad, że dawniéj były tam zęby, z których jeden tylko duży, żółty jak kieł wilczy, stérczał na przodzie po środku dziąseł,

niedozwalając szczelnie przymknąć się przewiędłym, wązkim, sinawéj barwy i wiecznie oślinionym ustom. Zamiast zarostu kilkanaście włosistych brodawek siedziało na téj twarzy, na któréj ospa najfantastyczniejsze pokreśliła desenie. Uszy nieproporcyonalnie duże, brwi żadnych, powieki z koralową obwódką, na których małe krzaczki rzęs siedziały, garstka rudawych włosów z tyłu głowy na zapadłe zczesana skronie—to wszystko przy niezmiernéj chudości całéj postaci, czyniło go potwornie odrażającym. Jak zły duch skazanych na zagładę ruin, przesuwał się cicho, powolnie, przez olbrzymie gmachu komnaty.

Zobaczywszy go, hrabia brwi zmarszczył niechętnie ale wnet słodkim uśmiechem pokrył niezadowolenie i szepnąwszy mi półgłosem: zobaczysz pan, że i ja umiem być demokratą! zbliżył się szybko do téj karykatury, witając głośno serdeczném uściśnieniem ręki i dwoma pocałunkami danemi w szklące, kościste policzki przybysza...

Gość się zaśmiał—rozwarł usta i trzykrotny oddał pocałunek hrabiemu.

Oniemiałem.

— A cha! cha! śmiał się cerber—pana hrabiego zawsze można zastać w téj sali, na rozmowie z antenatami...

— Cóż chcesz, kochany panie Bonifacy, odpowiedział hrabia—tu czerpię zdrowie, spokój, siłę, moja wartość osobista nawet podnosi się gdy patrzę na to źródło wielkie, zkąd krew do moich żył się wlała.

— A gdyby—ot, fiu! zniknęły te stare płócienka? gdyby to się tylko śniło panu hrabiemu—to co?

Mrugnął wypłowiałémi brwiami i zaśmiał się szeroko.

Hrabia drgnął nieprzyjemnie—obejrzał się szybko w krąg sali jakby się obawiał, żeby ściany się nie opróżniły z tego źródła chluby jego i dumy.

— Panie Bonifacy! żart nie w miejscu!.. rzekł wyniośle—słówko czasami drogo się płaci.

Pan Bonifacy otarł rękawem zaślinione usta i ucałował łokcie hrabiego.

— *Verba volant*!.. dobry humor, koncept i basta!.. Słówko—wiatr! zabrzmiało i poleciało i śladu po niém tyle, co po głosie rzuconym w powietrze.

Przymrużył oczy—mrugnął—zaśmiał się i szedł z powitaniem do Anny.

Nie podał jéj jednak ręki, znać Anna na to nie pozwalała—skłonił się tylko pokornie i wrócił do hrabiego.

— Doprawdy! rzekłem do Anny, że zagadką jest dla mnie mąż pani...

— Nie nazywaj go pan tak—przerwała Anna—mów o nim według tytułu i imienia.

— Wątpię, żeby który z protoplastów tego pana piastował urząd kanclerza lub nawet drążkowe krzesło w senacie posiadał—co może z nim wiązać hrabiego węzłem dość, jak widzę kordyalnych stosunków?

Anna brwi lekko ściągnęła i zagryzła usta.

— Nie wiem! odpowiedziała.

— Chcę być domyślnym—pani wiesz lecz nie chcesz powiedziéć.

Rumieniec twarz jéj oblał.

— Nie wiem—powtarzam panu.

— Panowie się nie znają—odezwał się nagle Ornowski, podprowadzając ku nam swojego gościa.

— Pan Szczeradyński—pan Bonifacy Piskała z Dzierdzijówki.

Skłoniliśmy się.

— Czy nie syn pana Feliksa z Ordynki? zapytał mnie pan Piskała...

— Tak jest—odpowiedziałem—znasz pan mojego ojca?

— Trzydzieści kilka lat temu jak widziałem rodzica pańskiego w domu Jaśnie Wielmożnego pana Stanisława Starży z Moliniec a ojca Jaśnie Wielmożnéj pani hrabiny Ornowskiéj. Byłem wtedy rządcą dóbr w Mrugotynie a od lat dziewięciu z łaski Jaśnie Wielmożnéj nieboszczki—niech jéj jasność wiekuista świeci!.. pani Matyldy z domu baronównéj Slechwajben-Poturtyńskiéj mamy Jaśnie Wielmożnego pana hrabiego, jestem właścicielem Dzierdzijówki...

— Jednéj z najpiękniejszych fortun moich—dokończył hrabia z westchnieniem. Już to moja matka zbyt hojną była!

— Zasłużyło się, panie hrabio! zasłużyło. Wycierało się kąty, ubranie i sumienie...

— Zaśmiał się—

Hrabia zapalił cygaro i podszedł do jednego z portretów—pan Piskała zwrócił się do mnie.

— Jakże się ma papa, pana dobrodzieja?

— Dziękuję panu—zdrów!

— Zawsze mieszka w Ordynce? razem z panem pewnie...

— Tak jest! Majątek mnie oddał, sam zaś pomaga mi w gospodarstwie radą i doświadczeniem.

— Aj! aj! jak to ten czas wali z kopyta! Lat temu trzydzieści jak uciął—sekundowałem papie pana dobrodzieja, kiedy się strzelał

z papą Jaśnie Wielmożnéj hrabiny Ornowskiéj. Ja nabijałem pistolety...

— Nic nie wiem o tym pojedynku.

— A! to ciekawa historya!

— Wiem tylko, że się znali—

— Nie lubili—dokończył pan Piskała.

Otarł usta—mrugnął i odszedłszy kroków kilka usiadł na brzeżku krzesełka, zażywając ukradkiem szczypt tabaki.

Więc ta figurka, pomyślałem—która wycierała kąty, ubranie i sumienie, była kiedyś rządcą dóbr Ornowskich. Hrabia Tytus, zapewne ceniąc długoletnie wysługi, przypuszcza go do swojego towarzystwa i, choć przymuszoną, przyjaźnią obdarza. Byłem rad, że choć tę piękną stronę medalu zobaczyłem. Zdawało mi się, że czoło hrabiego szlachetniejszy rzuciło blask.

Pod oknami pałacu dały się słyszéć dzwoneczki, po których dźwięku poznałem rumaki swoje wysłane przez księdza Atanazego.

— To pana konie? spytała Anna.

— Moje pani—odpowiedziałem z westchnieniem.

— Przed herbatą pan nie pojedziesz. Służę panom! rzekła zwracając się do męża i Piskały i podawszy mnie rękę poszła naprzód, zostawiając leniwo wlokących się za sobą.

— O! gdybym mogła zatrzymać pana! rzekła podnosząc głowę i cudownemi patrząc na mnie oczyma. Ale ty nie porzucisz mnie na zawsze! ty dobry jesteś! ty nie zabijesz serca biednéj kobiéty, bo w twoim ręku jest balsam życia i piorun śmierci—szczęście moje i hańba moja!..

Pochyliła głowę na ramię.

— Przyjdzie wiosna i ja odżyję. Z powrotem jaskółek powrotu twojego będę czekała... Zobaczysz jaka ja piękna będę—dla ciebie chcę być młodą i piękną!..

I szeptała mi na ucho smutne dzieje swojego życia, tłumiąc łzy cisnące się gwałtem z pod powiek.

Dano herbatę z zimną i gorąco zakąską do niéj. Kryształowe klosze zapełnione były cukrami i owocami, wina i likwory miłą barwą wabiły oczy.

Pan Piskała jadł za wszystkich.

Ściągał długiemi rękami owoce, wybierał smaczniejsze kąski z półmisków, dławił się cukierkami, zalewał herbatą, wąchał butelki z winem i cmokając wychylał pełne szklannice, przeplatając, tę znać ważną czynność swojego życia, płaskiemi dowcipami i śmiechem nieludzkim. Hrabia wysmoktał tylko jednego cukierka, ja z Anną nic nie jedliśmy a klosze i półmiski były zupełnie ogołocone z przysma-

ków, bo nawet kawałkami chleba resztki sosów wymazał dziwny przyjaciel pana Tytusa, ocierając raz po raz usta gdańską serwetą, która pod koniec wieczerzy w formalną się ścierkę zamieniła.

Wstaliśmy od stołu.

Po półgodzinnéj gawędce pożegnałem Annę długiem uściśnieniem ręki—biedna kobiéta walczyła z sobą ostatnim wysilkiem woli, zdawało mi się, że zadrży, złamie się i padnie. Hrabia mnie prosił, żebym nie zapominał o nim, za co mu serdecznie dziękowałem—panu Piskale skłoniłem się i—z sercem bijącém, z duszą pełną snów błędnych, marzeń szalonych, opuściłem dwór Mrugotyński, jadąc na nocleg do księdza Atanazego.

V.

Gdyśmy wychodzili z sali portretów Anna opowiadała mi dzieje swojego życia. Lecz głos jéj drżał, urywał się tłumiony łzami i westchnieniem, tak, że mogłem tylko zobaczyć ogólne tło obrazu bez jego głównych rysów i charakterystyki rysunku. Wśród ciemnych barw malowidła jeden był jasny rzut światła.

Tém światłem była postać księdza Atanazego...

Czy podobna?

To wczorajsze obejście się ze mną w zestawieniu z opowiadaniem Anny, niezwykłą dla mnie było zagadką... Ksiądz Atanazy był natchnieniem jéj serca, kierownikiem duszy, granitową kolumną dającą jéj słabym siłom oparcie niezłomne. On ją nauczył cierpiéć i nie upadać—walczyć i zwyciężać. O jakże ta postać z karła w olbrzyma nagle urosła!

Zatopiłem się w marzeniach.

Noc była mroźna, pogodna—niebo iskrzyło się gwiazdami.

Z bezdennych głębin przestworza, czerwony „jak twarz tych mar, co z grobu wychodzą na cmentarz“ podniósł się księżyc, rzucając blask różowy na pokryty śnieżnym całunem, drżący brylantami mrozu, step Ukrainy.

Cicho spokojnie do koła.

Czasami błysną oczy wilka, który strwożony szybkim lotem koni, skrzypieniem sań i wesołym dzwonków hałasem—obejrzy się, zaświeci białémi kłami i w step się powlecze, zostawiając na białéj szacie śniegu dwa pasy śladów jako znak tajemniczego przechodu, zbójeckiéj wędrówki może. Daléj—ledwie oku widziany, zwierzęcego naszego świata złodziéj, lis się snuje—posłyszał gwar w powietrzu—stanął—obejrzał się i znikł gdzieś w śnieżnych puchach...

Konie leciały—mróz skrzypiał pod saniami—ja marzyłem.

I zdało mi się, że gdym opuścił złote sale pałacu Ornowskich, Anna zostawiła gospodarza i gościa i do białéj udała się komnatki. Zatrzymała się po środku—szafirowe oczy rozwarła szeroko jak ta, co sobie coś przypomina, i wpatrzyła się w punkt jeden—koło fortepianu.

Patrzyła i słuchała...

Zdawało się jéj, że lekkie powietrze drżało jeszcze pieśnią pocałunku, jakieś szelesty duchów niewidzianych przelatywały przez białą salę—i każdy kącik brzmiał śmiechem, i każdy śmiech pocałunkiem się skończył.

Anna patrzyła i słuchała...

Nie chciała stracić jednego rysu z dopiéro co widzianego obrazu, ronić dźwięku jednego z pieśni anioła młodości, który jéj śpiewał: „jesteś piękną i młodą! kto ma prawo zabronić ci kochać i być szczęśliwą?.. Na ziemi wszystko—kwiat każdy i ptaszek każdy, ma chwilę zapomnienia i szału. Róża się kąpie w blasku słońca, motyl srebrne całuje powietrze, pierś fali złoty blask tuli księżyca... Kochaj! kochaj! kochaj!..“ śpiewały duchy w rogach białéj sali...

Anna pochyliła się, uklękła—modlitwą skończyły się marzenia. Przerwało ją wejście hrabiego Tytusa.

Jak cofamy się na ruch węża, który zdradliwie między aksamitem traw się przesuwa—na szelest kroków hrabiego Anna drgnęła, powstała z klęczek i zanurzając się w fotelu trwożliwy na niego wzrok rzuciła. Hrabia usiadł naprzeciw i z ironicznym odezwał się uśmiechem.

— Uważałem, że wejście moje nie było pani zbyt miłem.

— Przerwałeś mi pan modlitwę.

— Marzenie prędzéj...

Po krótkiéj chwili milczenia hrabia odezwał się znowu:

— Na co, pani, zaprosiłaś do mnie tego... tam—wiesz pani o kogo pytam.

— Ażeby nie zapomnićć mówić i myśléć—odpowiedziała.

Hrabia poruszył się w fotelu.

— Ostrożnie pani! przecedził przez zęby—ostrożnie! splamić się łatwo.

— Téj prawdy jesteś pan niezbitym dowodem.

Brwi hrabiego zbiegły się gwałtownie—ale hrabia był filozofem. Ludzie dobréj rasy łagodny temperament mieć muszą. Wszelki narów i wyskok niesforny niewłaściwe są krwi gatunkowéj.

— Pani! rzekł powoli, gładząc misternie wystrzyżone faworyty—jeżeli młodość twoja więdnie, serce i jego tam uczucia marnie-

ją... sama jesteś winną! Obowiązku wierności zbyt ściśle przestrzegasz—ja mogę te węzły rozluźnić...

— Nie rozumiem pana.

— Od dnia naszego ślubu—a temu dwa lata już blisko - nie pozwoliłaś mi pani ni razu zbliżyć się do siebie. Przez nienawiść ku mnie zadajesz gwałt przyrodzonym potrzebom serca. Ja chcę uwolnić panią od węzłów jéj niemiłych.

Anna podniosła głowę—oddech w piersi wstrzymała i wpatrzyła się nieruchomie w twarz męża.

Słaba gwiazda nadziei, ratunku zabłysła w jéj duszy.

Postrzegł to hrabia—pogładził włosy, skubnął parę razy faworyty i zaczął mówić powoli:

— Tak! uwolnię panią od więzów jéj niemiłych... ale pod jednym warunkiem.

Przestał mówić i wpatrzył się w Annę jakby chciał się bawić jéj trwogą i niepokojem, biedne serce trzymać pod pręgierzem spojrzeń nienawistnych...

— Jestem ostatni z Ornowskich... potrzebuję mieć prawego potomka—i dać go mnie musisz!... Późniéj—zostawiam pani *carte blanche...*

Jakby łuna nagłego pożaru odbiła się o twarz Anny—taki rumieniec płomienny, wydmuchnięty z gniewu, zgrozy i nienawiści oblał ją całą. Powstała gwałtownie straszna i piękna w tém uniesieniu obrażonego wstydu i dumy, i z głową podniesioną, z czołem zmarszczoném, zbliżyła się do hrabiego.

Nigdy ją taką hrabia Tytus nie widział jeszcze. Powstał—twarz oliwkowa jak marmur zbielała i strwożony krok jeden w tył zrobił.

— Myślałam dotąd, że pan masz serce tylko kamienne—odezwała się głosem, w którym grzmiało całe piekło pogardy—dziś wiem, że ono jest...

Zatrzymała się chwilę.

— Nikczemne!!

Zwróciła się—i nim hrabia miał czas na odpowiedź się zebrać—znikła z komnaty.

Ornowski stał chwilę nieprzytomny jakby po silném uderzeniu w policzek. Twarz jego blada zapłonęła nagle, usta się ścięły, oczy z orbit wybiegły... ale po chwili krew małozapalna zaczęła ostygać barwa oliwkowa twarzy wróciła, usta się wygięły szyderczym uśmiechem... i dłoń ściśniętą otworzył do pogładzenia pieszczonych faworytów—zaśmiał się, zawrócił i krokiem mierzonym wyszedł z pokoju.

Anna wbiegła do swojéj sypialni.

Burza gniewu niedługo się kołysała na jéj czole—bo za nią wleciały duchy białéj sali i zaczęły jéj coś szeptać na ucho, skronie muskać i kładły się na pierś jéj białą, całując czoło i usta różane.

I widziałem Annę stojącą przed źwierciadłem. Zrzuciła suknię, obnażyła ramiona śnieżne i rajski uśmiech posłała odbitéj postaci w czystych kryształach szkła. Zarumieniła się—nie wiem, do myśli swoich czy z myśli swoich. Pierwsza kobiéta uśmiechnąć się tak, zarumienić się tak musiała na widok życia.

Do pokoju hrabiego wpełzł pan Bonifacy Piskała. Hrabia się nie poruszył—zasunięty w głębokim fotelu spał może a może dumał. Właściciel Dzierdzijówki przysunął taboret, usiadł koło Ornowskiego i małpią dłoń swoję na jego ramieniu położył.

Hrabia podniósł głowę.

— Co waćpan potrzebujesz? zapytał.

— Panie hrabio! mam maleńką prożbeczkę do pana..

— Wiecznie mi pan wyjeżdżasz z tą maleńką próżbeczką! Raz byś nakoniec dał mi pokój.

— I dam go raz na zawsze—to od Jaśnie Wielmożnego hrabiego zależy. Maleńka nieformalność wkradła się do darowizny uczynionéj mi przez mamę pana hrabiego. Jeszcze czas używalności nie przeszedł—hrabia może mi wypłatać figla, zwalić akt cesyi... a klnę się na moję nieśmiertelną duszę! że dla mnie to—nieszczęście! dla hrabiego—zguba!

— Nie takich jak ty Ornowski się nie bał—syknął hrabia.

Piskała zaczął mrugać gwałtownie—zabębnił palcami o poręcz fotela i nachylając się do hrabiego, szepnął:

— Umocujesz mnie, Jaśnie Wielmożny panie hrabio, w prawie mojem do Dzierdzijówki?

— Przecież ci jéj nie zabieram...

— Tak! dziś,-jutro... ale późniéj?.. Wprawdzie hrabia przyrzeka, że zadość mi kiedyś uczyni—no! ale.

— Prawda! waćpan powiedziałeś, że *verba volant*...

— Ale *scripta manent*—rzekł z przyciskiem pan Bonifacy—zapamiętaj to sobie, panie hrabio—zapamiętaj dobrze!

— Znam lepiéj łacinę od ciebie i pamięć może mam trwalszą nieco...

Piskała przycisnął się z taburetem do fotelu, na którym siedział hrabia.

— Potwierdzisz zapis, Jaśnie Wielmożny panie hrabio?

— Czym ci zakwestyonował kiedy? Przyjaźnią nawet moją poszczycić się możesz.

— Tak! hrabia przyjmuje mnie grzecznie—całuje—sadza koło siebie—no! ale i temu jest maleńka przyczyna. Pan hrabia koło mojéj żony i tak i siak—ja patrzę przez szparę, pozwalam na te facecye, niechaj sobie!.. Mazało się sumienie nieraz, niech się raz ostatni pomaże, myślę sobie, byleby tylko Dzierdzijówka była moją..

— Dzień, w którym żona twoja porodzi Ornowskiego, rzekł hrabia—powinien być jednym z większych świąt w twoim kalendarzu...

Piskała mrugnął raz, drugi i trzeci.

— Ornowskiego!.. Ornowskiego!.. ba!—no!—bąknął—ale Dzierdzijówka dla mnie rzecz ważniejsza.

— Możesz spać spokojnie.

— Kiedy powietrze gada, że pan hrabia już pewne kroki do procesu porobił.

— Bajki! mruknął hrabia.

— No! prawda, że ludzie kłamią zwykle siarczyście—ale czasami uda im się prawdę powiedzieć... Ja jestem niespokojny.

— A ja zmęczony.

Sięgnął ręką po sznur wiszący u ściany i zadzwonił.

Piskała zerwał się z siedzenia i drżącym głosem zawołał:

— Panie hrabio!.. zbywasz mnie już dwa lata ni *sim* ni *tym*... Ale pamiętaj, panie hrabio! że ja—Jaśnie Wielmożny panie hrabio—za szelmosto, z przeproszeniem—strasznie zapłacę.

Ostatnie słowa, wyrzucony silną ręką Ornowskiego, wymówił. już za drzwiami...

Kamerdyner wszedł, zapalił dwie świece woskowe przed figurą Chrystusa na krzyżu—Ornowski ukląkł na aksamitnéj poduszce i krzyżował Boga modlitwą.

Czy te sceny w posępnych komnatach Mrugotyńskiego dworu, odegrane były prawdziwie—na pewno nie powiem. Obraz taki przedstawił mi się w półsenném marzeniu...

Dojeżdżałem do probostwa, gdy za mną rozległ się głuchy szelest i pisk sunących sani, które przeleciały koło mnie siłą huraganu.

Jadący krzyczał do woźnicy:

— Macieju! bij a bij!..

Poznałem po głosie pana Bonifacego Piskałę.

VI.

Choć spóźniona była godzina, na probostwie jeszcze świeciło. Widać, że poczciwy ksiądz Atanazy mnie oczekiwał—albo bojąc się drugiego zajechania dyszlem, dwie świéce w oknie postawił.

Cicho otworzyłem drzwi i jak skamieniały w połotwartych wstrzymałem się.

Ksiądz proboszcz stał koło swojego biurka nachylony nad świecą, obracając w ręku jakiś kawał papieru, któremu pilnie się przypatrywał

Była to niefortunna dwudziestopięciorublówka!

— A! urwis z pod ciemnéj gwiazdy! mruczał proboszcz, w chwili gdy miałem wchodzić do pokoju—i posłyszawszy szelest za sobą zwrócił się ku drzwiom.

— A! to waćpan! zawołał—chodź no tutaj! mam ci coś ciekawego powiedzićć.

Jak winowajca, którego na sznurku przed kratki sądowe prowadzą, nie śmiało zbliżyłem się do stołu.

— Siadaj waćpan!

— Usiadłem.

— Rozwiąż mnie, mości dobrodzieju, jedno matematyczne zadanie—z wielu niewiadomemi, tego już nie wiem, bo nigdy do matematyki głowy nie miałem. Słuchaj!..

— Pewien podróżny dał księdzu w łapę na Mszę Świętą dwudziestopięciorublówkę—druga dwudziestopięciorublówka leżała na biurku księżowskiém pod marmurowym przyciskaczem, na któréj z wydatków kościelnych proboszcz robił rachunek, którego suma zapisana na tejże dwudziestopięciorublówce wynosiła 362. Pytanie:—jakim sposobem, gdy proboszcz sięgnął po dwudziestopięciorublówkę daną przez podróżnego, na niéj znalazł się wyż wymieniony rachunek z sumą 362?

Wziął się w boki i spojrzał na mnie uśmiechniętemi oczyma.

Pokręciłem głową.

— Łamigłówka nie lada—ale... rzekłem, biorąc kawał papiéru i ołówek ze stołu—sprobuję ją rozwiązać. Potrzeba mi tylko zestawić to wszystko, co ksiądz proboszcz powiedział, w jeden uczciwy szereg i kilka opuszczeń zawikłanego zadania dopełnić...

Ksiądz Atanazy zaciekawiony przechylił mi się przez ramię—ja pisząc na papierze mówiłem półgłosem:

— Dwudziestopięciorublówka dana przez podróżnego, ma się tak do dwudziestopięciorublówki z rachunkiem, leżącéj pod przyciskaczem—jak uprzejmość księdza proboszcza do spalonéj austeryi. A ponieważ ofiara podróżnego równa się spalonéj karczmie czyli zeru—pozostaje: własna dwudziestopięciorublówka proboszcza z rachunkiem jako słuszna nagroda jego uprzejmości...

Ksiądz porwał mnie w ramiona, płacząc od serdecznego śmiechu.

— A niech cię wezmą aniołowie z raju Lucypera do swojéj wiekuistéj chwały!.. Oto mi matematyk!.. wołał trąc ręce i tupiąc o podłogę nogami. Czemu ty się nie podajesz na profesora do jakiego uniwersytetu? tumaniłbyś głowy słuchaczów lepiéj niż niejeden mecenas... A frant! a frant! Judasz lepiéj nie okpił Pana Jezusa a przecie od stryczka się nie wywinął.

Śmiał się jeszcze chwilę, potém otarł kroplisty pot z czoła i sapnąwszy jak miech kowalski kilka razy, usiadł koło mnie, wziął za rękę i zapytał:

— I co ty myślałeś o słudze Pana Boga—ha?..

Odpowiedziałem szczerze.

— Ale—dodałem—pani Anna opowiadala mi o księdzu jako o swoim nauczycielu, kierowniku wśród dróg fałszu i błota—i stanął przedemną apostoł Chrystusowy w postaci twojéj, ojcze!

— Ta! ta! ta!... świętym ja nie jestem—cudów po mojéj śmierci nie wiele będzie—kanonizacya niepewna! Ale muszę się już wytłómaczyć przed tobą z wczorajszéj mojéj uprzejmości. Otóż słuchaj!— Jestem prędki jak proch leszczyński—a gdy mnie ze snu budzą nie obejdę się bez wymyślania na czem świat stoi. Brzęk szyby mnie rozgniewał, dyszel w oknie do ostatecznéj pasyi doprowadził. I nie myśl tylko, że to twoja dwudziestopięciorublówka zachloroformowała moję irytacyą—żebyś się tylko do drzwi był zwrócił inaczéj bym do ciebie zagadał. Ale tu się zdarzył paskudny wypadek. Miałem front zmieniać a ten mi sunie pieniądze w łapę. Widząc glupią pozycyą chciałem się połapać i załapałem się. Wyjechała austerya spalona, mięso z serdelowém masłem, kawa jakaś—pstrum! bzdrum! szelmostwo ostateczne!.. Danych zaś pieniędzy, co by rzecz naprawiło, puścić nie mogłem—bo widzisz zbieram fundusz dla jednego biedactwa i odrazu twój datek miał swoje przeznaczenie. Pieniądze zaś z rachunkiem miały pójść na nową sutannę, bo ta już łapserdacko wygląda. Ale pierwszego postanowienia zmieniać nie umiejąc, muszą pójść i te do powiększenia szeregu *katarzynek*.

I kładąc do szuflady gdzie spoczywała spora paczka pieniędzy, zawołał:

— A co! wiele nazbierałem!.. To zdarłem za pogrzeb od Młokosowskiego—to za ślub Przepiórkowskiéj, a te sto rubli od Bonifacego Piskały za spowiedź. Targował się kutwa do upadłego, ale jak zagroziłem, że rozgrzeszenia nie dam, wyliczyć mi musiał na stół co do grosza. Bo, na sumienie ci mówię: jeżeli nie wydrzesz to nic dadzą, choćby tu szło o wykupienie pana Jezusa z rąk żydowskich...

— Ale, księże dobrodzieju, tych pieniędzy z rachunkiem nie pozwolę tu włożyć, niech idą na sutannę. Ja należne z radością powracam.

I wyjmując sto rubli włożyłem do otwartéj szuflady księdza Atanazego.

— To nic! mości dobrodzieju — odpowiedział proboszcz— sutanna poczeka, głód nie zawsze — a słowo dane. Marsz hajdamaki do worka.

Zamknął szufladę i serdecznie mnie w czoło pocałował.

Po chwili rzekł:

— No, panie Adamie! a jakże tam czas przepędziłeś?

Bystro spojrzał mi w oczy.

— Zakochałem się kumie po uszy!..

Przeszedł się parę razy po pokoju i zamruczał:

— Jabym ich z ochotą rozdzielił, bo to stadło nie Pan Bóg połączył. . .

Zbliżyłem się do księdza, pocałowałem w ramię i prosiłem o historyą Anny.

— Nie moja to tajemnica, mości dobrodzieju!

— Anna mi ją zdradziła..

Ksiądz stanął.

— To tak?!.. Uczciwie tylko a z Bogiem!—powiedział i jakieś wielkie westchnienie z piersi mu wybiegło.

— Nie gorsz się ojcze! ona posiada tajemnicę czarów.

— Tak! tak!— szeptał kapłan — ona ma urok, który upaja, ma siłę, która podnosi, ma moc, która ryje w pamięci niezatarte głoski jéj imienia. . .

Głos jego stawał się coraz cichszym, drżał, niknął i ustąpił myśli posępnéj, która na jego gładkiém czole odbiła się wielką bruzdą smutku.

Ksiądz Atanazy liczył czterdzieście pięć lat życia. Wzrostu słusznego, barczysty, otyły, z wesołym uśmiechem na ustach, czasami porywczy, zdawał się być obrazem człowieka, któremu do szczęścia dobréj pieczeni tylko i parę garści dwudziestopięciorublówek potrzeba. Ale oko badacza pod maską wesela i wieczną pogodą czoła powinno szukać duszy i myśli. Są ludzie, którzy przed światem ukrywają się z temi skarbami jakby się obawiali, żeby perły pod nogi wieprzom nie padły.

Dziś dopiero zwróciłem pilny wzrok na ojca Atanazego. Jego jasne czoło zarysowało się w bruzdy i zmarszczki, których wprzód nie widziałem; zauważyłem na głowie włos siwy — nie od starości; w oczach smutek głęboki—nie od szczęścia.

Siedliśmy koło komina z płonącym ogniem; ksiądz jakby zbierał myślą rozpierzchłe obrazy przeszłości, milczał chwilę i tak opowiadać mi zaczął.

VII.

— „Chcesz wiedzieć dzieje Anny? Czuję, że do nich masz prawo. Z powieścią tą łączy się historya kilku żywotów. Dowiesz się i o mnie tam—a prawdę powiem ci czystą.

Pod złą gwiazdą urodziła się Anna Starżówna. Ojciec jéj, po życiu pełném awanturniczych przygód, pojął w małżeństwo księżniczkę Rawską, nie dla zalet jéj rozumu i serca lub bogatego wiana panny, żadne uczucie miłości czy bodaj przyjaźni nie zmusiło go do tego ważnego aktu życia—ot! pragnął mieć tylko dziedzica swojego imienia i kolosalnéj fortuny.

W kolebce uśmiechnęło się dziecię-kobiéta.

Trzyletnie późniéj pożycie z żoną nie przyniosło mu pożądanéj pociechy — roku czwartego nielubiona małżonka pana Stanisława umarła — pozostał tylko wdowiec zgryźliwy i dziecię wstrętne ojcowskiemu sercu.

A trzeba ci, mości dobrodzieju wiedzieć, że przedtém kochał się pan Starża w jakiéjś dziewczynie z Mazowsza, że za nią poszedłby w piekło, że dla niéj wiekuistéj chwały królestwa niebieskiego by się wyrzekł. Ale zjawił się frant jakiś, pannę mu zbałamucił i w dzień naznaczony wesela dmuchnął z nią jak upiór w Bürgera balladzie.

Starża się wściekł. . .

Poleciał w pogoń za uwodzicielem i gonił rok cały aż znalazł swojego przeciwnika w objęciu dziecka, w drogich ramionach żony, któremu życie wszystkiemi kwiatami szczęścia zakwitło.

Starża oszalał.

To niebo miało być jego!

Rzucił rękawicę śmiertelnemu wrogowi—w pojedynku strzaskał mu nogę, ale tém straconego raju nie wrócił. . .

Dwadzieścia dziewięć lat temu, w noc świętego Jana, jakąś mściwą ręką podłożony, wybuchnął ogień w śpiącym szczęśliwych dworze. Na gwałt uderzyły dzwony cerkiewne, ale nim rozbudzeni wsi mieszkańce zdążyli na ratunek — na zgliszczach domu, z bezsilnym gniewem w źrenicy, siedział człowiek o kuli. Skarb jego życia, wśród zgiełku i zamięszania, porwała ręka obrażonego magnata.

Nie znam szczegółów téj strasznéj historyi; wiem tylko, że na dzień drugi człowiek o kuli przywdział wdowie szaty, a Starża wyjechał do Afryki na łowy tygrysie.

Upłynęło lat siedmnaście.

Dziecię-kobiéta, któréj na imię było Anna, nie zagoiło ran krwawych w rozdartém sercu ojca, wzbronionemi pieszczotami nie mogło zatrzéć z pamięci okropnych przeszłości wspomnień. Sierota bez tkliwych pieszczot matki, pod grozą gniewu zdziczałego człowieka, jak kwiat rzucony na pustynię wyrasta smutna i piękna. Pieśni piastunek, opowiadania babek snujących długą nić wrzeciona, były jedynym pokarmem jéj duszy, odurzającym napojem, który rozbudzał myśl do marzeń a serce do pragnień. Sama pod opieką słońca i błękitów, dnie całe przepędzała na rozmowie z kwiatami, goniąc motyle, do gwiazd się śmiejąc, to kłócąc się z echem niespokojném. Nieraz w pogoni za wilgą lub dzięciołem zabłąkała się w lasach i noc spędziła pod osłoną świateł księżycowych, przy szmerze drzew i szepcie rozmodlonego strumienia. Rano znajdowali ją wysłańce pana Starży igrającą z nurtami potoku lub jak na fale rzucała wieńce splecione z kwiatów leśnych i ziół.

Wówczas mnie właśnie przysłano na probostwo do tutejszego kościoła. Musiałem zapoznać się z parafią: zacząłem więc odwiedzać domy powierzonych mi owieczek. Z kolei przyszło na Maliniecki dwór Starżów. Panu Stanisławowi podobałem się od razu— prosił mnie żebym jego córce wykładał zasady naszéj świętéj wiary, bo ona, oprócz wiadomości, że jest Bóg i nieśmiertelność duszy, o niczem więcéj pojęcia nie miała. Przyjąłem propozycyą i odtąd codziennym byłem gościem w Malińcach. Religia, historya, języki obce, późniéj nauki przyrodzone i filozofia były przedmiotem czteroletnich studjów mojéj uczennicy. Anna robiła szalone postępy: oddawała się z zapałem pracy, dnie i noce przepędzała nad książką lub piórem, które były jedynym powiernikiem jéj marzeń samotnych, jéj snów o kwiatach. I czuła się coraz szczęśliwszą — mnie smutek zagościł w sercu: ja pozyskałem jéj przyjaźń—ona... miłość!"

Tu głos opowiadającego zniżył się i pękł. . .

Nastąpiło milczenie.

Ksiądz Atanazy płakał. . .

— Ot! masz—zawołał nagle— co to te kobiéty robią!... Po latach kilkunastu każą jeszcze pamiętać o sobie. Ale cóż robić! tak było!... Rewerenda nie zmienia serca, nie może myślom, jak maszynista lokomotywie, jednego tylko nadać kierunku.

Kochałem się — na zabój kochałem!

Nieraz sami przebiegaliśmy lasy, pola i łąki, układając zielniki, rozpoznając ziół własności, śmiejąc się, kłócąc czasami, poczém słodsza następowała zgoda, w znak któréj podawała mi malutką rączkę swoję. Nieraz plotła girlandy z kwiatów polnych i kazała mi

do swych włosów przyczepiać, wiązać u szyi... Wieniec z głowy zlatywał, węzły się plątać nie chciały...

— Czego ci palce tak drżą, przyjacielu? — pytała.

— Wilgotny chłód powiał od stawów dalekich — odpowiadałem—przejął mnie dreszczem.

— Mnie tak ciepło a ty się trzęsiesz od zimna!..

Oh! nie wiedziała, że we mnie wszystkie ognie świata płonęły!

Westchnął głęboko, otarł łzy fularową chustką i tak daléj rzecz swoję prowadził:

— „Mówią powszechnie—i nie bez racyi— że wszystkie uczennice księży mają umysł w jedną tylko stronę wygięty, że cała nauka ich jest oparta na zachowywaniu postów, klepaniu bezmyślném pacierzy i majaczeniu o błogosławionym w klasztorze żywocie. Nie należałem nigdy do tych mistrzów ówczesnego kierunku. Ojcze nasz! było jedyną modlitwą Anny — wiara, że Bóg jest nieomylnym tylko—jedyną wiarą. Świat jéj przedstawiłem jako zagadkę wielką rzuconą ludziom przez Stwórcę wszechrzeczy, do rozwiązania któréj powołane są wszystkie umysły, że rozum ludzki nie zna więzów, jeżeli ma być cząstką wolnego Boga. Rozumiałem dobrze, że w ciasnéj klatce zmarnieje i zamrze ten ptak swobody, który się myślą ludzką nazywa. *Spiritus flat ubi vult!* powiedział mistrz nad mistrze, Bóg prawdziwy.—Nauki i światła! krzyknąłem raz z ambony — i pomaszerowałem na półroczną pokutę do kapucynów... Światła i nauki!—krzyknąłem raz drugi — i peleryna prałata schowała się przedemną na zawsze. Niech się tam na mnie Pan Bóg gniewa ale ja go inaczéj rozumiem od innych.

Lecz do powieści.

Nauczyłem Annę wierzyć we wszystko co wzniosłe i piękne, rozumiéć ducha czasu, postępy i wymagania wieku, ukochać człowieka dla człowieka nie dla jego szat purpurowych. I mówiłem jéj, że miłość jest najcenniejszym skarbem kobiéty, że w niéj się łączą wszystkie miłoście, bo kto kocha, ten nienawidziéć nie może; kto kocha—ten przebaczać umie i śmierć poniesie w obronie prawdy—ten kto kocha!

Nauczycielem jéj byłem lat cztery, lecz słowem żadném, jedném mrugnięciem oka nie dałem Annie poznać swojego stanu, który okropny był. Mówić jéj o różnych połączeniach chemicznych, wykładać zimne matematyki prawidła — a tu się serce pali! lecz między sobą a nią postawiłem ścianę nieprzepartą świętość obowiązku!

Panna doszła lat dwudziestu. Postępowanie Starży względem niéj w niczém się nie zmieniło. Nie zagoiła się rana serdeczna ale się smutki ukołysały. Starość podcięła skrzydła szaleństwa. My-

ślałem, że powoli zapragnie jéj opieki, pieszczot i serca—pan Starża zapragnął bawić się. Dom otworzył—tłumy gości zaczęły zalegać salę. Dzień i noc grzmiała muzyka—bale za balami, polowania i uczty, rozjazdy za granicę kraju stały się codzienną rozrywką magnata. Trwonił pieniądze jak mógł. Zabrakło kapitału, rąbał lasy—poszły stuletnie dęby, pożyczał. Gospodarstwo zaniedbane zostało, oficyaliści kradli i kupowali dobra—Starża hulał. I nie widział jak krokiem powolnym ale pewnym szły dwa widma okropne: ruina i nędza.

Była to chwila kiedy do Mrugotyńskiego pałacu przyjechał z zagranicy dziedzic milionowéj fortuny, hrabia Tytus Ornowski. Ród hrabiego był dawny i jak się raz był wyraził pan Tytus: jeden Bóg tylko mógł zapamiętać pierwszego prarodzica Ornowskich. Ojciec odumarł go w młodych latach—o matce źle ludzie mówili. Było tam gachów co nie miara—ale najwięcéj się wodziła rozpustnica z Bismandorfem, dyrektorem fabryki cukru. Stręczycielem związków haniebnych był Bonifacy Piskała, który za nikczemne usługi otrzymał tytułem mniemanéj sprzedaży, piękną posiadłość—Dzierdzijówkę.

Raz pierwszy Anna poznała pana Tytusa we Włoszech. Tam się odznaczył pojedynkiem, na który został wyzwany przez męża mszczącego się krzywdy swego honoru. Strzelcem był dobrym—kulę znaleziono w sercu przeciwnika. Póżniéj go spotkała w Paryżu, gdzie z primadonną francuzkiéj opery miłośny zawiązał stosunek—raz trzeci na balu w Malińcach, dokąd zjechał jako pan dóbr rozległych, spadkobierca wiekopomnéj swych przodków sławy. Rozpustnik, cynik nie z rzeczy świętych tylko, za które uważał: Boga, papieża, księdza, post, ród swój własny i siebie—nie mógł innego uczucia prócz wstrętu wzbudzić w szlachetnéj Annie, do którego wzmocnienia przyczyniła się śmierć młodszego jego brata.

Eugeniusz Ornowski, trawiony długą gorączką, umierał w Mrugotyńskim pałacu. Będąc archeologiem miał zbiór przepyszny szczególnie monet i naczyń drogocennych, wartością dochodzący do kilkukroć stu tysięcy rubli. Ludzie, równi mu wiedzą, szanowali go—słudzy kochali. Czując się bliskim śmierci sporządził testament, o którym pan Tytus wiedział, gdzie porobił pieniężne zapisy na stypendya uczącéj się młodzieży, zbiory przeznaczył akademii krakowskiéj, dużo darowizny otaczającéj go służbie, szczególnie staremu Pawłowi, od lat chłopięcych najlepszéj młodego pana piastunce.

Hrabia Tytus siedząc w swym gabinecie odczytywał Monitora, gdy w drzwiach nagle otwartych stanął Paweł biały jak kolumna jednéj z marmurowych sal pałacu.

— A co tam, Pawle?

— Pan Eugeniusz umarł!

Hrabia Tytus zerwał się z siedzenia.

— Mój kochany Pawle—zabełkotał—klucze od gabinetu i szaf pana Eugeniusza... są zdaje się—u ciebie... daj mi je!..

Paweł zrozumiał o co hrabiemu chodziło. Wydobył klucze z kieszeni i rzucił mu pod nogi.

W sali leżało ciało Eugeniusza—brat zamykał pudelko z numizmatami i darł testament.

Szczęście—jak się niegdyś pan Tytns wyraził—sprzyjało mu. Brat umarł—on stał się panem niepodzielnego majątku; w rok potém bogatą babkę apopleksia zabiła—odziedziczył po niéj fortunę; następnie stryj jego wypadkiem się utopił—spadek nie minął, a i po dwóch wujach tytułem darowizny wziął trzykroć.

Starża gonił resztkami—Ornowski w złote rósł pierze.

Co daléj mówić? domyślisz się końca powieści...

Sala portretów w Mrugotyńskim pałacu była świadkiem haniebnego targu. Sprzedawano szczęście kobiéty bez jéj woli—łamano duszę, żeby ocalić fałszywy blask rodu...

Pan Tytus otrzymał przyrzeczenie ręki Anny—Starża wziął milion gotówką na spłatę długów.

Ornowski nie kochał Anny—o jéj nienawiści do siebie wiedział dobrze—dla czego się ożenił?..

Gięły się stoły pod złotych nakryć zastawą, pękały butelki szampana—biesiadnicy się bawili. Z niedopitym w ręku puharem, hrabia Tytus mówił o swych tryumfach odniesionych nad płcią niewieścią i bohaterską historyą swych czynów zakończył słowami:

— Nie masz kobiéty, która by się oparła méj woli!

— A dumna pani z Maliniec? spytano.

— Czeka mojego rozkazu.

Zaśmiano się.

— Nie wierzycie? zawołał pan Tytus.

— Wprzód te płótna przemówią—zabrzmiały głosy.

— Jutro Anna Starżówna przestąpi próg Mrugotyńskiego pałacu!...

I zaklął się na czystą krew swoję.

Ranek był piękny, majowy—Anna rwała róże i błękitne goniła motyle... Głos ojca zawołał ją z ganku.

Przybiegła—trzepocącego się w palcach motyla trzymając.

— Co mi rozkażesz ojcze?..

— Ornowski prosił mnie o twoję rękę. Przyrzekłem mu ją.

Grzmot bliskiego piorunu, pękającego krzyk serca—nie miał by w sobie takiej siły gniotącéj, jaka z tych krótkich słów wypadła.

Anna zachwiała się—nagle wielka krwi fala uderzyła jéj do głowy—głos zgwałconéj dumy i praw człowieka odezwał się w sercu kobiéty...

— Przyrzekłeś ojcze?

— Tak!

— A wola moja?..

Starża wiedział, że nie miękka pieśń matki do snu ją usypiała, nie niewieścia dłoń karmiła jéj uczucie, że ta jéj wola to jednolity odłam granitu.

— Nie mówiłem ci dotąd dziecko—(raz pierwszy nazwał ją dzieckiem)—nie mówiłem ci, chcąc oszczędzić zmartwienia, że stoimy nad brzegiem przepaści. Bez silnéj podpory gmach fortuny naszéj runąć musi... a z tych zwalisk ja żywy—nie wyjdę!..

— Wyjdziesz! wsparty na mém ramieniu.

— A nędza?

— A praca?

— Za stary jestem.

— Alem ja młoda!

Starża zczerwieniał—zgrzytnął—piana gniewu na usta mu wybiegła...

— Głupiaś! wrzasnął—lat pół tysiąca trwającego imienia nie rzucę w błoto najemniczéj pracy! zgaśnięcia blasku jego nieprzeniosę!.. musisz mi uledz!..

— Nigdy!—pókim żywa!

— Podziękuje ci za to trup ojcowski! zawołał Starża—i wyszedł.

Anna znała dobrze przeszłość ojca—wiedziała, że najszaleńszych postanowień nie odmieniał. Stała długo jak słup, nieruchoma, z jakąś wielką boleścią w sercu.

Więc pożegnać wszystkie dziewicze marzenia? wymarzonego pożegnać kochanka? własną ręką niebo odtrącić? zabić szczęście i młodość?

Czy z postanowieniem ofiary—czy z myślą prośby ostatniéj, zbliżyła się drżąca do drzwi ojcowskiego pokoju. Zatrzymała się—posłyszała głos ojca dającego rozkazy kamerdynerowi.

— Poszukajno waćpan w mojéj szafie arszeniku—potrzebuję trucizny na szczury—mówił Starża... Tam!.. tam!.. o to właśnie!.. Daj waćpan!.. W sam raz dobra proporcya!.. A teraz nalej mi waćpan wina do kielicha... dosyć! dosyć!.. Postaw tu—i marsz z pokoju!

Kamerdyner wyszedł--Annie serce jak ptak przestraszony drżało. Nachyliła się—spojrzała przez otwór od klucza...

Po środku pokoju stał Starża o stół oparty. Już wziął puchar do ręki—już dłoń podniósł—już miał do ust przychylić... gdy drzwi się z trzaskiem rozwarły i Anna jednym skokiem rzuciła się ojcu w ramiona, wytrącając z rąk kielich, który z brzękiem upadł na ziemię.

Puchar bryznął w kawałki—na posadzkę rozlał się płyn mętny.

Ulubiona wyżlica pana Stanisława śpiąca na tureckiéj otomanie, zbiegła z posłania i zaczęła chłeptać rozlane wino—nagle skręciła się—zawyła boleśnie... porwały ją konwulsie i w konwulsiach skonała.

Anna patrzyła w twarz Starży...

— Na co waćpanna przeszkodziłaś mojéj podróży do Pana Boga? odezwał się—Nie dziś—to jutro tam pójdę... pamiętaj mnie tylko pochować porządnie!.. Ale—rzekł wskazując na ścierwo rozciągniętego zwierzęcia—czy przeniesiesz obraz tak umierającego ojca?

— Jedź ojcze do hrabiego Tytusa i powiedz mu, że jego żoną.. będę!...

Starża raz pierwszy pocałował ją w czoło—i wydał rozkazy.

W minut kilkanaście konie zaszły przed ganek. Starża siadł do powozu i pojechał do Mrugotyna.

W parę godzin przybył Ornowski.

Anna opowiedziała mu wszystko: „Daję ci rękę ale nie serce“—zgodził się. „Mężem moim zostaniesz bez praw jego“—zgodził się. Zamieniono brylantowe pierścionki i pito narzeczonych zdrowie.

Czy pędzel malarza, muzyka artysty i natchnione słowa wieszcza—potrafią odmalować postać kobiéty, na któréj twarzy tylko co zagasły rumieńce marzeń, w któréj sercu brzmi pieśń odlatującego na zawsze szczęścia, w któréj duszy osiadła cisza groźna nadchodzącéj bez blasków piorunowych burzy?...

W pierwszą niedzielę tego tygodnia, w krórym Lucyper ba musiał w piekle wydawać—Starża się zbliżył do konfesyonału, ja mu niedałem rozgrzeszenia—Ornowski się spowiadał, pogroziłem potępieniem wieczném. Późniéj wstąpiłem na ambonę i wołałem o pomstę do Boga.

Trzy upłynęło tygodnie.

W parafialnym tutejszym kościele odbył się ślub Anny z hrabią Tytusem. Ach! jaka ona blada była! zdawało się, że wezwano z trumny umarłą na ucztę upiorów.

Nie jam ich łączył—nie ja im błogosławiłem—nie ja odpowiadać będę przed Bogiem. Tarzałem się w prochu jak robak, wijąc się z boleści i szału.

Gdy zaśpiewano *Veni Creator*!.. ja leżąc krzyżem w ciemym zakątku kościoła, modliłem się o siłę dla niéj...

Tak się skończył dramat straszliwy téj dziewicy—żony. Ja za kazanie niedzielne trzy miesiące biczowałem się u kapucynów."

Ksiądz skończył opowiadanie. Na kominku pękały dopalające się węgle—na niebie paliła się gwiazda świtu.

Udałem się na spoczynek; ale sen powiek nie kleił. Spojrzałem przez szparę do sypialni księdza; patrzyłem długo... ksiądz się modlił a łzy duże po policzkach mu biegły...

(*c. d. n.*) *Kazimierz Gliński.*

LIBERALIZM I OBSKURANTYZM

na Litwie i Rusi.

(1815—1823).

„Gdzie rozum stanąć może w obronie prawdy, tam kuglarstwa fałszywéj nauki i kłamstwa namiętności ani góry brać, ani długo przewodzić nie potrafią.“

Jan Śniadecki.

Rozpatrując się w dziejach oświaty naszéj bieżącego stulecia, dostrzedz można cztery wybitne chwile żywszego ruchu umysłowego, silniejszego w społeczeństwie zainteresowania się czy-to zdobyczami wiedzy, czy utworami piękna, czy téż kwestyami społecznemi. Najprzód ruch taki budzą pojęcia liberalne, gorliwie od drugiéj połowy wieku XVIII u nas przeszczepiane z Zachodu pod hasłem „oświecenia,“ a napotykające w początkach wieku XIX zaciętych przeciwników, podtrzymywanych duchem reakcyi ogólno-europejskiéj. Potém porywa za sobą wszystkie gorętsze, zapalniejsze umysły wielki i wspaniały ruch romantyczny, wśród którego powstają arcydzieła poezyi naszéj. Następnie, pod wpływem silnie wyrobionych dążności demokratycznych, a jednocześnie przy współdziałaniu filozofii niemieckiéj, stronnictwo postępowe, wśród najsmutniejszych okoliczności zewnętrznych, wobec braku uniwersytetów w przeważnéj części dawnéj Polski, wobec istniejących tu jeszcze ciągle stosunków pańszczyźnianych i poddańczych, stara się (r. 1838 do 1850) podtrzymać te nabytki naukowe, jakie poprzednio osiągnięto, i ożywić umysłowość narodu świeżemi pierwiastkami. Nakoniec po roku 1860 w skutek zmienionych tu i owdzie losów kraju, w skutek założenia Szkoły Głównéj w Warszawie, w skutek przemiany stanowczéj w stosunkach włościańskich w najznaczniejszéj części byłéj Rzeczypospolitéj, w skutek rozwoju interesów ekonomicznych, nauk przyrodniczych i filozofii doświadczalnéj wytworzył się ruch postępowy najnowszy, którego jesteśmy świadkami.

Naturalnie, nad trzema innemi góruje prąd romantyczny, który wpływem swoim objął największe masy społeczne i odbił się nie tylko w literaturze, lecz także we wszystkich dziedzinach życia; trwał on najdłużéj i oddziałał zarówno na ruch demokratyczno-metafizyczny, jak i na najnowszy pozytywny, lubo w obu tych kierunkach znajdował opozycyą pod pewnemi względami. Przytém nigdy nie należy zapominać, że każda z chwil owych miała cechy sobie właściwe, nieraz wprost przeciwne, tak że utożsamiać ich w żaden sposób niepodobna.

Istnieje atoli jedna cecha wspólna, która chwilom owym wybitny wyraz nadaje. Zawsze natenczas wrzała walka, już-to słabsza już-to silniejsza, pomiędzy nowemi prądami a staremi nałogami, pomiędzy samodzielnością myśli i uczuć a niewolniczém trzymaniem się wzorów, pomiędzy świeżo wytworzonym indywidualizmem a tradycyjnie przekazywaną powagą; słowem chwile takie były ogniskowemi punktami wiekowych usiłowań dążących do wyswobodzenia ducha ludzkiego z narzuconych mu a ciążących pęt. Różne były środki, któremi się posługiwano w urzeczywistnianiu tego zadania; różnie nawet pojmowano szczegóły samego zadania; lecz w dążności było podobieństwo wielkie a cel w gruncie rzeczy ten sam. Światło i postęp! — oto hasła przez każdy z owych ruchów głoszone.

Jeden z nich i to pierwszy z kolei jest przedmiotem pracy obecnéj. Ze względu na zupełność obrazu a może i ze względów historycznych, byłoby najlepiéj, gdybym mógł opowiedzieć dzieje jego w całéj Polsce; z powodu jednak trudności wykonania tego zamiaru, ograniczyłem się zobrazowaniem walk duchowych na Litwie i Rusi. Daty wystawione na tytule (1815—1823) nie mają bynajmniéj na celu twierdzenia, jakoby ruch cały w tych jedynie granicach czasu się zamykał; wskazują one tylko, że wtedy najsilniéj uwydatniły się jego objawy. Wiadomo, jaki ruch świetny od r. 1823 rozpoczął się w dziedzinie poezyi. A co do pierwszéj daty, to nie ma wątpliwości, że i *przed* r. 1815, jako dalszy ciąg „wieku oświeconego“ istniały dążności postępowe, zmuszone już wówczas walczyć z kierunkiem wstecznym; ale dopiero po kongresie wiedeńskim, jak w całéj Europie tak i u nas, napotykamy wyraźniejsze ślady walki, upamiętnione w czasopismach i broszurach. Może kiedyś pamiętniki i listy, dotąd niedrukowane, dadzą nam dokładniéj poznać zarówno te głośniejsze jak i owe cichsze fazy walki; nateraz niech będą szkicem do obrazu zebrane w pracy téj wiadomości, świadczące o mało znanych obecnie bojach, jakie postępowcy prowadzili z uprzedzeniem, ciemnotą i przesądami.

I.

Reakcya przeciwko ideom rewolucyi francuskiéj. — Rzecznicy téj reakcyi i jéj wykonawcy. — Epoka kongresów. — Opozycya przeciw dążności téj wśród inteligencyi.—Wzrost stanu średniego.—Romantyzm i filozofia niemiecka. — Charakterystyka naszéj reakcyi i naszéj opozycyi. — Liberalni i obskuranci. — Jak nazwy te rozumiano?

Kiedy wielki ruch polityczno-społeczny we Francyi z końca XVIII stulecia, który tak wielostronnie wpłynął na ukształtowanie stosunków europejskich, przemienił się, pod panowaniem terroryzmu, w zorganizowaną rzeź i grabież; kiedy najuczciwsze i najrozumniejsze siły od tak wstrętnie przeinaczonego dzieła reformy z niechęcią się odwróciły: wówczas już rozpoczęło się powoli wprawdzie ale wytrwale postępujące oddziaływanie przeciwko wszystkim hasłom, co rozgorączkowały przed kilku laty umysły uczonych i prostaków i powiodły do olbrzymiego wysiłku przetworzenia społeczeństwa.

Najświeższy dziejopis téj artystycznie wspaniałéj ale moralnie straszliwéj chwili, H. Taine tak nam wystawia tych, co w połowie r. 1793 przyszli do władzy we Francyi. „W skutek całego szeregu dystylacyj w znaczeniu odwrotném, ze stronnictwa pozostały same męty; z wielkiego wylewu r. 1789 — tylko piana i błoto; reszta albo się usunęła, albo ją usunięto: najprzód klasa wyższa, duchowieństwo, szlachta i byli członkowie parlamentu, następnie klasa średnia, przemysłowcy, kupcy i mieszczanie, nakoniec wybór klasy niższéj, mali właściciele, dzierżawcy, majstrowie; słowem wszystko, co było znaczniejszego w każdym zawodzie, położeniu, stanie lub rzemiośle, wszyscy, co mieli jakiś kapitał, jakiś dochód, jakiś zakład, wszyscy co mieli punkt honoru, poważanie, wychowanie, kulturę umysłową lub moralną... Wśród tego błota, co się przelewa, najgrubszą warstwę stanowi zwykły kał i szumowiny wielkich miast, hultaje wszelkiéj profesyi czy rzemiosła, wyrobnicy, maroderzy armii społecznéj, ludzie, którzy wyszedłszy z domu przytułku i przepędziwszy życie nieporządne, kończą w domu obłąkanych... Tacy zawsze są skłonni do rabunku i grabieży...“ (*La conquête jacobine*).

A jeżeli dzisiaj, po stu latach blisko, historyk niezależny, spokojny a nawet chłodny, tak przerażający kreśli obraz, to jakże okropnie musiał się on przedstawiać spółczesnym, których namiętności i interesa jaknajściśléj się łączyły z takim lub innym obrotem wypadków we Francyi! Zarówo dla tronów i ołtarzy jak dla wszystkich, co mieli cośkolwiek do stracenia, dla wszystkich, co w spokojne zdobycze pracy rąk i pracy myśli wierzyli, dla wszystkich, co

władztwo pięści za smutny spadek po barbarzyńskich przodkach poczytywali,— widok łupiestwa, pożogi i mordów musiał być wstrząsającém do głębi duszy napomnieniem, że nie wszystko, co piękne w teoryi, pozostaje piękném w praktyce, zwłaszcza gdy urzeczywistnieniem jego zajmą się umysły napół tylko ukształcone albo nieukształcone wcale.

Łatwo więc nam zrozumiéć oburzenie i nienawiść do „jakobinizmu,“ łatwo wytłómaczyć sobie chęć przeciwdziałania jego dalszemu szerzeniu się; łatwo pojąć głośne natenczas wyrzekanie się zasad, dawniéj wyznawanych, przez ludzi takich jak np. Laharpe lub Châteaubriand.

Wstręt do krwawego apostolstwa idei reformatorskich był niewątpliwie powszechny, ale w kwestyi zarówno przyczyn powstania jak i środków stłumienia jakobinizmu zaznaczyły się zaraz, z początku niemal, olbrzymie różnice zdań, które w następstwie wytworzyły walkę, do dziś dnia nurtującą społeczeństwa europejskie.

Jedni przyczynę wszystkich nieszczęść widzieli w samėj oświacie wieku XVIII, a zatém w samym rozumie ludzkim odrzucającym pomoc i przewodnictwo kościoła, lekceważącym historyczny rozwój stosunków społecznych, powołującym do władzy w państwie wszystkie składowe jego żywioły. Dla nich rozum ten — to uosobiony jakobin, wróg wszelkiego ustalonego porządku, wróg wszelkiéj władzy i powagi, wróg wszelkiéj uczciwości i honoru. Na pokonanie tego wroga potrzeba powołać do walki najpierwszą i najsilniejszą straż bezpieczeństwa publicznego—wiarę i władzę absolutną, któréj najdzielniejszym i najszanowniejszym urzędnikiem jest kat. Reakcya zatém religijna, spoleczna i polityczna, t. j. powrót do dawnego stanu rzeczy przed r. 1789, reakcya gwałtowna, posługująca się środkami doraźnemi, stała się hasłem tego zastępu ludzi, co potępiali rozum jednostkowy a zalecali wszystkim wiarę ślepą i bezwarunkowe poddanie się władzy. Miała ta reakcya na początku wieku naszego zarówno gadatliwych i umysłowo ograniczonych przedstawicieli w rodzaju ks. Barruela, niezmordowanego ścigacza jakobinizmu, jak i wielce utalentowanych apostołów w rodzaju de Maistre'a i Bonalda. Potężnemi jéj zwolennikami, którzy umieli i chcieli w czyn zamieniać teoretyczne poglądy, byli duchowni i rządzący.

Reakcya religijna rozpoczęła się najprzód. Ołtarz bóstwa „Rozumu“ nie trudno było obalić, tak samo jak wyśmiać kult madonny w postaci Katarzyny Théot; kalendarz, w którym zamiast dawniejszych świętych, figurowała „marchew“ lub „kapusta,“ łatwo było wypełnić poprzedniemi jego mieszkańcami. Potrzeba ukojenia dawała się czuć nieprzeparcie; a na téj potrzebie oparło duchowieństwo swą od-

wieczną władzę. Powoli przyszło do tego, że zaczęto żałować najtęższego szermierza katolicyzmu, szermierza, przeciwko któremu armia filozoficzna w początku drugiéj połowy wieku XVIII swoje dotkliwe wymierzała ciosy, dopóki go nie obaliła. Pius VII odwołał to, co Klemens XIV zrobić był „zmuszony.“ Zakon jezuitów został nanowo powołany do życia w całéj Europie roku 1814, by nanowo wspierał swém ramieniem potężném sprawę ujarzmienia myśli ludzkiéj.

Przywrócenie jezuitów nastąpiło w kilka miesięcy po ustąpieniu Napoleona na Elbę, kiedy koalicyi monarchów wydawało się, że już naprawdę zamknęła epokę rewolucyjną. Niebawem przekonano się, że jeszcze potrzeba wytężyć siły, ażeby pokonać korsykańczyka. Wtedy dopiero w r. 1815 zawarto „święte przymierze,“ w którém pod pokrywką rządzenia ludami według zasad ewangelii wypowiedziana była maksyma rządu niby patryarchalnego a w gruncie rzeczy despotycznego. Nie odrazu maksyma ta weszła w wykonanie; trzeba było ludom, które powołano w imię wolności do walki z „przywłaszczycielem“ dać choć pozory udziału w rządzie, trzeba je było zabawić jakąśkolwiek reprezentacyą. Pierwsze téż lata po kongresie wiedeńskim miały w sferze politycznéj charakter spokojny; niektórzy monarchowie przyrzeczeń swych dotrzymywali jako tako, choć w głębi duszy czuli zapewne wielkie z tego ustępstwa ze swéj władzy niezadowolenie. Metternich, który wtedy święcił dzień największego tryumfu swéj sztuki dyplomatycznéj, bez ogródki wyrażał potrzebę powrotu do dawnych dobrych czasów, kiedy ludami kierowano jak dziećmi. Skorzystał téż ze sposobności, która się w r. 1819 w skutek zabójstwa Kotzebuego przez Sanda nastręczyła i system represyi zastosowywać zaczął z całą siłą, prześladując wszelkie stowarzyszenia studenckie, więżąc ich uczestników, ograniczając swobodę słowa. System ten przeprowadzany w Niemczech, na kilku zjazdach (od r. 1819—22) w Karlsbadzie, Opawie, Lublanie, Weronie, znalazł chętnych wyznawców i wykonawców wśród sprzymierzonych rządów, które się zobowiązały wygubić ducha jakobinizmu, ducha „rewolucyjnego,“ gdziekolwiek-by się objawiał. Prawomyślność religijna i polityczna była zaszczytnie odznaczana i nagradzana; wszelki zaś objaw opozycyjny poczytywano w sferach rządzących za skutek ukrytego jakobinizmu i farmazonii i dlatego tłumiono go, o ile było można. Uspokojenie ruchów włoskich, wprowadzenie Burbonów do Hiszpanii w osobie Ferdynanda VII-go zdawało się zapowiadać spokojny powrót do dawnych urządzeń politycznych i społecznych.

Powrót taki atoli jest w dziejach rzeczą niemożliwą. Kiedy umysł ludzki raz zapuści wzrok krytyczny we wszystko, co wchodzi

w widnokrąg jego badań, niczém już wzroku tego przesłonić niepodobna, a wszelkie stawianie przegród pobudza temperamenta żywsze do tém usilniejszego burzenia tych przeszkód. Nie wszyscy, jak Laharpe, lub Châteaubriand, odrzucą ze wstrętem to, co niedawno czcili, nie wszyscy zakazać potrafią swéj myśli pochodu w kierunku poprzednim. Cała inteligencya, uczeni, literaci, adwokaci, doktorzy, znaczna część szlachty wychowywała się za czasów, kiedy powszechnie oświatę wieku XVIII wielbiono i za jedynie prawdziwą poczytywano. Przywykłszy za młodu do hołdowania takim zasadom, wdrożywszy się w nie nałogowo, nie mogła inteligencya ta porzucić swych przyzwyczajeń myślowych, swych upodobań i usposobień, a choćby najmocniéj potępiała wybryki i potworności terroryzmu, nie mogła w swém sumieniu zaprzeczyć słuszności tym przekonaniom, które od zarania lat młodych wyznawała. Przyczynę złego musiała przypisywać nienormalnym stosunkom religijnym, politycznym i społecznym, a środek widziéć w ich usunięciu oraz w szerzeniu oświaty. Świetne zdobycze naukowe wieku XVIII, stanowiące zarodek całego rozwoju umiejętności w czasach naszych, literatura jasna, rozumna, walcząca z ciemnotą i zabobonami, wybornie zastosowana do umysłowości i charakteru ludzi spółczesnych sobie, bo będąca jéj wykwitem; wszystko to nieprzeparcie pociągało ku sobie i zniewalało raczéj do dalszego rozwijania, aniżeli tępienia tych pierwiastków wykształcenia i cywilizacyi, jakie umysł osiągnął w „wieku oświeconym.“ Poddać myśl swoję pod bezwarunkowe zwierzchnictwo ślepéj wiary było dla téj inteligencyi równie niemożliwą rzeczą jak się dobrowolnie zaprzedawać w niewolę. Można było uznać sferę wiary jako równouprawnioną ze sferą wiedzy—i to, w téj lub innéj formie, robiono nieraz—ale niepodobna było dla znacznéj części z pośród inteligencyi dopuścić dawniejszéj supremacyi wiary, a raczéj jéj przedstawicieli, to jest duchownych.

Toż samo powiedziéć można i ze względu na udział narodu w rządzie. Wychowańcy doktryn politycznych wieku XVIII w szczuplejszym lub szerszym zakresie starali się je utrzymać i wśród nowego położenia, wytworzonego przez kongres wiedeński. Tam gdzie się ustalił rząd konstytucyjny, powstała opozycya, która różne wprawdzie przechodziła koleje, nie dozwalała jednak zaniknąć idei wolności i pobudzała społeczeństwa, reprezentancyi nie mające, do przemyśliwania nad jéj zaprowadzeniem.

Tym dążnościom dzielnie dopomagała szybko i silnie rozwijająca się oświata i zamożność stanu średniego, który przy schyłku wieku XVIII doszedłszy do świadomości swego znaczenia i swéj

potęgi, teraz, w skutek olbrzymiego rozrostu przemysłu, zyskiwał szeroką materyalną podstawę, dającą mu śmiałość występowania z prawami do spółudziału w polityce. A występowanie to zmuszało do zdobywania wiedzy, do wysiłków umysłowych ażeby inteligencyi szlacheckiéj nie dać się pobić.

Równocześnie ten ruch wśród mieszczaństwa, na polu politycznem oddziaływał i na polu społecznem przez szerzenie i ugruntowanie ducha demokratycznego, który staje się wybitném znamieniem naszego stulecia. Wprawdzie niejeden wzbogacony mieszczanin usiłuje przejmować formy a nawet śmieszności dawnéj staréj szlachty; wprawdzie reakcya błyskotkami orderów i brzękiem tytułów pociąga niejednego przedstawiciela demokracyi do swoich szeregów; atoli ani owo naśladownictwo ani ta dezercya nie są decydującemi i stanowczemi krokami stanu średniego ku zniweczeniu własnemu, gdyż większość ceni swe stanowisko zbyt wysoko, ażeby się go miała wyrzekać, a swoją opornością wpływa nawet na warstwy szlacheckie w kierunku zdemokratyzowania obyczajów i form towarzyskich. Obyczaje te i formy, jako objawy zewnętrzne powolnéj przemiany przekonań, wyrównywują powierzchowne różnice pomiędzy klasami, gdy z drugiéj strony równość prawna w obliczu sprawiedliwości też różnice pozornie przynajmniéj znosi.

Zestawiwszy te przeciwieństwa w przekonaniach i dążnościach reakcyi i zwolenników wieku XVIII, nietrudno zgadnąć, że musiała pomiędzy nimi wybuchnąć walka zarówno o zasady jak o środki polepszenia bytu społeczno-politycznego, walka, w któréj przeciwnicy czy-to pod nazwą liberałów i obskurantów, czy téż postępowców i wsteczników, w różnych czasach różnym podlegali losom, na różne dzielili się grupy, odnosząc na przemian zwycięstwo, to ponosząc porażkę.

Spółcześnie z temi potężnemi ruchami polityczno-społecznemi powstają i rozwijają się dwa objawy naukowo-literackie, których pierwotną ojczyzną były Niemcy, ale które przeszły przez całą Europę modyfikując się i zastosowując do danych stosunków narodowych. Mam tu na myśli romantyzm niemiecki i filozofią niemiecką.

Romantyzm powstał z zakochania się w poezyi ludowéj, w podaniach narodowych, w rycerstwie średniowieczném, tak barwnie a nawet jaskrawo odbijającém od powierzchownéj jednostajności nowożytnéj. Za tém zamiłowaniem poszło uwielbienie dla form i obrzędów kościoła katolickiego, co poprowadziło wielu pisarzy protestanckich do przyjęcia katolicyzmu; a następnie apoteozowanie urządzeń średniowiecznych w zakresie polityczno-społecznym. Tym sposobem amatorstwo literackie i artystyczne stopniowo pociągnęło

za sobą sympatyą do czasów dawno minionych, do instytucyj wyśmianych przez „wiek oświecony," do tego słowem, co się już przestarzałém wydawać musiało zwolennikom zasad owego „wieku oświecenia." Ale co więcéj, sympatya dla tych odległych czasów i stosunków zbliżyła wielu romantyków do biorącéj w ręce wodze rządu reakcyi, tak że romantyzm stał się w Niemczech równoznacznikiem średniowieczczyzny i wstecznictwa. W innych krajach nie miał on tak wybitnie reakcyjnego charakteru, ale choć jednę z cech swoich wnosił do literatury, życia, polityki lub religii. Obok poetów romantycznych pojawili się publicyści i politycy romantyczni, którzy wsteczne westchnienia liryków przemieniali na wsteczne działania.

Filozofia niemiecka nie miała właściwie w początkach swoich nic spólnego z dążnościami reakcyjnemi. Pierwociny jéj sięgają czasów wyprzedzających rewolucyą francuską i były niezależnemi od wpływów terroryzmu. Następnie, krzewiciele jéj, jak np. Fichte należeli do najognistszych obrońców wolności umysłowéj i politycznéj. Posiadała atoli filozofia tę jednę stronę, którą można było wyzyskiwać w celach wstecznictwa. Była ona wprost przeciwną tym zasadom myślenia, jakie się w ciągu wieku XVIII wyrobiły, a znane są pod nazwą czy to sensualizmu czy materyalizmu. Mogła się tedy łączyć i czasami istotnie się łączyła z dążnościami reakcyjnemi, jak to uwidoczniło się naówczas, gdy romantyzm zespolił się z pewną fazą w rozwoju systematów Schellinga, albo gdy filozofia przedstawiała przez usta Hegla wszystko, co istnieje, a zatém i każdy porządek ustalony, jako rzecz rozumną. W każdym atoli razie filozofia ta, zrazu w bardzo szczupłym działająca zakresie, nie może być, biorąc ogółem, uważaną za stałą poplecznicznkę wstecznictwa; owszem niejednokrotnie stawała się natchnieniem postępowców.

Co się na obszernéj widowni w wielkich działo rozmiarach, to u nas na mniejszéj scenie w szczuplejszym zakresie musiało się rozwijać, przybierając cechy cokolwiek odmienne stosownie do charakteru narodowego, poprzedniéj pracy dziejowéj i spółczesnego położenia.

Wiara u nas nie była zachwianą, nie oddawaliśmy czci bogini „Rozumu," nie zrywaliśmy z katolicyzmem. Zapewne wiele było lekkomyślności w słowie, wiele żarcików i drwin z rzeczy świętych, zdarzały się téż pojedyncze wybryki w czynie; deizm miał niewątpliwie niejednego zwolennika, ale głośno, na piśmie niewielu się z nim popisywało. Stronnictwo reformatorskie starało się przeprowadzić ideę tolerancyi religijnéj, wytępić przesądy i zabobony, szerzone przez ciemne nieraz mnichy, wywalczyć sobie niezależność od hierarchii, zapewnić wszystkim swobodę myślenia i mówienia, zdo-

być dla nauki stanowisko niezależne, szerzyć oświatę, pojętą i rozumianą w duchu wieku XVIII, wśród coraz większéj liczby ludzi. W rozbiór i krytykę dogmatów nie wdawano się prawie wcale. Na Pismo św. nie powoływano się wprawdzie w sprawach naukowych, ale go téż nie zaczepiano ze stanowiska umiejętnego. Kilka przykładów żenienia się księży katolickich, broszury celem usprawiedliwienia tego kroku wydane: oto najgłówniejsze objawy samoistne osłabienia nie tyle religii ile karności kościelnéj.

Z takiego stanu religijnego wynikały oczywiście i cechy reakcyi religijnéj. Przez pierwsze 30 lat naszego wieku nie ma u nas ani jednego prawdziwie utalentowanego „obrońcy wiary.“ Nie dziw: nie było jéj bronić przeciw komukolwiek. W braku istotnego materyału prześladował gburowaty żarliwiec ks. Karol Surowiecki jakobinizm zagraniczny, tłómaczył pamflety Barruela, a zapędzając się coraz bardziéj w zaciekłości przeciwko urojonym wrogom wiary, kompromitował duchowieństwo napaściami na oświatę, występując np. przeciwko systematowi Kopernika. Obojętność względem duchowieństwa, lekceważenie oddanych wyłącznie „bogomyślności“ mnichów z powodu ich nieuctwa, zaniedbanie praktyk pobożnych brali niektórzy za obrazę religii i piorunowali przeciwko bezbożności. Stosunek religii do państwa, niektóre kwestye dotyczące uposażenia duchowieństwa, lub prawa małżeńskiego wprowadzały w kolizyą władzę duchowną z władzą świecką i służyły za materyał do wycieczek przeciw niedowiarstwu, jak to ma miejsce w pismach ogłoszonych za staraniem arcybiskupa Ignacego Raczyńskiego.

Arystokracya szła za żarliwszém duchowieństwem. Nie wdając się w spory, a modelując się na wzór emigracyi francuskiéj, którą u siebie podejmowała, żywiła pewną nieufność do krajowych nauczycieli i szkół a dzieci swoje powierzała albo cudzoziemcom, zazwyczaj księżom, albo téż posyłała je do szkół duchownych za granicę. Zresztą czytywała Châteaubrianda *le Génie du Christianisme* i *les Martyrs*, a spełniając praktyki kościelne, o ile możności w domu; uważała się za całkiem zwolnioną od wszelkiego innego manifestowania swojéj prawomyślności. Bywały i tu wszakże wyjątki, które od działalności społecznéj się nie usuwały, ale urzeczywistniając idee XVIII wieku w téj zmodyfikowanéj formie, w jakiéj się one u nas przyjęły, dawały innym wzór, który, niestety, mało znajdował naśladowców. A jeżeli Joachim Chreptowicz żałował przed śmiercią swéj wiary w moc i potęgę rozumu, to stary Czartoryski, jenerał ziem podolskich, Ignacy i Stanisław Potoccy, Czacki, co ukochali w młodości, to przeprowadzali w czynie do końca życia lub przynajmniéj do końca swéj publicznéj działalności w kraju.

A jak ci przedstawiciele arystokracyi, tak cała inteligencya czyto szlachecka czy mieszczańska, w sutannie czy we fraku, była całkiem po stronie idei XVIII wieku, dążyła do szerzenia światła w narodzie, do ugruntowania wiedzy, do budzenia samodzielnych badań, ażeby stracone stanowisko polityczne w Europie zastąpić jakiém-takiém stanowiskiem cywilizacyjném, naukowém. Wszyscy znakomitsi uczeni, literaci, dostojnicy byli wolnomularzami; co im bynajmniéj nie przeszkadzało szanować religią. Powstawali oni tylko przeciw zbyt wygórowanym pretensyom wyższego duchowieństwa, jak nie mniéj przeciw brakowi należytego przygotowania umysłowego w niższém; a jak w XVIII wieku biskup Krasicki napisał ostrą satyrę na nieuctwo, ospałość i opilstwo mnichów w „Monachomachii,“ tak teraz minister oświecenia i wyznań religijnych Stanisław hr. Potocki dosadnie maluje ciemny fanatyzm pewnych sfer księżych w „Podróży do Ciemnogrodu.“

Co do kwestyi politycznéj, to myśmy zostawali w innem położeniu aniżeli reszta Europy. Podczas rewolucyi francuskiéj myśmy się starali rząd nie zburzyć ale wzmocnić, po ostatnim zaś rozbiorze kraju szło o życie narodu a nie o formę rządu. Po kongresie wiedeńskim niektóre części byłéj Rzeczypospolitéj musiały się pod względem politycznym zachowywać całkiem milcząco, jak Litwa i Ruś, inne miały wprawdzie reprezentacye, ale zupełnie bierne, wszelkiéj pozbawione inicyatywy; wysłuchiwały one tego, co im rząd powiedzieć kazał i mogły co najwyżéj podawać prośby do Majestatu. Tak było w Galicyi i ks. Poznańskiém. Jedno tylko Królestwo Polskie miało konstytucyą, miało więc sejmy, na których o sprawach kraju posłom wraz z senatem radzić było wolno. To téż tylko w Królestwie powstała walka rządu reakcyjnego z opozycyą, która, na modłę francuską utworzywszy się, pilnowała ścisłego wypełniania ustawy.

Przechodząc na pole społeczne, nie będziemy wspominali o stosunku szlachty do arystokracyi, ani téż do mieszczaństwa, które bardzo się słabo jeszcze przedstawia, ale zwrócimy uwagę na smutny stosunek panów do „chłopów.“ Rzeczpospolita przy swym upadku pozostawiła kwestyą tego stosunku niezałatwioną w duchu nowożytnym, ale tylko rozpoczętą. Wraz z utworzeniem księstwa warszawskiego nadana została wieśniakom wolność osobista bez własności; w innych częściach dawnéj Polski utrzymane zostało nadługo „poddaństwo.“ Zwolennicy ustawy 3 maja, działając w jéj duchu, nie przestawali dopominać się o polepszenie doli tych poddanych, o obdarzenie ich własnością, ale głosy ich nie znajdowały posłuchu częścią wśród samych „panów,“ którym ta jedna już tylko władza nad

„poddanemi“ pozostała, już-to wśród sfer rządowych. Przyjaciele poddaństwa, jako zabezpieczeni prawem, bardzo rzadko zabierali głos w téj palącéj kwestyi. ale dostatecznie protestowali przeciwko teoretycznym zamachom na swą własność biernym oporem; rządy niejednokrotnie zakazywały nawet dyskusyi w tym przedmiocie. Jeżeli w niezałatwieniu téj tak ważnéj i tak bolesnéj sprawy może być dla nas jakaś pociecha, to chyba ta, że wśród haseł postępowych sprawa włościańska zawsze jedno z pierwszych miejsc zajmowała i że wynikiem działalności postępowców były częściowe przez jednostki podejmowane reformy.

Jeżeli wreszcie od tych dążności religijnych i polityczno-społecznych przejdziemy do zaznaczenia prądów naukowo-literackich, to wypadnie nam przedewszystkiém zauważyć, że reforma wychowania, zainaugurowana przez Konarskiego a następnie przeprowadzana przez komisyą edukacyjną, musiała mieć głównie na widoku względy utylitarne, musiała popierać uprawę nauki dla celów życia praktycznego. Z takiego kierunku wykształcenia wynikło zamiłowanie faktów, rozbiór zjawisk i ich metodyczne uogólnianie, do którego klucz podawała filozofia francuska. Condillac stał się głównym przewodnikiem w dziedzinie filozoficznéj. Dla przyjęcia i rozwijania metafizyki niemieckiéj zamało było przygotowania w umysłach; nie mogła więc ona mieć wielkiego rozpowszechnienia. Jednostki zaś, które się badaniu jéj poświęciły, jak Feliks Jaroński, Józef Kalasanty Szaniawski, umiały ją pogodzić z religią chrześcijańską i w tym duchu ją wykładały. Szaniawski zresztą przeszedł następnie do szeregów zagorzałéj reakcyi. Dopiéro po r. 1831 filozofia niemiecka u nas wybujała.

Romantyzm zaś nasz przez czas długi z reakcyą wcale się nie łączył, a jeżeli obok innych, narodowych, budził także uczucia religijne; to te w większéj części w żadnym z oficyalném wyznaniem wiary, z kościelną prawomyślnością nie zostawały związku.

Jeżelibyśmy w kilku słowach chcieli sobie streścić stosunek sprzecznych u nas dążności umysłowych na początku wieku XIX, to możnaby powiedzieć, że występują wtedy do walki zwolennicy idei *naszego* „wieku oświecenia“ z przedstawicielami reakcyi, która w części tylko jest naszą, a w części nie. Pierwszych nazywano wtedy *liberalnemi*, drugich—zwłaszcza odnośnie do duchowieństwa—*obskurantami*.

Ażeby mieć pojęcie, jak sami *liberalni* pojmowali swe dążności, jak charakteryzowali swe przekonania, potrzeba zajrzéć do własnych ich pism.

W zeszycie styczniowym „Pamiętnika Warszawskiego“ z roku 1816 znajduje się artykuł p. n. „Co znaczą wyobrażenia liberalne.“ Dowiadujemy się z niego, że „od roku przeszło nowe hasło“ obijało się o uszy spółczesnych. Hasłem tém liberalność. Cóż- to jest? W przekonaniu przeciwników tego hasła „wyobrażenia liberalne podkopują trony, obalają ołtarze i mieszają świat cały;“ wyraz-to rewolucyjny. W przekonaniu zwolenników „są-to wyobrażenia rozumne;“ „podobało się nam—powiadają oni—dać im nowe nazwisko, lecz pod jakiémkolwiekbądź imieniem, one to powinny kierować rządami i ludami.“ Zwracając następnie uwagę na pochodzenie łacińskie tego wyrazu, autor dodaje: „W polskich pismach lubo *od niedawnego czasu* wyraz ten zjawił się i dość często bywa powtarzany, godzien jednak jak najdzielniejszego poparcia; niech więc zabobonni puryści piorunują przeciwko nowości, któréj przytłumić już nie zdołają, a my korzystajmy z źródła łacińskiego na ustalenie znaczenia, *które wtenczas tylko niebezpieczném być może, gdy określenia mieć nie będzie.*“ Chcąc je tedy określić, autor wchodzi w wywód filologiczny i ilustruje różne znaczenia tego wyrazu przykładami, naumyślnie tak dobranemi, żeby usunąć wszelki związek myślowy liberalności z terroryzmem. I tak np. powiada: „Mówimy dobrze: *mniemani* republikanie francuscy nie byliby tyle ściągnęli dokoła siebie przeszkód i nienawiści, gdyby sposób ich myślenia był liberalny, to jest *względny i wspaniały.* Nic nie było mniéj liberalném nad prawo względem osób podejrzanych i proskrypcyą szlachty po 18 fruktidora... Polityka liberalna nie drażni niczyjéj miłości własnéj, jednoczy interesa i rozbraja częstokroć ramię już wznoszące miecz bratobójczy. *Duch liberalny* nie oskarża ani przyjaciół wolności *o sprzyjanie okropnościom anarchii*, ani przyjaciół religii o pochwalenie nocy św. Bartłomieja. Podły i brzydki egoizm szuka zalety z wyłącznego sposobu myślenia i zdań zimno przesadzonych; dusze liberalne, poświęcając żal nawet najsłuszniejszy dobru publicznemu, widzą brata w każdym człowieku użytecznym swéj ojczyznie.“

Przechodząc następnie do dziedziny polityki, autor tak przedstawia pojęcie liberalności: „Wyobrażenie polityczne jest liberalném kiedy jest zgodne z moralnym celem bytu człowieka; kiedy sprzyja rozwinięciu i wydoskonaleniu władz naszych umysłowych; kiedy dąży do zapewnienia wolności publicznéj i praw społeczeństwa całego przeciw nieprawéj potędze osób pojedyńczych, czyli-to anarchicznéj czyli despotycznéj; kiedy zamierza korzyść wszystkich, czyli dobro publiczne nie zaś prywatne osób szczególnych lub jednéj klasy; kiedy wznieca uczucia wspaniałe, wysokie i patryotyczne, a nie próżność, chciwość i słabość podsyca; kiedy jest, jedném słowem, godne

nie dworaka układnego, nie pochlebcy najemnego lub podłego niewolnika, ale obywatela państwa i czynnego a niepodległego członka familii politycznéj."—Następnie zwraca się do saméj ustawy: „Konstytucya liberalna nie tylko nadaje narodowi wszelką wolność, jakiéj stan jego cywilizacyi dozwala, ale nadto oddaje téż wolność pod straż uczuć chwalebnych i szlachetnych. Jedno z najpierwszych znamion rządu liberalnego jest wolność żądania obrad publicznych w sprawach tyczących się państwa i narodu. Lecz zezwoliwszy na obrady, potrzeba zezwolić i na sprzeciwianie się, ciągłe zaś sprzeciwianie się czyli opór w sprawach politycznych zowie się *opozycyą*. Wszelki więc rząd liberalny dozwala oporu czyli opozycyi, więcéj powiem, wymaga jéj koniecznie; bo najprzód, opór tylko jawny przekonywa o wolności politycznéj; powtóre, że spory ministrów z opozycyą odkrywają błędy pierwszych i dają poznać rządowi stan i ducha publiczności, podają sposobność kierowania i władania opinią... Prawda, że opozycya umilka niekiedy z przyczyn podłych lub obraźliwych; a kiedy walczy, głaszcze namiętności, wzywa pod swoję chorągiew zazdrość, nienawiść, chciwość i rozwiozłość; prawda, że walcząc zaprawia oręż jadem potwarzy, przeistacza sprawy najniewinniejsze, czerni zamiary najczystsze i najgrawa się z przymiotów najszlachetniejszych;—lecz to wszystko nie przeważa jéj korzyści. Opozycya tylko liberalna może służyć do zjednania rządowi głosu i oklasków publiczności." Ale jakaż-to jest opozycya liberalna? Oto „kiedy broniąc swobód konstytucyjnych, szanuje oraz święcie sprawy państwa; kiedy naganiając omyłki i uchybienia, a nawet pociągając do odpowiedzi osoby występne albo nieroztropne, nie posuwa swych posądzeń do całéj klasy tychże osób o ducha stronnictwa, o zamiary buntownicze, o zamysły nieprawe." Do haseł liberalnych zalicza wyraźnie na pierwszém miejscu „wyzwolenie włościan," następnie „wolność druku," po trzecie „cierpienie" (tj. tolerancyą) różnych wyznań.

Na tém jednak autor zarówno oględny jak zręczny nie poprzestaje. Nie dosyć mu określić, czém są wyobrażenia liberalne, powiada jeszcze czém nie są, ażeby odsunąć fałszywych braci, podszywających się tylko pod sztandar liberalności, przyczém naturalnie pragnie ubocznie odpowiedzieć na insynuacye przeciwników liberalizmu. „Znajdują się wyobrażenia śmiałe i wolne—powiada—które bynajmniéj nie są liberalnemi. Bezbożnik, który wydziera cnocie jedyną nadzieję; zwolennik Woltera, który poniża nasze jestestwo moralne żarcikami rozwiozłemi; anarchista, który dla dopięcia władzy wielbi nieład i obala najgłówniejsze społeczeństwa zasady: oto

są ludzie, którzy, *jak twierdzą*, głoszą światu wyobrażenia liberalne, a którzy *często żadnych nie mają.*"

Zwracając zaś myśl do kraju, na który wstecznicy powoływali się ciągle jako na straszny okaz skutków liberalizmu, powiada wręcz: „Od lat 25 przywykano nieszczęśliwie we Francyi brać złośliwość za otwartość, bezczelność za odwagę, nadętość pochlebstwa za wielkość, podłe niewolnictwo za zupełne poświęcenie się. Rewolucya zaczęła się od ogłoszenia zdań najliberalniejszych, wszystkie stany zdawały się szczerze żądać dobra powszechnego, nawet z ofiarą korzyści prywatnych... Ale nie nazywajmyż duchem literalnym ambicyi, chciwości i niemoralności *ustrojonéj w czapkę czerwoną.* Nie dbać na uczciwość publiczną, popisywać się z grubą mową i obyczajami, najgrawać się z świetności połączonéj z chwałą narodową, wzruszać spokojność sumienia, targać związki familijne, za dobroć niebieską wypłacać się niewdzięcznością piekielną i pod hasłem wolności prowadzić pod miecz katowski monarchę, największego przyjaciela wolności:—to zapewne nie są oznaki ducha liberalnego. Jeśli rewolucya niepomyślny skutek wzięła, to dlatego, że *lud nie uczuł albo nie zrozumiał wyobrażeń liberalnych*, które być miały zasadą, lud, który sądził się powołanym do uiszczenia i okazania w rzeczy saméj tychże wyobrażeń."

A więc nie wyobrażenia liberalne, ale ich brak poprowadził do potworności oburzających; „dozwólmy, niech wyobrażenia *prawdziwie liberalne* krzewią się i wkorzeniają w nasze prawa, w nasze obyczaje; a wkrótce zobaczym, jak pogarda stanie się wymiarem sprawiedliwości dla wyobrażeń rozwiozłych." Robiąc zaś zwrot do praktyki życiowéj, która w Królestwie kongresowém miała się rozpocząć, powiada: „Konstytucya tyle tylko ma mocy na wieki następne, ile zamienia w ustawy rzeczywiste—wyobrażenia wieku swego najliberalniejsze; bez tego nie zrobiona żadnego postępu wraz z duchem narodu i Europy. *Postęp wyobrażeń jest niewstrzymany.*"

Oto własne słowa liberałów naszych dające nam poznać, co rozumieli przez hasło swoje. Co do obskurantyzmu, to nie ma w ówczesném piśmiennictwie tak dokładnéj jego charakterystyki; poprzestać więc musimy na tych rysach pobieżnych, jakie przekazał nam Jędrzéj Śniadecki. Zaznacza on głównie napływ prądu ociemniającego z zagranicy, napływ wspierany przez „osoby poważne" tj. możne, mające władzę. „Jest—powiada (1)—na całéj Północy powszechny, dawny i nierozerwany związek *sów i puszczyków przylotnych*; związek

(1) Dzieła J. Śniadeckiego, 1840, t. VI, st. 191,2 w art. p. n. „Filozoficzny próżniak wileński warszawskiemu Świstkowi."

poważny, związek dążący do tego, ażeby tu wieczna panowała cichość i sen nieprzerwany, ażeby nikt rodzący się u nas światła nie widział; lub, gdyby się znalazł zuchwalec, któryby je odkrył i śmiał o niém mówić, ażeby go ten dzielny związek natychmiast napadł oplwał, okrzyczał i zniszczył.“ Ci-to „zagraniczni mędrcy“ chcąc „wiecznie doić mleczną krowę naszę, sieją a sieją przesądy i głupstwa; oni podnoszących się w kraju przyjaciół światła prosto i jednomyślnie ogłaszają za głupców; oni niebezpiecznych albo podkopują w ciemności i poniżają, ile mogą, albo gnębią i walą otwarcie, a to dla utrzymania się przy dawnych zyskach i zaszczytach.“ Tak sobie postępują dzięki wsparciu osób poważnych: „za ich-to pomocą za ich opieką te przylotne nietoperze i sowy tak wiele i tak łatwo dokazują; oni to ich sprowadzają, pielęgnują, głaszczą, karmią, odziewają i zdobią.“ Cała potęga obskurantów wkrótce-by upadła, gdyby jéj nie wspierały „osoby poważne,“ gdyby w kraju nie poniżano własnych rodaków i „gdyby się nie było wkorzeniło to zdanie powszechne, że kto się rodzi na téj ziemi, oprócz pałasza, do niczego niezdatny.“

Z téj charakterystyki dowiadujemy się niewiele; dopełnimy ją sobie ze szczegółów podanych w dalszym ciągu pracy. Tymczasem poznajmy główną obskurantyzmu siedzibę.

II.

Jezuici na Białéj Rusi.—Uniwersytet wileński.—Liceum Krzemienieckie—Gimnazyum podolskie.—Akademia polocka.—Wystąpienie Jana Śniadeckiego i Stanisława hr. Potockiego.—Akademia Smorgońska i Pacanowska.—Odpowiedzi obskurantów: Pazurodzierskiego i bezimiennego z Grodna.—Polemika o „Pułtawę.“

Jedyném miejscem na świecie, w którém po ogólnéj kasacie jezuici pozostali, była Białoruś. Cesarzowa Katarzyna nie dozwoliła ogłosić breve Klemensa XIV w swojém państwie, a ponieważ Białoruś po pierwszym podziale Polski znajdowała się już w granicach państwa rosyjskiego, gdy breve wydaném zostało; jezuici chętnie zakaz ten przyjęli. Doznawali z tego powodu ze strony papieża głośnéj nagany, a milczącéj pochwały; zostając zaś pod protekcyą zarówno cesarzowéj Katarzyny jak i Potemkina urządzali swoje kolegia, w r. 1780 otwarli nawet nowicyat w Połocku. O. Czerniewicz został wikaryuszem jeneralnym zakonu. Szkoły swoje w Połocku, Dynaburgu, Orszy, Mohylewie i Mścisławiu zreformowali według wzoru szkół petersburskich, które (jak twierdzi ks. Załęski w „Historyi

zniesienia jezuitów w Polsce") były utworzone na wzór „lwowskich." W roku 1798 już nie wikaryusza tylko, ale jenerała swego mieli jezuici w osobie o. Franciszka Kareu. Niebawem dostają się i do Petersburga, gdzie o. Gruber pozyskuje łaski cesarza Pawła, wielkiego wielbiciela de Maistre'a, i otrzymuje od niego ukaz (10 października 1800) polecający „aby wszystkie katedry w akademii wileńskiéj i szkoły niższe zajęli jezuici;" wydział tylko medyczny miał być obsadzony przez świeckich mistrzów, ale i ci „równie jak i uczniowie medycyny mają pozostawać pod władzą rektora akademii, jezuity." Trzeci punkt ukazu zapowiadał, że „w miarę jak się powiększać będzie liczba jezuitów, przechodzić będą pod ich zarząd wszystkie dawne szkoły i kolegia na Litwie, Podolu i Wołyniu, wrócone im oraz będą dawne dobra i fundusze." Ażeby ukaz ten wszedł w wykonanie, dosyć było, „aby jezuici skoro mićć będą odpowiednią liczbę osób, uwiadomili gubernium i konsystorz, że w tém a w tém miejscu pragną powrócić do swego kolegium, a obydwie te władze obowiązane są oddać im takowe w najkrótszym czasie" (1).

Zanosiło się tedy na całkowitą restauracyą wychowania jezuickiego na Litwie i Rusi, którą od czasów założenia akademii w Wilnie za Batorego tak nieszczęśliwie oświecali jezuici. Jakoż o. Gruber zjechał do Wilna dla obejrzenia budynków szkolnych i gabinetów. Ks. Poczobut, choć były jezuita, „znając dobrze—jak powiada Michał Baliński w historyi „Dawnéj Akademii wileńskiéj" (str. 364) stan umysłowy zgromadzenia ówczesnego jezuitów na Białéj Rusi, przekonany o ich nieudolności do przewodniczenia w instrukcyi młodzieży i niedostatku osób usposobionych do nauczania stosownie do postępu, jaki od połowy XVIII wieku wszystkie umiejętności zrobiły, usiłował zdrowemi uwagami swemi Grubera, i ciągłemi przedstawieniami jenerała jezuitów (o. Kareu) odwrócić od tak zgubnego dla kraju a tak niezaszczytnego dla samegoż zakonu przedsięwzięcia." Według zapewnienia ks. Załęskiego, sami jezuici mieli prosić cesarza Pawła, ażeby sprawę akademii wileńskiéj odłożył do maja 1801 r. Tymczasem przed tym już terminem Paweł rozstał się z tym światem, a następca jego Aleksander, lubo także podobno sprzyjał jezuitom, nie myślał im powierzać zarządu akademii wileńskiéj, lecz pod wpływem Adama Czartoryskiego, towarzysza swéj młodości, zamierzył przekształcić ją na uniwersytet w całém znaczeniu wyrazu i zrobić go bardziéj jeszcze świeckim, aniżeli był za rektoratu ks. Poczobuta.

---

(1) Cały ukaz dosłownie wydrukowany mamy w dziele ks. Załęskiego: „Historya zniesienia jezuitów w Polsce i ich zachowania na BiałéjRusi." Lwów, 1875.

Jak wiadomo, zamiar ten uskuteczniony został przez ukaz z r. 1803, a uniwersytet wileński, dzięki staraniom rektorów: Hieronima Strojnowskiego, Jana Śniadeckiego, Szymona Malewskiego, jak nie mniéj dzięki gorliwéj opiece kuratora księcia Adama Czartoryskiego, coraz-to świetniéj się rozwijał. Zużytkowano najlepsze siły naukowe, jakie były w kraju, a powołani na profesorów znakomici cudzoziemcy i pół-cudzoziemcy (Frank, Bojanus, Groddek i inni) przywiązali się do kraju i, wykładając ze znawstwem i zapałem, pobudzali młodzież do pracy gorliwéj a wytrwałéj. W kierunku wykształcenia odbijały się oczywiście dążności przewodników, wychowanych pod wpływem oświaty wieku XVIII; w uniwersytecie przeważały nauki matematyczne i przyrodnicze, chociaż i humanizm, mając dzielnego profesora w Grodku, bynajmniéj w zaniedbaniu nie był.

Założone niebawem gimnazyum (późniéj liceum) krzemienieckie (1805) za staraniem Tadeusza Czackiego, chociaż w szczegółach odbiegało od planu, którego się trzymał uniwersytet wileński, chociaż miało na oku bardziéj potrzeby praktyczne aniżeli ściśle naukowe, w duchu jednak było stanowczo zgodne z uniwersytetem i stało się rozumnym spółpracownikiem w sprawie szerzenia oświaty, wolnéj od wszelkich mniszych domieszek. Twórca jego, przejęty przekonaniem o szkodliwości wychowania zakonnego wogóle, a w szczególności jezuickiego, z pewną obawą spoglądał na szerzące się wpływy jezuitów białoruskich. Gdy graf Iliński, gorliwy opiekun ocalałych resztek wielkiego zakonu, powołał jezuitów do Romanowa i gdy ci tam zjechali w r. 1811, Czacki przewidując potrzebę oddziaływania przeciwko ich dążnościom, tak pisał do księcia Czartoryskiego: „Jezuici przyjechali do Romanowa. Przyjmowano ich po drodze różnie: starzy przy kielichu tłómaczyli im uszanowanie; młodzi, którzy z naszych szkół wyszli, przyjmowali ich z zimną grzecznością. Czternastu ma zjechać do Romanowa. Piszą z Łucka, że przejeżdżając przez Łuck okazali monarsze pozwolenie *uczenia szkół bezpłatnie*... Zacznie się tedy walka. Na mnie przychodzi ta koléj. Roztropność i delikatność podadzą niewinne środki. Sposób ich uczenia, niezgadzanie się z naszemi prawidłami będą jedynym przedmiotem czynienia... Należy nasze ustanowienia do najwyższego stopnia przyprowadzić; należy, ile tylko można, liczbę kandydatów pomnożyć i... konwikta urządzić." Wspomniawszy następnie, jak to w ciągu XVII w. jezuici, nie znajdując ani ze strony akademii krakowskiéj, ani ze strony pijarów odpowiedniego przeciwdziałania, zmonopolizowali oświatę, przedstawia księciu konieczność a zarazem możność stawienia skutecznego oporu. „Masz W. X. Mość—powiada—wydobyte najobszerniejsze fundu-

sze, masz młodzież pełną zapału, masz wielu sposobiących się ludzi. Są tedy wszystkie środki. Lecz jeżeli cokolwiek się spóźnią albo źle będą użytemi, całe dzieło się wstrząśnie..." Jezuici są niebezpieczni, bo są zręczni i przebiegli, a „wstąpiwszy jedną nogą do naszéj prowincyi, łatwiéj mogą uczynić krok do gotowych kolegiów, które zapalają ich miłość własną." Ofiarując naukę bezpłatnie, a może nawet napomykając o swém kosmopolitycznem usposobieniu, mogą rząd dla siebie pozyskać. „Po tym kroku — dodaje Czacki—wszystkiego od jezuitów spodziewać się można" (1). W 10 dni potém ponawia swe przedstawienia, nastając na to, żeby gimnazyum krzemienieckie tak było wsparte, iżby jezuici emulować z niém nie mogli, żeby konwiktorowie tak wyuczonemi byli, „aby ich jezuici nie mogli porywać lub pokonać." Winszuje sobie, że za pośrednictwem tego zakładu „może opóźni się wzrost jezuitów albo zbliży się w tych prowincyach upadek" (2). A w cztery miesiące późniéj uzasadniając potrzebę konwiktów skupionych w 2 tylko miastach (Wilnie i Krzemieńcu), na pierwszém miejscu kładzie konieczność walki z jezuitami: „Mamy jezuitów moc, sprawność i wielkie środki przeciwko nam. Cokolwiek uczeni złapanemi zostaną... Dozór taki nie może być tylko roztropny i delikatny. Myśli nawet nie można wszystkim powierzyć... Potrzeba nam roznosicielów światła i obrony sposobu naszego uczenia" (3).

Na Podolu to samo zadanie, co Krzemieniec na Wołyniu, miała spełniać Winnica, gdzie zamierzano otworzyć „gimnazyum podolskie." Tadeusz Czacki, któremu powierzone było zajęcie się zarówno tym jak i innemi zakładami naukowemi, w gubernii wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj zbyt zaprzątnięty swoim ulubionym Krzemieńcem, nie zdołał urzeczywistnić téj myśli tak zbawiennéj dla oświaty na Podolu i Ukrainie przeddnieprskiéj. Dopiero po jego śmierci, w r. 1814 otwarto „gimnazyum podolskie," wprawdzie nie według dawniejszego, bardzo szerokiego programu, lecz bądź-cobądź w zakresie wyższym niż inne gimnazya. Wykładano tu oprócz nauk zazwyczaj dawanych, także logikę, prawo, estetykę i „matematykę wyższą." Duch panujący w szkole, który poznajemy z obszernego „Wykładu nauk," był naturalnie taki sam, jaki się ujawniał w uniwersytecie (4).

---

(1) List z 3 listopada 1811 r. z Porycka, w „Skarbcu historyi polskiéj" K. Sienkiewicza. Paryż, 1840.

(2) Tamże. List z 13 listopada.

(3) Tamże. List z 6 kwietnia 1812 z Krzemieńca.

(4) „Wykład nauk i sposobu tychże dawania w Gimnazyum Podolskiém przez nauczycielów w tymże Gimnazyum ułożony a ku powszechnéj Pr. Obywatelów Guber-

Zresztą ponieważ uniwersytet wileński miał pod swoim zarządem wszystkie szkoły na Litwie i na Rusi; ponieważ on mianował do nich nauczycieli: oświata tedy w nim królująca przenosiła się większemi lub mniejszemi strumieniami do wszystkich zakątków kraju, usposabiając młodzież na rozumnych i naukę kochających obywateli (1).

Było-to niewątpliwą a ciężką porażką jezuitów, którzy tak niedawno jeszcze mieli nadzieję pochwycenia steru oświaty krajowéj w swoje mnisze ręce. Nie dawali jednakże za wygraną. Lubo szkoły ich razem z innemi podchodziły pod zarząd uniwersytetu wileńskiego, starali się wszelkiemi sposobami za pomocą wpływów swoich w Petersburgu zmniejszyć doniosłość téj zależności. O ile pod tym względem zręcznymi się okazali, świadczy najprzód, że wiedząc o przygotowującym się planie reorganizacyi uniwersytetu i przenikając kierunek w nim naukowy, sami uprzedzili wszelkie rozporządzenia w sprawie pozornéj szkół swych reformy. Na 4-éj połockiéj kongregacyi dnia 4 października 1802 r. polecają ojcowie szkołom swoim „pilniejsze studyum klasyków,“ a nadto „zastosowanie fizycznych nauk do wymagań wieku i opatrywanie bibliotek w świeże publikacye i naukowe dzieła.“ Potém zaś gdy uniwersytet domagał się od jezuitów, ażeby w szkołach swoich zaprowadzili takiż sam system uczenia jak we wszystkich innych szkołach wydziału wileńskiego, jenerał zakonu albo odpowiadał wymijająco albo też twierdził, że wszelkie nowości wprowadzone do szkół jezuickich obaliłyby statut zakonu, a zatém i samo towarzystwo. Napróżno Jan Śniadecki, który tą sprawą długo i nader gorliwie się zajmował, przekładał jenerałowi, że wszystkie inne zakony wprowadziły w szkołach swych żądane zmiany, a mimo to ich reguła nic na tém nie

nil Podolskiej wiadomości, przez Dyrektora tegoż Gimnazyum i Szkół Podolskich X. Michała Maciejowskiego kan. kat. Kamienieckiego do druku podany 1816 r. Drukowano w Berdyczowie u XX. Karmelitów“ (str. 95).

(1) Liczba szkół, nauczycieli i uczniów w okręgu wileńskim była najwyższą w porównaniu z innemi okręgami cesarstwa. Według urzędowego sprawozdania w „Dzienniku Departamentu Narodowego Oświecenia“ na r. 1821 (t. III, str. 502) było r. 1820 w okręgu wileńskim zakładów naukowych 430, uczących 983, uczących się 21174, gdy tymczasem w okręgu moskiewskim zakładów tylko 287, uczących 846, a uczących się mniéj niż połowa, bo 9788; a jednak dodać trzeba, że pod względem liczby zakładów okręg moskiewski przewyższał resztę okręgów t. j. charkowski (którego kuratorem był z początku Seweryn Potocki), dorpacki, kazański i petersburski. Natomiast pod względem liczby uczących się okrąg charkowski stał wyżéj od moskiewskiego, w 249 zakładach miał uczniów 11716. Inne okręgi miały uczniów po sześć a nawet pięć tysięcy tylko. Zob. „Dziennik Wileński“ r. 1822, t. I, str. 278, gdzie wszystkie szczegóły z „Dziennika Departamentu N. O.“ są przytoczone.

ucierpiała; napróżno starał się wpływać prywatnie na jezuitów przez Poczobuta, który na starość osiadł znowu w zakonie; napróżno dopominał się o to urzędowo za pośrednictwem kuratora: — jenerał o. Brzozowski pozostał niewzruszonym w sprawie reformy szkół jak jego poprzednik o. Ricci w sprawie reformy zakonu. Śniadecki nie mógł wyjednać zezwolenia nawet na tak skromne żądanie, ażeby jezuici raz przynajmniéj zdecydowali się przysłać kandydatów na nauczycieli do Wilna dla wyuczenia się nowych metod uczenia i przypatrzenia się eksperymentom. Mając już raz zdatnych i dobrze przygotowanych profesorów, wypadłoby następnie tylko co dwa lata przysyłać ich na miesiąc conajwięcéj do Wilna dla odświeżenia swych wiadomości. I takie propozycye nie uzyskały aprobaty o. Brzozowskiego (1).

Co więcéj: jezuici przemyśliwali o zupełném uwolnieniu się od kontroli uniwersytetu, a korzystając ze swych wpływów w Petersburgu, potrafili wynieść kolegium swoje w Połocku do godności akademii, która miała pod swoim specyalnym zarządem szkoły jezuickie w Rosyi już istniejące lub założyć się dopiero mające. Dnia 12 stycznia 1812 roku wyszedł ukaz, w którym powiedziano, że „ze względu na doniesione Nam żądanie obywatelstwa białoruskiego, oraz na pożytek dla nauk wynikający z emulacyi między kilku szkołami równego stopnia, osądziliśmy za rzecz pożyteczną wynieść połockie jezuickie kolegium na stopień akademii z nadaniem jéj przywilejów, któremi zaszczyciliśmy uniwersytety.“ Akademia połocka została oswobodzona od nadzoru uniwersytetu wileńskiego; w rzeczach edukacyjnych, wraz ze szkołami sobie poddanemi zależéć odtąd miała wprost od ministeryum oświecenia; w innych zaś sprawach—od władzy duchownéj. Dyplom téj akademii, podpisany 1 marca tegoż roku, ustanawiał w niéj trzy fakultety: pierwszy obejmował w sobie „języki,“ drugi — „nauki wyzwolone, filozoficzne i inne naturalne i cywilne umiejętności;“ trzeci—„teologią i inne do wiary ściągające się nauki.“ Wykładu medycyny i prawa kryminalnego nie było.— W fakultecie „języków“ wykładano rosyjski, francuski, niemiecki, łaciński, grecki i hebrajski; język polski późniéj dopiero został zaprowadzony. — W fakultecie nauk wyzwolonych wykładano: sztukę rymotwórczą, krasomóstwo, filozofią moralną, logikę i metafizykę, fizykę powszechną, partykularną i eksperymentalną, chemią, matematykę czystą i stosowaną, architekturę cywilną i wojenną, prawo

(1) Ktoby chciał zasięgnąć dokładniejszych wiadomości o tych zatargach jezuitów z uniwersytetem wileńskim, znajdzie je w „Pamiętnikach o Janie Śniadeckim“ ogłoszonych przez M. Balińskiego. Wilno 1865, t. I, str. 524—545.

natury, prawo partykularne i prawo rzymskie cywilne, wreszcie historyą powszechną. — W fakultecie teologicznym mieściły się: teologia dogmatyczna, teologia moralna, pismo ś., prawo kanoniczne, historya kościelna wraz z jeografią *hierarchiczną* (!). Urządzenie wewnętrzne było takież jak i w uniwersytecie.

Otrzymawszy spełnienie życzeń swoich, jezuici nie zaniedbali, według tradycyjnego zwyczaju, dać jaknajwiększy rozgłos swemu tryumfowi. Uroczysty akt wręczenia dyplomu i otwarcia zarazem akademii, odbył się jeszcze przed wojną 10 czerwca (1) 1812 roku. Na festyn ten zjechali do Połocka: jenerał-gubernator białoruski książę wirtemberski, biskup miński Dederko, arcybiskup unicki Krassowski, hrabia de Maistre poseł króla sardyńskiego przy dworze petersburskim, znany wielbiciel i protektor jezuitów, daléj wszyscy cywilni i wojskowi dygnitarze, a obok tego marszałkowie szlachty, deputowani od ziem i powiatów, oraz tłum obywatelstwa, tak że ogromna sala popisów szkolnych „objąć nie mogła“ przybyłych gości. Po odprawieniu mszy cała świta zebrała się w téj sali. Biskup Dederko odczytał list metropolity Siestrzeńcewicza, który nie mogąc sam inaugurować otwarcia nowéj instytucyi, polecił biskupowi mińskiemu dopełnić tego obrzędu. Potém jenerał zakonu Brzozowski uprosił jenerał-gubernatora, aby przywiléj na akademią, umieszczony na stole na poduszce ze złotogłowia, wręczył biskupowi. Gdy się to stało, wyruszył orszak z sali popisów znów do kościoła. Młodzież szkolna, otwierająca orszak, niosła chorągiewki jedwabne z herbami ziem i prowincyj cesarstwa, a wszedłszy do kościoła, usadowiła się dokoła wspaniałego tronu, na którym jaśniał w kosztownéj oprawie portret cesarza Aleksandra i stał przygotowany stolik nakryty złotogłowiem, dla złożenia na nim przywileju. Następnie jeden z ojców odczytał przywiléj po polsku. Zagrzmiała muzyka na chórze kościelnym, a na wałach miasta bito salwy z 50 dział. Następnie jenerał zakonu przemówił w języku łacińskim o wielkości dobrodziejstwa, jakie wyświadczył cesarz Aleksander Białéj Rusi erekcyą Akademii połockiéj. Odczytano wiersze okolicznościowe w różnych językach i rozdawano je wraz z drukowanemi egzemplarzami przywileju obecnym gościom. Poczém biskup Odyniec wyniósł na stopień doktorów teologii o. o. Lustyga, rektora kolegium a następnie akademii połockiéj, i Angioliniego, jako wice-rektora tegoż zakładu. Po dokonaniu téj ceremonii zaśpiewano *Te Deum*

(1) Tę datę podaje „Miesięcznik połocki“ (I, 92), u ks. Załęskiego znajduje się o pięć dni późniejsza, 15 czerwca.

i znów z wałów miasta zahuczały salwy z 50 dzieł. Podczas obiadu, do którego samych gości przeszło sto osób zasiadło, przygrywała kapela studencka, a mistrz jéj o. Küferlin dawał koncert na skrzypcach. Nader świetna illuminacya, która przy grze szkolnéj i wojskowéj muzyki, przeciągnęła się do późnéj nocy, zakończyła tę naukowo-religijną uroczystość (1).

W miesiąc potém musieli jezuici połoccy ugaszczać z boleścią serca marszałka Oudinota i znosić postój wojska aż do października, kiedy hr. Witgenstein przymusił Gouvion'a de St. Cyr do ustąpienia z Połocka. Natomiast w tymże miesiącu z radością podejmowali cesarza Aleksandra. „Z jak wielkiém upragnieniem na przybycie tego wielkiego monarchy oczekiwano — czytamy w „Miesięczniku Połockim" (I, 92) — tak z niezmiernym radości wylewem obecnego przyjęto. Cokolwiek uprzejma i dowcipna miłość poddanych ku panu swojemu wymyślić mogła, lub na co wola cesarza zezwolić raczyła; nic z tego naówczas dla okazania czci należnéj temu monarsze nie zaniedbano."

Nie wiemy, czy nauki rozpoczęły się w Akademii z nowym rokiem szkolnym; w każdym jednak razie od 1813 już wykłady istniały. Zakład ten trwał krótko, bo lat osiem tylko, ale gdyby miał znakomitych nauczycieli, niewątpliwie daliby się oni i w tym szczupłym przeciągu czasu poznać ogółowi. Tymczasem najżarliwsi obrońcy jezuitów i ich szkół nie umieją wskazać jakiegokolwiek odznaczającego się nauką męża, któryby akademią połocką uświetnił. Wymieniają jedynie dwu: najprzód ks. Wincentego Buczyńskiego filozofa, znanego z polemiki literackiéj wszczętéj z powodu poematu jezuity Muśnickiego p. t. „Pułtawa," oraz z „Institutiones philosophicae" wydanych w Wiedniu w r. 1843 i 1844; powtóre ks. Cytowicza fizyka, który prawdopodobnie jest autorem kilku rozpraw w „Miesięczniku połockim" pomieszczonych.

Tacy profesorowie nie mogą stanowić sławy akademii. A jeżeli zechcemy wiedzieć, w jakim duchu prowadzono wykłady, to pouczą nas o tém tematy, które, zwyczajem jezuickim, zadawano uczniom dla popisywania się przed publicznością, co nadzwyczaj często robiono. Z teologii, metafizyki, dyalektyki najczęściéj a raczéj wyłącznie wybierano temata skierowane przeciwko filozofii wieku XVIII a mianowicie Wolterowi i Roussowi, czyli *Russonowi* wedle ortografi i morfologii jezuickiéj, raz przeciwko Spinozie, raz przeciwko Kantowi. Jeden dowodził np., że Mojżesz to nie osobi-

(1) Cały ten opis według rękopismu: „Historia collegii Polocensis Soc. Jesu, anno 1812," który cytuje ks. Załęski w dziele wyżéj przytoczoném, od str. 375—377.

stość jakaś zmyślona, że jest on autorem pięcioksięgu, że jest dawniejszym od wszystkich prawodawców i pisarzy pogańskich, że księgi jego w niczém nie sfałszowane takiemi są dzisiaj, jakiemi z rąk autora wyszły. Inny utrzymywał, że „wnętrzne oczywiste rozumu przeświadczenie jest nieomylnym znakiem i dowodem prawdy co do przedmiotów wnętrznych i pod sąd rozumu podpadających.“ Inny usiłował wykazać, że księga Judyty „jest boską i kanoniczną“ i że powstała „pewnie za króla Manassesa.“ Inny, w celu nadania mocy takim i podobnym wywodom, twierdził, że „świadectwo ludzkie pochodzące od osób wiarogodnych *ma nie mniejsze znaczenie od dowodów jeometrycznych*, że zatém niedorzeczném jest żądanie tych, co dla upewnienia się o sprawach do historyi należących chcą argumentów metafizycznych i jeometrycznych.“ Inny znów rozwodził się nad tém, że odwieczne rodzenie się istot bez pierwszego twórcy wbrew sprzeciwia się rozumowi i że świat powstał w czasie przez Mojżesza naznaczonym. Inny starał się udowodnić możliwość cudów, mówiąc, że Twórca wszech rzeczy *może odmieniać prawa przyrodzeniu od siebie nadane* i że jeśliby kto nie chciał zawierzać podaniom o cudach, ten „żadnych na świecie nie znajdzie dziejów, na którychby mógł bezpiecznie polegać, zostawałoby mu tylko przyjąć niezgodne ze zdrowym rozumem prawidła dawnych sceptyków, którzy żadnéj prawdzie nie wierząc i o wszystkiém wątpiąc, o swojéj téż bytności wątpili.“ Tenże wyliczał „wszystkie własności i osobne znaki, po których łacno rozeznać cuda prawdziwe od *czarów* i omamienia złych duchów“ (1).

Czytając to wydaje nam się, że jesteśmy w jakiém lichém seminaryum albo w którym ze średniowiecznych uniwersytetów; dziwimy się odwadze tych pedagogów, którzy sami naumyślnie obudzali wątpliwości religijne w umysłach młodzieży i liczyli chyba na zbyt wielką ciasnotę ich głowy umiejętnie pielęgnowaną, gdy tak słabe argumenta za zupełnie usuwające wszelki sceptycyzm poczytywali. Pojmujemy téż oburzenie ówczesnych przedstawicieli oświaty w duchu wieku XVIII wobec takich obskurantyzmem przejętych wykładów. Oburzenie to dosyć długo wyrażane było ubocznie tylko. Już w r. 1804 pisał Czacki do Kołłątaja, że obywatele Białéj Rusi przez jezuitów wychowani „są głupszymi i niemoralniejszymi od naszych prowincyj: otóż jest owoc ich wychowania, otóż smutna wróżba“ (*Korespondencya*, II, 405). Jan Śniadecki przy każdéj zdarzonéj sposobności potępiał system uczenia jezuitów, piorunował przeciw scho-

(1) Wszystko, co tu przytoczyłem, znajduje się w 1-ym tomie „Miesięcznika Połockiego“ w rubryce p. n. „Uwiadomienie o publicznych popisach akademików.“

lastyce, wielbił „Monachomachią,“ wytykał makaronizmy językowe w książkach wydawanych przez jezuitów połockich. Między innemi wytknął on dosadnie w 1-szym zaraz tomie „Dziennika Wileńskiego“ (r. 1815) w artykule „o języku polskim“ barbarzyńskie formy: *nomi nów, werbów, kazusów, temporów*, zawarte w „Gramatyce francuskiéj dla uczących się w Połocku,“ powiadając, że „to pokazuje albo barbarzyńską języka narodowego niewiadomość albo chęć wystawienia go na szyderstwo.“ Dopiéro atoli wystąpienie Stanisława hr. Potockiego pobudziło do żywszego natarcia, którego jezuici odpierać nie omieszkali. Chociaż cios wymierzono z Warszawy, że jednak echo jego głośno się odezwało na Litwie, musimy go zbadać dokładniéj.

W czerwcowym zeszycie „Pamiętnika Warszawskiego“ na r. 1816, w dopełnieniach do zwykłéj pogadanki o sprawach bieżących, zatytułowanéj: „Świstek krytyczny,“ pojawił się artykuł o „akademii smorgońskiéj“ wraz ze „statutem organicznym orderu niedźwiadka.“ Rzecz-to była prawdopodobnie pilnie obmyślana i umówiona w redakcyi „Pamiętnika,“ a przedstawia w rysach humorystycznie wykrzywionych, ale zasadniczo prawdziwych poglądy liberalnych na znaczenie i działalność tak akademii połockiéj, jak i tych wszystkich, co ją popierali i w jéj duchu postępowali. „Dobrzy i gorliwi ludzie—czytamy tu—powodowani szlachetną żądzą zostawienia dzieciom swoim dziedzictwa przesądów, które na nich po gotyckich spadły przodkach, umyślili stowarzyszyć się jak najściślejszym związkiem ku obaleniu tego wszystkiego, co ich rodakom przeciwny może dać kierunek. W tym-to oni zbawiennym zamiarze, pełni żarliwości o ustanowienie wychowania publicznego, coby do tego zmierzało celu, zamyślili podźwignąć sławną *akademią smorgońską*, która za czasów szczęśliwszych, obok liberum veto, z taką kwitła sławą, i za jéj pomocą ze wszystkiém, jeśli można, wygasić okropną oświatę, która coraz bardziéj po kraju szerzyć się zaczyna... Lecz kiedy niełatwo jest obalić raz przyjęte i zakorzenione, acz szkodliwe nałogi, ciż ludzie prawdziwie gorliwi ustanowili, ku dopięciu zamiaru swego, *order kawalerów smorgońskich* czyli *niedźwiadkowych*, którzy jak Krzyżowi i Mieczowi z poganami lub jak Maltańscy z bisurmanami i morskimi rozbójnikami, walczyć mają z szerzącym się a tak zgubnym duchem liberalności i oświaty.“ Statut tego orderu podpisał Mruczajło „z łaski jeniuszu ciemności mistrz wielki smorgońskiego zakonu, pan udzielny królestwa *kretów*, jeziora *raków*, wielkiego księstwa *sów*, hrabstwa *nietoperzów*, przylądka *ślepowronów*, wyspy *gawronów* i wielu miejsc innych.“ Z artykułów Statutu zasługuje na uwagę szósty, w którym się powiada, że do zakonu ci tylko przypuszczeni być mogą, którzy „udowodnią cztery pokolenia grubego

nieoświecenia tak z ojcowskiéj jak z macierzystéj strony.“ Artykuł jednak siódmy podaje cztery kategorye osób, które mogą być uwolnione od wszelkich dowodów genealogicznych: 1⁰ ci, którzy od lat kilku wyznają zasady zakonu i za nie walczą; 2⁰ ci, którzy wsławili się czynem jakim znakomitym przeciwko liberalności i oświacie; 3⁰ zbiegowie z pod sztandaru liberalnego oraz każdy pisarz, który udowodni, że zmienia zdanie stosownie do okoliczności, albo że ma je na zbyciu; 4⁰ wreszcie „źli pisarze, smak i język psujący, smutno-weseli, nadęto-płascy, tęskno-żartobliwi, nadewszystko zawiło-nierozsądni, a to w miarę zaświadczonéj dziełami i pismami zdatności i praw swoich do zakonu.“ Robiąc zaś może aluzyą do częstych w akademii połockiéj popisów, autor dodaje: „Co kwartał odbywać się będzie publiczny egzamin, na którym popisywać się każdemu z barbarzyństwem, niewiadomością i nierozsądkiem wolno.“ Spis „najznakomitszych w tym rodzaju subjektów... złotemi literami wyryty wisiéć będzie obok tronu“ wielkiego mistrza w sali wielkich obrad. Członkowie zakonu nigdy nie powinni zapominać o trzech głównych zasadach: „zaślepiać by rządzić, prześladować by przekonać, czołgać się by się wywyższyć,“ a lubo „ślubują niewiadomość, nie wyrzekają się w potrzebie złéj wiary,“ przytém nie powinni „wzdrygać się żadnéj niedorzeczności, jakożkolwiek oczywistéj, ile razy znajdą więcéj zysku niż ohydy w jéj popieraniu;“ są nadto obowiązani wykonać przed wielkim mistrzem „przysięgę wiecznéj nienawiści ku wszelkiéj oświacie, dobremu wychowaniu, dobremu smakowi, myślom liberalnym, zgoła zdrowemu rozsądkowi.“

Ta krwawa ironia wymierzona w samo serce obskurantów, których godłem „noc tylko zbawieniem“ (*sola nocte salus*) nie mogła oczywiście nie rozdraźnić przeciwników. Trudno dziś wprawdzie dowieść, ale domyślać się można, że z grona jezuitów właśnie wyszła odpowiedź na ów artykuł „Pamiętnika,“ odpowiedź napisana na Litwie, doradzająca zakonodawcy orderu niedźwiadkowego nie wdzierać się „w obce państwa“ a rozgospodarzyć się we własnym domu. Podpisana została pseudonimem: *Symplicyusz Pazurodzierski* a pomieszczona w „Dzienniku Wileńskim“ na r. 1816 (tom III, str. 77—90). Autor jéj bez ogródki oskarża liberalność, oświatę i wszystkie hasła, jakie w obozie przeciwnym popłacały, o dążności szkodliwe. „Dawne—powiada—niezmiernemi morderstwy, miary i sytości nie mającym krwi rozlewem, powszechném prawie nie całéj Europy spustoszeniem okupione *wolność i równość* hasło, rzadko kędy dopiéro znalazłoby szaleńców (prócz tych, którzy w powszechném zamieszaniu zyskali swe korzyści), co bezrozumnéj wolności i niepodobnéj równości uwierzyćby chcieli. Postrzegli się mędrce świata dzisiejszego, że pod tym,

krwią niewinnych pisanym, a popiołem z pożogów zasypanym tytułem, bardzo tępo okropne projekta wzrostu nabierać mogłyby; zostawując zatém istotę rzeczy, dobrali gładko do ucha, a od ucha do serca wciskający się makaronizm—*liberalność.*“ Usiłuje więc wystawić nieświadomym całą okropność tego nowego hasła przez wskazanie, że ono przetłómaczone na język polski znaczy „wolnomyślność albo wolnowładność.“ „Otóż już jesteśmy w domu—woła tryumfalnie—dlaczego podobało się użyć makaronizmu z krzywdą języka narodowego. Nad paradującego słowa liberalność znaczeniem rzadko kto zastanawia się: wolnowładność, poprostu napisana, wprost każdemu rozsądnemu uderzyłaby w oczy; liberalność prawie od ogółu z uśmiechem przyjmuje się, wolnowładność w wielu domach *pięścią przywitana zostałaby.*“ Analizując zaś znaczenie ,,oświaty,“ stara się pod tę nazwę podciągnąć wszystkie potworności rewolucyi francuskiéj, by przerazić czytelnika widokiem burzonych ołtarzy, podkopywanych tronów, zerwanych więzów społecznych, poczém wybucha patetycznie: ,,Wielki Boże! zachowaj nas od niéj: rzuć raczéj na oczy nasze wieczną ciemnoty zasłonę, aby fałszywy złośliwéj i szalbierskiéj oświaty promień nie dosiągł ani źrenicy ani serc naszych.“ Streszczając swoje wywody, mówi: „Zbliżmy teraz te dwa słowa, i że tak powiem położmy obok, a okaże się, że oba modne wyrazy są szkodliwe, są sobie podobne i do jednego celu dążące: oświata teraźniejsza uczy nas, jak mamy złego myślenia nabierać teoryi, fałszywie stosowana liberalność rozgrzesza nas i ośmiela na praktykę złego czynienia.“

Nie dosyć na tém. Symplicyusz Pazurodzierski, jakby rzeczywiście chciał zostać członkiem zakonu smorgońskiego, stosuje się do jednego z artykułów statutu i wyzyskuje znane sprzeczki Litwinów z Koroniarzami i odwdzięczając się za Smorgonie przypomina Pacanów i kreśli zarys ustawy „orderu koziokopytkowskiego.“ ,,W ozdobach dekoracyjnych—powiada—nie życzymy zbytkować: zakrawałoby to na arystokracyą. Mierność i skromność niech będzie zaletą. Mógłby np. wielki mistrz pacanowski i ze swoimi urzędnikami na strunie od basetli w kokardę węzła rycerskiego wiązanéj nosić u lewego boku kozią nóżkę z kopytkiem podkutém, aromatyczną szlafmycę z wełny czarnego kozła nie inaczéj jak we wrześniu strzyżonéj, ze szlakiem purpurowego koloru, mającym wyszyty napis *za anti-oświatę i liberalność.* Figlarnie zawsze drgający ogonek kozi w miejscu czapléj kity wraz pod szlakiem tak ma być przymocowany, aby pochyłością swoją sięgał i dotykał końca noska Imci pana kawalera dekorowanego. Z dostojnéj brody starego kozła można wystrzydz trójgranną mistyczną bródkę *à l'espagnole*; resztę onéj użyć

na enigmatyczno-rzęsiste bakenbardy. Uszyma wielkiemi nie godziłoby się obciążać wielkiego mistrza, bo kto ma przyzwoitego kalibru parę własnych, po co *oświetny* łeb jego ugniatać obcemi! Zostają jeszcze do użycia rogi: na te powinnoby mieć *privilegium exclusivum* (wyłączny przywiléj) narzeczona Imci pana Mruczajły, we wdowim stanie zostająca Imci Pani z *Liberalizantskich Oświetnicka;* filozofka modna, duch mocny dozwala wolnie myśléć i wolnie czynić, najbliższe ma prawo i noszenia i rozdawnictwa takowéj dekoracyi: a przytém rozum modnych filozofek do krzywości, upór zaś do twardości koziego rogu najprzyzwoiciéj przyrównanemi być mogą.“ — A zastawiając się jakoby za honor dotkniętéj Litwy, woła: „Miała oddawna i ma dotąd prowincya litewska ludzi prawdziwie słusznych, moralnych, uczonych i dobrze ojczyźnie zasłużonych; umieją tutaj rozróżnić prawdziwą oświatę od fałszywéj i liberalność szkodliwą od użytecznéj. Nim tamecznych (t. j. koronnych) okolic dziedzice, przestraszeni ustawą konstytucyi 3-o majowéj hurmem sypnęli się do robienia umów, *a to jeszcze często podstępnych* i dwuznacznemi wyrazami kreślonych, ze swoimi włościany; Litwa, co to są liberalne umowy, dobrze już znała i praktycznėm wykonaniem poprzedziła. Odsyłamy każdego wątpiącego.... do znakomitego dowodu w obywatelach księstwa żmudzkiego, które acz ma w herbie niedźwiadka czarnego, jednakże od lat kilkudziesiąt pielęgnuje u siebie istotną liberalność przez wprowadzoną zasadę między właścicielem ziemi dziedzicem a doczesnym posiadaczem onéj włościaninem robienia dobrowolnych i święcie z obu stron dotrzymywanych kontraktów.... My Litwini, *bezwzględnie i nadto po grubiańsku dotknięci* od zakonodawców kapituły smorgońskiéj, nie na tém zakładamy systemat, ażeby z całego gardła wrzeszczeć: *liberalność! liberalność! liberalność!*— lecz aby całą usilnością dążyć do rozsądnego onéj uskutecznienia.“

Chcąc godnie tak prowadzoną polemikę zakończyć, niezaniedbuje Symplicyusz dodać i groźby. Niektóre ustępy owego statutu poczytuje za „krzywdzące obcy honor,“ za złośliwość godną pogardy, za zuchwalstwo zasługujące na „ukrócenie.“ „Jakkolwiek niedźwiadki smorgońskie — powiada — są podcywilizowane, mają jednak miernie poduczonym literatom podobne kaprysy: bez interesu kłócą się, z niemiejscowych akuminów, konceptów i igraszki przechodzą do zajadłości, weksy i *zemsty.* Ileż-to razy zdarzało się, że *verba* (wyrazy) przemieniały się na *verbera* (rózgi). Do niedyskretnych pazurków dodawszy jeszcze duży drąg, mogłaby z tego wywiązać się jakowa nieprzyzwoitość“ (1).

(1) Artykuł ten wyszedł téż w osobnéj odbitce. Wilno, str. 16.

Potocki nie pozostał dłużnym w odpowiedzi; projekt założenia „akademii pacanowskiéj," jako wychodzący od prawowitego kawalera smorgońskiego, przyjął i odwdzięczając się za poddanie tak wyśmienitego projektu zamianował Symplicyusza Pazurodzierskiego „pierwszym kawalerem i kanclerzem Orderu Pacanowskiéj kozy," powierzył mu oraz „znakomity urząd Wielkiego kozioroga czyli Rektora wskrzeszonéj Akademii Pacanowskiéj" zlecając mu jéj urządzenie i organizacyą. A obok tego we właściwém ukazał świetle insynuacye i pogróżki Imć Pana Symplicyusza („Pam. Warsz." 1816, zeszyt październikowy). Odtąd nie zapominał w swoim „Świstku" o tych dwu instytucyach, podając o nich nowe szczegóły, wyrażające dokładniéj dążność do gaszenia oświaty. Dopomagał mu pod tym względem humorystycznie skreślonemi projektami w duchu smorgońskim Fryderyk hr. Skarbek.

Ten sposób traktowania sprawy obskurantyzmu dowodził, że wzięto się do niéj nie na żarty. Ze strony obskurantów zrozumiano to i starano się przeciwdziałać. Najprzód zanotować wypada odezwanie się „światłego weterana" (podobno ks. Bohusza) w „Dzienniku Wileńskim" (r. 1816, IV, 273), który ośmieszał tylko sam pomysł akademii smorgońskiéj i pacanowskiéj, a zgadzając się, że krytyka jest potrzebna i pożyteczna, przyrównywał ją do „rzemiosła, gdzie więcéj potrzeba zdrowia jak rozumu, więcéj pracy jak zdatności, więcéj zwyczaju (?) jak dowcipu" i zasyłał literatom radę, żeby prawdę wyjaśniali, do cnoty zachęcali, grzecznie upominali, ale żeby nie mieścili w pismach swoich tego, „co czytelników tylko zabawia, lecz lepszymi ich nie czyni." Na co Potocki zauważył („Pam. Warsz." 1817, zeszyt kwietn.), że pismo, „które zdejmując maskę hipokryzyi i fanatyzmowi, wskazuje, jak pod pozorem rzeczy najświętszych między ludźmi, jakiemi są religia i rząd, oświatę i liberalność dla własnego interesu przytłumić szukają, — nie jest tylko zabawném, ale i użyteczném, bo jeżeli lepszymi ludzi nie czyni, to przynajmniéj usiłuje, by się gorszymi nie stali." — O wiele dotkliwszym był „List o zakonie smorgońskim" pomieszczony w „Dzienniku Wileńskim" na początku r. 1817 (tom I, str. 158—163). Bezimienny autor z Grodna usiłował zadać Potockiemu cios z dwu stron: literackiéj i politycznéj. Zauważył, że pomysł orderu smorgońskiego jest naśladowaniem wzoru, który podał w roku 1815, pod nazwą *l'Ordre de l'éteignoir*, pamflecista francuski w czasopiśmie zatytułowaném: *le Nain Jaune* („Żółty Karzeł"). A że pamflecista ten był przedstawicielem radykałów, wynikało tedy, że ten sam duch rewolucyjny, jak w jego utworach, panuje i w „Świstku;" była to więc pewnego rodzaju denuncyacya wśród naprężających się coraz bar-

dziéj stosunków pomiędzy liberalizmem a reakcyą. Potocki nie zapierając pewnego podobieństwa w formie swego pomysłu, ze wstrętem odrzucił insynuacyą. Wtedy-to już bez drwin scharakteryzował dążności reakcyonistów: „Widząc—powiada—jak nie tylko ludzie rozsądni, ale narody i ludy, strapione długiemi a bezużytecznemi rewolucyj ostatnich klęskami, zwracać zaczęły oczy i życzenia swoje ku dawnemu porządkowi rzeczy i przekonywać się, że każda gwałtowna zmiana w rządzie jest niebezpieczną, że nadużycie wolności jest niewolą, że religia jest zasadą społeczeństwa ludzkiego i świętym a nietykalnym ludzi węzłem; widząc najoświeceńsze rządy starające się ugruntować tak zbawienne mniemania, uroili sobie, iż, obok tych prawd, cały orszak obalonych przesądów dźwignąć i nanowo wprowadzić zdołają. Tak mieszając rzeczy sobie przeciwne, spodziewali się widziéć, obok tryumfu religii i rządu, tryumf nieoświecenia i fanatyzmu, pod cieniem których tak się dobrze działo w przeszłych czasach pewnym klasom ludzi... Kiedy się więc duch ku temu dążący i u nas odzywać zaczął, niemiłym być musiał dla stronników jego kaganiec, który na niego Świstek czy wymyślił czy zręcznie przystosował, co przecież taki skutek sprawił, że przeciw niemu ryknęły trzy potężne Niedźwiadki głosem podobnym do potrójnego Cerbera szczekania. Od téj-to chwili podług nich Świstek jest natchniony duchem Karła, niedowiarkiem zeszłego wieku, szyderskim podrzeźniaczem dyplomatyczności, złym gramatykiem, nudnym Słowianinem, lichym poetą, tandeciarzem etc. etc., słowem godnym tragicznego końca, Karła Żółtego (1), i piekielnego na tym świecie jeśli nie ognia, to *oparzenia*" („Pam. Warsz." 1817, zeszyt kwietn.). Ostatnie to wyrażenie było alluzyą do słów wypowiedzianych w owym „Liście o zakonie smorgońskim," iż pisząc takie rzeczy jak Świstek „piekielnie się sparzyć można."

Ze strony zwolenników reakcyi wypadało albo insynuacye zamienić na zarzuty wyraźne, albo téż milczéć. Wybrali to drugie; ja przynajmniéj nie mogłem się doszukać ich repliki na ostatnie wystąpienie autora „Świstka krytycznego." Późniéj dopiero i z innego powodu gburowaty żarliwiec ks. Karol Surowiecki wydał przeciwko Potockiemu całą broszurę p. n. „Świstek warszawski wyświstany."

Natomiast wszczęła się w początkach r. 1817 inna sprawa jezuicka, która dzisiaj może się błahą wyda, ale wśród ówczesnych okoliczności miała niepospolite znaczenie. Rzecz poszła o poemat napisany przez jezuitę.

---

(1) Jest-to alluzya do cytowanéj przez owego obskuranta z Grodna wiadomości, iż „redaktorowie *Karła Żółtego* zapozwani zostali przed trybunały brukselskie z powództwa prokuratora kryminalnego luksemburskiego."

Jeszcze w roku 1803 wyszedł w Połocku, w drukarni jezuitów, utwór ks. Nikodema Muśnickiego p. n. „Pułtawa, poema epiczne“ (str. 214). W dwa lata potém autor umarł, mając zaledwie lat czterdzieści. Mało kto zapewne znał jego „poema epiczne“ na cześć Piotra W. wyśpiewane, byłoby ono niewątpliwie utonęło w niepamięci falach, nie obudziwszy żadnego wrażenia, gdyby nie kandydat filozofii, profesor języka i literatury polskiéj w „gimnazyum podolskiém“ (w Winnicy), amator i znawca książek Jan Gwalbert Styczyński, który w 14 lat po wydaniu „Pułtawy“ postanowił zaznajomić czytelników „Dziennika Wileńskiego“ z jéj treścią i ocenić ją krytycznie. Jakoż w 1-ym tomie tego czasopisma na r. 1817 (str. 168—202) pojawiły się obszerne „Uwagi na Pułtawą, poematem bohatyrskim“ z 10 pieśni złożonym a zawierającym wierszy 4950. Nie omieszkawszy zaznaczyć, że jest to utwór jezuicki, autor podaje najprzód treść dosyć szczegółową porządkiem pieśni, a następnie przechodzi do krytyki. Odmawia „Pułtawie“ nazwy epopei, choć przyznaje, że sprawa jéj jest bardzo ważna, a odmawia dlatego, że znajduje w tym poemacie od początku do końca samo tylko wyliczanie bitew. „Gdyby nie zmyślenia niektóre poetyczne—powiada—jako to: opisanie pochwy od szabli carskiéj, nocy, wiatrów, śmierci, zimy i jéj *powozu*, tarczy Karola, rzeki Dniepru: zaledwoby się można było domyśléć, że nie jako dziejopis ale jako poeta to sławne w historyi zdarzenie opisuje.“ Bez „zmyśleń“ wedle Styczyńskiego, który się powołuje na powagę Golańskiego, nie może być prawdziwéj poezyi. Gani krytyk wprowadzenie tak zwanéj „machiny“ epickiéj t. j. Minerwy sprzyjającéj Piotrowi i Marsa przyjaznego Karolowi. Zarzuca brak dobrze „wykreślonych“ charakterów, zbyt wielką ilość i rozwlekłość mów zajmujących znaczną część dzieła, niewielki talent w opisie bitew; porównaniom tylko pewną wartość przyznaje; a w „sztuce powierzchownéj wierszowania“ wytyka zaniedbanie, gdyż „ustawiczne i ledwo nie ciągłe przenoszenie sensu z połowy jednego wiersza do połowy drugiego“ sprawia, że „się całe dzieło w prozę niejako zamienia.“ Językowi poematu również nie przyznaje zalet, cytując niewłaściwe, niepoprawne i nie-polskie wyrażenia. W końcu sądzi, że „Pułtawa“ jest „z rzędu tych poematów (jeśli się tak nazwać godzi), do jakiego *Wojna domowa* Twardowskiego, *Wiedeń wybawiony* Kochowskiego i t. p. należą.“

Ta chłodna, niekiedy złośliwa ocena wartości „Pułtawy“ obruszyła spółtowarzyszów Muśnickiego w zakonie; jako obrońca pośmiertnéj sławy wierszopisa jezuickiego wystąpił ks. Wincenty Buczyński, człowiek niewątpliwie wielką odznaczający sie erudycyą, mający niemało zdrowego rozsądku, ale w rzeczach smaku nadzwy-

czaj powierzchowny. Odpowiedź ks. Buczyńskiego na recenzyą Styczyńskiego pomieścił „Dziennik Wileński.“ Styczyński nie zmilczał i odparł zarzuty żywiéj niż je poprzednio sam robił. Wszczęła się tedy polemika, która się przeciągnęła aż do początków roku 1818. Dwie repliki ks. Buczyńskiego i dwie Styczyńskiego są doskonałym przykładem krytyki ówczesnéj, uzbrojonéj w reguły i formuły a pozbawionéj poczucia prawdziwéj poezyi. I z jednéj i z drugiéj strony cytaty z dzieł, uchodzących za powagę w rzeczach smaku, stanowią najwalniejsze argumenta za pięknością utworu ks. Muśnickiego lub przeciwko niéj. Zarówno polscy, francuscy, jak łacińscy i greccy prawodawcy gustu są przywodzeni na świadectwo tak w oryginale jak w tłomaczeniu, ażeby wyświetlić wartość czy-to całkowitego pomysłu „Pułtawy“ czy téż szczegółowych jéj ustępów. Ponieważ mało posiadamy zabytków tego rodzaju z owych czasów, polemika o „Pułtawę“ należy do najcenniejszych, najbardziéj charakterystycznych próbek smaku neo-klasycznego u nas.

Nie tyle jednak, jak się zdaje, chodziło wtedy o kwestye czysto-literackie samym autorom tych wzajemnych krytyk, ile o kwestyą dążności ducha jezuickiego. Są alluzye, pozwalające dojrzéć po przez las cytat, że Styczyński, pisząc tak wielce spóźnioną recenzyą „Pułtawy,“ chciał dać poznać publiczności, ku jakim przedmiotom i w jakim celu zwracają się natchnienia i prace jezuitów. Naprowadza téż na to mniemanie artykulik w 119 Nr. „Wiadomości Brukowych“ (z r. 1819), gdzie autor „Pół-antała“ mówi o sobie: „jestem chory w myślach, jestem chory w wyrazach, chory w ekspozycyi, chory w inwokacyi, chory w całéj machinie; a nadewszystko niestety, żadnéj, żadnéj akcyi.“ Mimo to powstawać przeciwko jego epopei znaczy to „powstawać przeciw religii i rządowi....“ Ks. Wincenty Buczyński zaś usiłował doniosłość téj wskazówki osłabić (1). Pośpieszył mu téż na pomoc ks. Dezyderyusz Richardot, pisząc „Wiadomość o życiu i pismach X. Nikodema Muśnickiego S. J. z przyłączeniem treści i wyjątków tłómaczonych z jegoż poematu łacińskiego *de Christi ab inferis reditu*“ („o powrocie Chrystusa z piekieł“). Jest-to panegiryk autora „Pułtawy;“ komedyom Muśnickiego jedynie zarzuca „przesadzenie.“

Piotr Chmielowski.

---

(1) W r. 1818 wyszła w Połocku broszura ks. Buczyńskiego, obejmująca str. 44 p. n. „Rozbiór wiadomości pomieszczonych w recenzyi poematu Pułtawa.“ Znając ją tylko bibliograficznie, nie mogę powiedzieć czy to jest przedruk artykułów z „Dziennika Wileńskiego“ i „Miesięcznika Połockiego,“ czy téż rzecz na nowo napisana.

DEMOKRACYA SOCYALNA

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

IV.

TEORYE EKONOMICZNO-SPOŁECZNE (1).

(Sozialismus, sozialdemokratie und Sozialpolitik v Adolf Held. Leipzig 1878. Grundzüge der National-Oekonomie v. C. A. Schramm. Leipzig 1876. Die Quintessenz des Sozialismus v. dr. A. Schäffle Gotha 1877).

„W ojczyźnie Kanta, w kraju legendy o dr. Fauście, wyrobnicy nawet czują nieprzezwyciężony pociąg do przyodziewania swoich czysto instynktowych pragnień w poważne formy filozoficznych poglądów,“ Tak mówi A. Held, i dodaje, iż robotnik niemiecki, kiedy mu przedstawiają że zapędy około przekształcenia porządku społecznego, przeszkadzają dobić się wyższych zarobków, odpowiada: „a jednak w zasadzie ja mam słuszność, a zasada to przecież rzecz najważniejsza.“ Odwoływanie się ustawiczne do filozofii wobec robotników, którzy albo bardzo mało ją pojmują albo i z goła jéj nie rozumieją, ma więc tutaj swoję przyczynę, i w praktyce taktyka podobna okazuje się nader pożyteczną. W Anglii Owen, apostoł komunizmu, założył fabrykę, którą praktycznie urządził na zasadzie równości i wspólności i pisał traktat o kształceniu charakteru człowieka; we Francyi socyalizm z przed r. 1848 doszedł do kulminacyjnego punktu, w broszurze Ludwika Blanka, pełnéj ognia i retoryki a puszczonéj w świat pod opieką piosnki Beranżera; w Niemczech treść téj saméj książeczki francuskiéj po latach kilkunastu pod piórem profesora Winckelblecha przybrała rozmiary ogromnego kilku tomowego traktatu (2), Lassalle agitacyą swą rozpoczyna od histo-

---

(1) Patrz Ateneum 1878 Zesz. za kwiecień, maj, lipiec.

(2) Untersuchungen über die Organisation der Arbeit, oder system der Welteconomie v. Karl Marlo (pr. Winkelblech) Kassel bei Appel 1850—1859.

ryozoficznego wykładu o znaczeniu dziejowém chwili obecnéj, Marx nakoniec, jeden z najskrajniejszych rewolucyonistów spółczesnych, pisze dzieło długie i zawiłe, żeby z definicii pojęć ekonomicznych, za pomocą całego aparatu dyalektyki wyprowadzić wniosek, że kapitał, a raczéj prawo własności do kapitału, w dzisiejszéj swéj formie, jest przyczyną i źródłem wszelkiéj nędzy, zatém robotnicy powinni wywłaszczyć kapitalistów.

Demokracya socyalna niemiecka, dążąc do rewolucyi politycznéj, opiera się na doktrynie skrajnego socyalizmu i dla tego, ażeby ją poznać należycie niedość jest przypatrywać się jéj akcyi politycznéj, ale należy rozpatrzyć się bliżéj w saméj doktrynie, poznać teoryą czyli podstawy naukowe, na których, wedle zdania filozofów socyalizmu, muszą się oprzéć w przyszłości stosunki społeczne. Opowiadając koleje agitacyi polityczno-socyalnéj przytaczaliśmy krótkie aforyzmy, maksymy czy tezy, które zapisywano w programatach, na które wotowano na kongresach, ale to tylko przynęta rzucana masom ludu w celu pociągnięcia ich do działania; zawarto w nich owe tak drogie Niemcom zasady, myśli ogólne (das Algemeine) wyrażone w formie jaskrawéj, przemawiają one do wyobraźni, łatwo wtłaczają się w pamięć każdego, dają się tłómaczyć w sposób rozmaity, rozszerzać lub ścieśniać dowolnie, ale bez komentarzy nie mogą one dać pojęcia dokładnego o tém czego żąda, do czego dąży lub co obiecuje ludzkości socyalizm jako nauka, bo taką on być chce w grubych tomach traktujących go ze ścisłością metody naukowéj, w których pretenduje wykładać konieczne prawa natury rządzące życiem narodów.

Socyalizm zamierza przecież ni mniéj ni więcéj jak przekształcić niemal wszystkie stosunki ludzkie, obiecuje postawić nas w warunkach życia tak dalece odmiennych od tego co widzimy, co czujemy, do czego regulujemy nasze działanie, pragnienia i myśli, że w dzisiejszych czasach nauki pozytywnéj, wszystkich tych zamiarów czy pretensyj swoich, nie może usprawiedliwić dostatecznie samym pragnieniem dobra ogólnego i szczęśliwości powszechnéj, ale musi uzasadniać je na twierdzeniach naukowo dowodzonych i opierać takowe na faktach życia należycie zbadanych i objaśnionych. Usiłowań w tym kierunku podejmowanych, bardzo poważnych zresztą, dzisiaj więcéj niż kiedykolwiek spotykać można. U każdego niemal narodu i w każdéj literaturze znajdziemy dzieła uczone, dowodzące, że nędza i cierpienia ludzkie wypływają z prawa własności, jedni przeważnie uderzają na własność nieruchomą, inni na kapitał, wszyscy zaś podają projekta ograniczenia, przekształcenia lub zupełnego usunięcia zasady własności absolutnéj, indiwidualnéj, prywatnéj,

takiéj jak się ona dzisiaj określa w kodeksach cywilnych a gwarantuje prawem publiczném i pospolitém.

Z pomiędzy teoretyków i filozofów socyalizmu Karol Marx uważany jest powszechnie za najgłębszego a zarazem za jednego z najradykalniejszych, jako socyalista specyalnie niemiecki obchodzi on nas tu bliżéj, jego twierdzenia, chętnie popularyzowane zarówno przez zwolenników jak i przez krytyków, wyjaśnione są w licznych książkach niemieckich, wyłuszczone z obsłonek dyalektycznych formuł, w których się on lubuje, łatwiéj mogą być streszczone i dać pojęcie o istotnéj dążności i wartości naukowéj owych zasad, na których opierają się pragnienia i usiłowania demokratów socyalnych.

I.

Jakkolwiek Lassalle i Marx różnią się między sobą charakterem osobistym i celem jaki sobie w agitacyi zakładali, w pojęciach jednak teoretycznych są bardzo bliscy siebie. Lassalle który pozostawił po sobie ważne prace z dziedziny filozofi: i prawa, nie miał czasu spisać swoich teoryj ekonomiczno-społecznych, w mowach swych i broszurach agitacyjnych posługuje się twierdzeniami i wywodami Marxa. Chodziło mu głównie o przekonanie masy robotników, że powinni dobijać się prawa głosowania powszechnego, wiedział, że najsilniéj ich interesują sprawy zarobku, dla tego téż mówił i pisał najwięcéj i najobszerniéj o prawie rządzącém wysokością zarobku, zaczerpnął go z teoryi Rikardo, nazywał zaś żelaznêm, niezłomném, okrutném i na niém opierał swe dowody: że robotnicy muszą żyć w nędzy, dopóki dzisiejsze urządzenia społeczne z których to prawo wypływa, nie dadzą się zmodyfikować na drodze prawodawstwa. Marx, który nie lubi powtarzać tego co inni przed nim pisali, bardzo krótko i zwięźle mówi o tém prawie jako o aksiomacie dowiedzionym a niezmiernie ważnym w argumentacyi, całą zaś siłę dyalektyki swéj zwraca ku wyjaśnieniu pojęcia o wartości, ku wskazaniu źródła z którego ona wypływa i dowiedzeniu iż kapitał, taki jak go pojmuje dzisiejsza ekonomia, a jakim się posługuje dzisiejszy przemysł, jest wampirem wysysającym siły żywotne robotnika, negacyą własności prawdziwéj, sprawiedliwéj i że sam w sobie niesie już zarodek swego zniszczenia. Obadwaj opierają się na pracach teoretycznych Rikardo, uważanych przez szkołę manczesterską za dzieła klasyczne w nauce ekonomii, dla tego téż twierdzenia ekonomisty angielskiego przyjmują oni za rzeczy dowiedzione, i z nich snują daléj swoje własne wywody, wiążąc je w całość ze ścisło-

ścią logiczną, właściwą szkole heglowskiéj, w któréj się oba wykształcili.

Lassalle w swym „programie robotników“ odzywa się temi słowy: „24 lutego 1848 zajaśniała po raz pierwszy jutrzenka nowego dziejowego okresu. W dniu tym wybuchła rewolucya we Francyi, w kraju, w którego wnętrzach toczą się boje o sprawy ludzkości całéj, a gdzie zwycięstwo lub klęska wolności, staje się tryumfem lub upadkiem swobody dla całego rodzaju ludzkiego; rewolucya powołała do rządu tymczasowego jednego wyrobnika, wskazała za cel państwu poprawę losu klas wyrobniczych, i proklamowała prawo głosowania powszechnego, bezpośredniego, na mocy którego każdy obywatel po skończeniu lat 21, bez względu na to co posiada, bierze udział w rządzeniu państwém, w określaniu i zaznaczaniu woli i celów państwa“... „Roztwiera się tu nowy, trzeci okres dziejów świata, w którym *stan czwarty* zasadę swoję podnosi do znaczenia zasady panującéj w społeczeństwie, i przenikającéj we wszystkie urządzenia społeczne“... „*Stan czwarty* znaczy to samo co cały *rodzaj ludzki* bo w sercu jego nie masz zgoła najmniejszego zarodka jakiegokolwiekbądź przywileju (jak było u stanu trzeciego, który zrodził burżuazyą). Sprawa jego jest więc zaprawdę sprawą całéj ludzkości, wolność jego jest wolnością wszystkich, panowanie jego panowaniem ogółu,“ Wspaniały to pogląd i pięknie wyrażony, ale filozof nie myślał o stwierdzeniu go faktami. Wymowny ten obraz mógł zapewne wlać w robotników jakieś poczucie siły, natchnąć ich chęcią działania, jednakże od prawdy bardzo on daleki. Czy rok 1848 zaznaczy początek nowéj ery, o tém dzisiaj naturalnie sądu wydawać nie możemy; ale jeżeli wielka rewolucya francuska wprowadziła na scenę akcyi politycznéj mieszczaństwo francuskie, toć poprzedziło ją kilkaset lat pracy historycznéj, pracy, która skupiła wśród klasy mieszczańskiéj bogactwo, oświatę i naukę, dla czegóż więc stan czwarty ma stanąć od pierwszéj chwili u celu swych życzeń i w ciągu dni kilku przejść na kierownika ruchu dziejowego. Historycznie tém mniéj prawdziwém zdawać się to może, że wszystkie przewroty r. 1848 były krótkotrwałe, niedoprowadziły one stanu czwartego do żadnego tryumfu, bo główna kreacya owéj chwili: głosowanie powszechne, do dziś dnia przynajmniéj, jest tylko narzędziem w ręku często najzacofańszych żywiołów społecznych; w Niemczech zaś r. 48 wywiódł dopiero mieszczaństwo na pole działania politycznego, stan zaś czwarty odegrywał tam tylko rolę materyału używanego do robienia rewolucyi. Filozof piszący w lat 15 późniéj wiedział dobrze o tém wszystkiém, naciągał więc historyą do swych celów nie zaś w niéj szukał natchnienia i światła. Zapewne, podobne działanie nie jest wyłącz-

ną cechą samych tylko socyalistów, nie tylko w ich dziełach spotykać można obrazy historyczne o jaskrawym kolorycie, albo subtelne definicye twierdzące że coś, czegobyśmy żądali, czego urzeczywistnienia pragniemy gorąco, istnieje na świecie, stało się już i nam za dowód słuszności naszych wymagań służyć może. Apostołowie sprawiedliwości socyalnéj, drogi téj nie unikają, a wstępują owszem na nią w ślady za konserwatystami i ze spokojném sumieniem po niéj kroczą.

Poglądy historyczne Marxa zupełnie odmienne od politycznych urojeń Lassalle, dla Marxa polityka jest rzeczą podrzędną, która o losach ludzkich stanowić nie może; studyował on w przeszłości proces rozwijania się przemysłu wielkiego, mianowicie w Anglii; cała czynność dziejowa narodów europejskich przedstawia się mu jako ustawiczne wywłaszczanie słabych przez silnych, a że historya podobnych przykładów wskazuje nie mało, nawet na polu działania przemysłowego, więc faktów do stwierdzenia swoich poglądów znajduje wielką obfitość, napełnił téż nimi swoję księgę, i nadał jéj charakter studyów pozytywnych, bo ze ścisłością fizyologa badającego proces trawienia, rozkrywa wszystkie organa i fibry służące kapitałowi do chłonięcia największéj możebnie ilości zysku. Ale pomimo tę obfitość faktów krytycy zarzucają mu tendencyjność, głównie dla tego, że całe jego dzieło o kapitale opiera się stanowczo na definicyach nie dowiedzionych, a chociaż czerpanych z klasycznej pracy Rikardo, jednakże dzisiaj już wcale za aksiomata nie uznawanych. Definicye te Marx obrabia dyalektycznie, wyprowadza z nich sprzeczności, którym każe się jednoczyć w innych znowu pojęciach. Teza, antyteza i synteza stanowią tu rdzeń rzeczy, fakta służą tylko do ilustrowania rezonowań. W dyalektyce zaś Marx jest tak biegły, że najzawziętsi jego przeciwnicy nie mogli doszukać się miejsc słabych w niezmiernie silnie spojonéj i niepospolicie delikatnéj tkance jego argumentacyj, owszem sami lubowali się subtelnością jego rozróżniań, a Sybel powiada: że chcąc walczyć z Marxem trzeba zaprzeczyć jego założeniom, bo skoro kto przystanie na pierwsze założenie z konieczności będzie musiał przystać i na ostateczne wywody.

Ani Lassalle ani Marx nie skreślili planu przyszłéj organizacyi społecznéj, bo chociaż z politycznéj agitacyi pierwszego, lub z krytyki społecznéj drugiego dają się wyprowadzać wnioski czego oni żądają, jednakże wskazane przez nich środki, któreby doprowadzić mogły do urzeczywistnienia tych żądań—głosowanie powszechne lub rewolucya—bynajmniéj nas o tém nie oświecą. We Francyi już od lat trzydziestu czterech, w Cesarstwie Niemieckiem od lat dwunastu głosowanie powszechne funkcyonuje najlegalnéj, a jednak do ża-

dnych zmian w porządku społecznym nie doprowadziło; rewolucyj historya nalicza mnogość ogromną, przeprowadzonych w najrozmaitszych celach, a jednak z żadnéj z nich nie wyszedł odmienny system własności. Krytyka Marxa nauczy nas *dla czego* on chce rewolucyi społecznéj, ale żeby się dowiedziéć *czego* chce socyalizm i *do czego* dąży, musimy zwrócić się do maleńkiéj książeczki socyologa Schäfflego, który sympatyzując gorąco z socyalizmem przedstawił w niezmiernie treściwym wykładzie, wszystkie postulata dzisiejszego naukowego socyalizmu, nie wahał się przyznać znacznéj ich części możebności praktycznego urzeczywistnienia i wskazał słabe strony o modyfikowaniu i ulepszeniu których myśléć jeszcze potrzeba.

II.

Nie tylko ludzie zajęci powszedniemi sprawami życia, ale uczeni i literaci, niezupełnie dokładne miewają o socyalizmie pojęcie. U nas szczególnie mniéj niż gdzieindziéj znaną jest ta doktryna; w pojęciach publiczności komunizm i socyalizm zlewają się w jedno, zarysowują się w mglistéj tylko formie czegoś niebezpiecznego, niemożebnego, jako dążenie do równego podziału wszelkich dóbr tego świata pomiędzy wszystkich ludzi, jak projekta urządzenia dla wszystkich wspólnego pożycia; podobne zachcianki utopistów, marzycieli albo przewrotnych demagogów ulegają ryczałtowemu potępieniu, a jako nawyknieniom ludzkim wstrętne, zdają się być łatwe do obalenia. Jednakże socyalizm dawno już wyszedł z owego stadyum marzycielstwa o nieokreślonych kształtach, kiedy uczucie górowało w nim nad rozwagą, a projekta reformy społecznéj opierały się na nadziei, że natura człowieka zmieni się w sposób cudowny, że egoizm roztopi się w ogniu miłości, kiedy kreślenie planów nowego porządku, przy bujnéj fantazyi, szło gładko na papierze, ale za to tém mniéj było w nich podobieństwa do praktyki życia ludzkiego. Dzisiaj przeciwnie, socyaliści głośno i wyraźnie potępiają przewagę uczucia nad rozumem, analiza niby zastąpiła u nich fantazyą, plany komplikują się do nieskończoności chcąc się stać bliższémi realnych warunków życia; chociaż więc my sami, razem z całą oświeconą publicznością kraju naszego, nie wierzymy w mądrość téj nowéj nauki, chociaż widzimy, że analiza niedokładna, że plany co chwila utykają na niemożebnościach, pomimo to jednak poczuwamy się do obowiązku przypatrywać się im bliżéj, bo na świecie setki tysięcy ludzi wierzą już, że to nauka nietylko praw-

dziwa ale nieomylna, i widzą w niéj dla siebie przyszłość pomyślną, dla ludzkości całéj nową erę panowania sprawiedliwości.

Socyaliści dzisiejsi bynajmniéj nie myślą o podziale równym istniejących na świecie dóbr, ale twierdzą, że kapitały prywatne muszą stać się kapitałem publicznym t. j. że *wszystko cokolwiekbądź może być źródłem dochodu*, a więc ziemia i wszelka na niéj i w niéj wartość mająca nieruchomość, że wszelkie maszyny i narzędzia do roboty produkcyjnéj służące, a daléj i wszelkie pośrednie źródła dochodu, kapitał w każdéj jego postaci— wszystko to powinno stać się własnością ogólną, i to bynajmniéj nie dla podziału, ani nawet na sposób w jaki dzisiaj stowarzyszenia lub osoby jurydyczne posiadają własność, ale wszystko to ma zostawać pod zarządem ustanowionéj władzy państwowéj, która całą produkcyą we wszystkich jéj gałęziach urządzać będzie w ten sposób, iżby wszyscy ludzie, każdy wedle stopnia swéj siły, zdolności a może nawet i upodobania, znalazł pracę odpowiednią. Urządzenie to naturalnie ma się odbywać na wzór dzisiejszéj produkcyi fabrycznéj w przemyśle wielkim, ze wszystkiemi korzyściami podziału pracy, machin i motorów mechanicznych. Tylko, ponieważ wszystkie te fabryki czy folwarki będą własnością ogólną, nikt nie będzie miał prawa ani możności ciągnąć z nich dochodu takiego, jaki dzisiaj dostaje się właścicielowi; wyrób zaś cały t. j. wszystkie rzeczy pożyteczne, które się w tych zakładach zrobią, pozostaną pod administracyą tegoż rządu; robić, pracować będzie musiał każdy człowiek i za swoję robotę dostawać ma pewne znaki wskazujące ile czasu roboty dał od siebie, a za te znaki dostawać będzie ze składu wszystko czego zapotrzebuje, wedle oznaczonéj na te wyroby taksy—stosującéj się także do ilości czasu użytego na zrobienie każdéj rzeczy. Takie urządzenie ma doprowadzić do tego, iż cały wyrób ma należeć do wyrobnika, a kapitał nie będzie już mógł zabierać sobie części wyrobu i krzywdzić tém pracujących, nie ma więc być to bynajmniéj zniesieniem prawa własności, lecz owszem ugruntowaniem go na podstawach sprawiedliwości ściśle wymierzonéj i obliczonéj. Oto jest cel, który sobie zakłada socyalizm dzisiejszy naukowy.

Ażeby dojść do tego celu trzeba niezmiernie wiele rzeczy ze świata uprzątnąć i niezmiernie téż wiele zupełnie nowych na świecie zaprowadzić. Razem z własnością osobistą, prywatną zniknie wszelki z niéj dochód dzisiaj pobierany, nie będzie więc renty z ziemi a zatém dzierżawy ani czynszu, nie będzie najmu mieszkań, nie będzie procentu więc ani wekslu, ani papierów publicznych, akcyj, ani obligacyj, nie będzie kredytu państwowego ani prywatnego na produkcyą czy na spożycie, nie będzie podatku tylko odliczenie

pewnych godzin z pracy każdego na rzecz administracyi, nie będzie handlu, rynku ani towaru, nie będzie pieniędzy, które zastąpi czek roboczy, nie będzie giełdy ani spekulacyi, ani reklamy, nie będzie konkurencyi regulującéj dzisiaj, wedle pojęć ekonomistów, wszystkie stosunki i interesa ludzkie.

Administracya za to urządzi nie tylko fermy, fabryki i warsztaty, uporządkuje cały szereg usług osobistych, ale jeszcze urządzi cały olbrzymi system zbierania ciągłego statystycznych danych o potrzebach wszystkich ludzi, żeby dostarczać im wyrobów odpowiednich, co, jak powiadają, przyjdzie jéj bez wielkiéj trudności, ponieważ nie będzie już bogatych i ubogich więc i potrzeby ludzkie będą mniéj więcéj się ujednostajniać. Wedle zebranych wiadomości zarządzać się będzie wyrabianie odpowiedniéj ilości rzeczy potrzebnych czy potrzebowanych, przez co usunie się możebność przesileń handlowych i wszystkich klęsk, które one za sobą prowadzą. Daléj zaprowadzić trzeba będzie skomplikowaną buchhalteryą, któraby robotę każdego człowieka i wartość każdego wyrobu regestrowała i pracowała nad utrzymaniem równowagi pomiędzy wytwarzaniem a spożyciem; nieskończoną liczbę magazynów, składów i dystrybucyj, gdzieby każdy dostawał czego mu potrzeba i zarząd przewożenia wyrobów z miejsca na miejsce, stosownie do wykazanego w statystyce potrzebowania. Trudne to wszystko zadania, ale socyaliści wskazują na istniejące dzisiaj i funkcyonujące regularnie zarządy kolei żelanych, poczt, prowiantowania i odziewania całych armii w czasach wojny i na mocy analogii twierdzą, że to się da urządzić.

Przypuśćmy że tak, pozostaje jeszcze potém wszystkiém cała sfera życia domowego, owo spożywanie, zaspakajanie potrzeb swoich cielesnych i duchowych, jak to urządzić? Czy tutaj człowiekowi pozostawiona będzie wolność wyboru chociażby pomiędzy chlebem a bułką, winem a piwem, tkaniną lnianą, wełnianą czy jedwabną—pomiędzy lampą a świecą, węglem a drzewem; pomiędzy nauką a sztuką, czy ja mam zostać matematykiem czy poetą—malarzem czy muzykiem, czy mam pracować na roli, przy warsztacie czy w fabryce, szyć czy pisać? Na te pytania dotąd jeszcze nie dawał nikt odpowiedzi stanowczéj, a Schäffle jakkolwiek uznaje możebność wielu z wyżéj przytoczonych urządzeń, jednakże twierdzi, że póki socyalizm nie zagwarantuje człowiekowi swobody w wyborze przedmiotów spożycia, nie będzie mógł liczyć na to, iż ludzie poddadzą się jego panowaniu; póki zaś niewynajdzie kombinacyj prostych i łatwych, któreby, zawsze żywy w człowieku interes osobisty, swój własny czyli prywatny, potrafiły zaprządz w służbę interesu ogólne-

go, społecznego, jak tego dzisiaj chociaż w niedoskonałym stopniu dokazuje wolność i spółzawodnictwo, póty nie można spodziewać się po urządzeniach socyalistycznych skutków dla ludzkości pomyślnych.

Przejść do nowego porządku trzeba będzie przy pomocy likwidacyi ogólnéj, która dzisiejszych właścicieli spłaci tak samo, jak niegdyś kapitaliści spłacili właścicieli feudalnych, tylko, że owe listy likwidacyjne przyszłości nie dadzą swym posiadaczom dochodu w pieniądzach, których już nie będzie, a jedynie prawo spożywania wszelkich wyrobów nowéj ery na czas ograniczony, chociaż może i bardzo długi, że zaś nie możebném będzie kapitalizowanie takich wyrobów t. j. gromadzenie ich dla ciągnienia dochodu, więc i listy likwidacyjne z czasem same znikną jako rzecz w drugim pokoleniu zapewne już na nic nie zdatna.

Zadaniem bodaj jedném z najtrudniejszych będzie tutaj ustosunkowanie wartości rozmaitych wyrobów, która ma się mierzyć czasem użytym na ich wytworzenie. Robota ludzka tak jest nieskończenie rozmaitą i co do samego wysilenia i co do swéj wydajności, że wątpimy aby najbieglejszy znawca i najbystrzejszy buchhalter potrafił sobie z temi różnicami poradzić. Dla uproszczenia tego zadania socyaliści obmyślili obliczać jak najkrótsze ilości czasu roboczego np. godziny, a stosunek między rozmaitémi rodzajami roboty oznaczać wedle obliczeń opartych na faktycznych danych. Jeżeli naprzykład godzina roboty uczonego czy artysty, wedle tego obliczenia, równać się będzie dziesięciu godzinom roboty średniéj normalnéj, robota stolarza pięciu takim godzinom, a robota kopacza czy tragarza jednéj takiéj godzinie, to uczony za napisanie książki, która potrzebowała 300 godzin pracy, dostanie czek na 3000 godzin roboty normalnéj, i za to będzie mógł dostać ze składów rozmaite przedmioty na zrobienie których stolarz musiał zużyć 1500 godzin swéj pracy, a tragarz lub równy mu prosty wyrobnik 3000 godzin.

Wszystkie te projekta urządzenia życia ludzkiego i spraw tego świata oparte są na kombinacyach bardzo sztucznych; przepisy władzy mają organizować produkcyą, buchhalterya oceniać wartość pracy i wyrobu, administracyjne rozporządzenia zastąpić mają handel i usunąć konkurencyą w dostarczaniu towarów, samo spożycie niewiadomo czy będzie mogło pozostać zależném od woli każdego; jeżeliby nawet wszystko to dało się zorganizować, o czem wątpić musimy, cóżby się jednak wśród tych przepisów, obliczeń i rozporządzeń stało się z wolnością człowieka? Dziwną téż musi się zdawać wiara w to, że ludzie wyrzekną się wolności swojéj osobistéj,

prawa stanowienia o użyciu sił własnych wedle własnéj woli, urządzania swego życia wedle swych skłonności i nakoniec używania tego do czego czują upodobanie, i poddadzą się więcéj niż despotyzmowi, niż rygorowi zakonnemu lub wojskowemu; a to wszystko dla czego?—Żeby podział dóbr tego świata był sprawiedliwszy. Cóż będzie służyło za gwarancyą owéj przyszłéj sprawiedliwości?—Biurokratycznie i zapewne hierarchicznie urządzona administracya;—gwarancya to nie wzbudzająca ufności. Na to odpowiadają filozofowie socyalizmu: dzisiejsza wolność ludzka to tylko złudzenie, człowiek nie stanowi sam o swojém powałaniu, ale przeważnie ulega w tém otaczającym okolicznościom, powodzenie zaś jego zależy od szczęścia a nie od niego samego; zresztą wybór powołania, powodzenie—to udział drobniuchnéj mniejszości wśród rodzaju ludzkiego, którego ogromna większość skazana na pracę ciężką przez całe życie, na niedostatek, prawie na głód i nędzę; więc sprawiedliwszy podział dóbr tego świata jest celem najwyższym do którego ludzkość dążyć musi, chociażby ofiarą wolności pewnéj drobnéj swéj cząstki, która dzisiaj jéj zażywa. W imię poczucia sprawiedliwości niejeden może z ludzi zamożnych przystałby na to, ale pomimo szczeréj z jego strony gotowości do ofiary, potrzebowałby jeszcze koniecznie rozumnego dowodu, że wolność ludzka będzie uszanowaną a nie ulegnie większemu niż obecnie ścieśnieniu, że dobra tego świata wśród nowego porządku, będą się istotnie wytwarzały przynajmniéj w téj co dzisiaj ilości i że o podziale czysta sprawiedliwość a nie siła mocniejszego stanowić będzie. Na to, dowodu rozumnego, któryby się opierał na znanych dzisiaj popędach i skłonnościach człowieka, na urządzeniach prostych, do zrozumienia i kierowania nimi łatwych, takiego dowodu do dzisiaj nie złożono. Nie dziw więc że socyalizm rowolucyjny budzi obawy, a socyalizm naukowy bynajmniéj takowych nie uspakaja.

Twierdzenia, dowody i wnioski socyalistów obracają się wszystkie około interesów ekonomicznych, więc rozwijać się muszą w saméj treści nauki ekonomii politycznéj, dlatego musimy teraz zwrócić się do zasadniczego pojęcia owéj nauki, przypatrzyć jak się ono kształciło i jakim ulegało wpływom, dostrzeżemy wtedy jak się ono w pismach socyalistów modyfikuje.

III.

Zadaniem ekonomii społecznéj jest badanie warunków w jakich najlepiéj rozwijać się może bogactwo narodów, że zaś bogactwem jest wszystko co ma *wartość*, więc *pojęcie o wartości* musiało

w nauce ekonomii zająć stanowisko naczelne, a od dokładnego jego zrozumienia i przedstawienia zależéć téż będą dalsze wnioski i rezultaty do jakich naukowe badania nas doprowadzą. Wartość rzeczy, to pojęcie które się rodzi w człowieku przy zamianie, przy rozpatrywaniu się w konkretném zjawisku ceny, jest ono subjektywne i dla tego nie łatwo daje się ściśle zdefiniować, bo zależy od ogólnych poglądów człowieka na stosunki ekonomiczne i razem z nimi zmieniać się może. W wieku 17-ym kiedy system merkantylny uważany był za jedynie racyonalny przez mężów stanu zachodniéj Europy, *wartość* przypisywano tylko drogim metalom, a wszystkie środki przyciągania złota i srebra do kraju, uważane były za słuszne i gospodarczo mądre; wtedy cła ustanawiały się dla porządkowania handlu, a wszelka praca przemysłowa urządzaną była edyktami królewskiémi lub ministeryalnémi nakazami, rozmaite jéj rodzaje były mniéj lub więcéj protegowane i obdarzane przywilejami, stosownie do tego jak się na nie zapatrywali rządzący krajem ludzie. Doktryny indywidualizmu rozkwitłe w wieku 18 jako oddziaływanie przeciwko pochłanianiu przez rządy scentralizowane wszystkich funkcyj życia politycznego i społecznego, silny ich rozwój w filozofii, polityce i prawie, oddziałał téż na pojęcia ekonomiczne. Jako protest przeciwko dowolnemu rozporządzeniu się pracą ludzką, fizyokraci ułożyli teoryą, że *wartość* mają tylko produkta sił przyrodzonych, że one jedne pomnażają bogactwo ogólne, bo one tylko dają coś nowego czego dotąd na świecie nie było; z teoryi fizyokratów wypadało, że niekorzystném jest krępować przemysłową pracę ludzką jakiemikolwiekbądź przepisami, gdyż rozwijając się i działając swobodnie, potrafi ona lepiéj wyzyskać siły natury—oni téż pierwsi wypowiedzieli hasło „laisser faire, laisser passer.“ Adam Smith posunął daléj naukę fizyokratów, śmielszym krokiem zdążał do emancypacyi osobistości człowieka, on pierwszy przeprowadził ścisłą analizę procesu wytwarzania wartości i wykazał w nim trzy elementa: siły natury, kapitał i pracę ludzką; przez co ekonomii politycznéj dał pierwsze podstawy czysto naukowe. Pomiędzy temi trzema żywiołami składającémi się na wytworzenie *wartości*, jedna praca jest wypływem woli człowieka, skutkiem żywéj jego siły umiejętnie użytéj. Jéj więc przypisał on znaczenie najważniejsze, wykazując, że podział pracy specyalizuje i doskonali robotę, a zręczne grupowanie oddzielnych robót potęguje wydajność pracy; wskazał obok tego, że interes osobisty człowieka nagląc go do produkowania jaknajwięcéj, każe mu szukać najkorzystniejszego zużytkowania sił własnych, a spółzawodnictwo z innymi ludźmi w tym zawodzie, zaostrza i potęguje wszystkie jego władze i zdolności, czego skutkiem

znowu jest większa produkcya wartości, większa obfitość wszelkich potrzebnych ludziom wyrobów, a więc większa pomyślność ogólna. Związał on w ten sposób interes osobisty z interesem ogólnym i zapewniał, że obrót interesów ekonomicznych niepotrzebuje zgoła żadnego regulowania ze strony władz państwowych, a pozostawiony sam sobie, rozwijać się będzie w kierunku dla narodu najkorzystniejszém. Zdanie Smitha że praca jest źródłem wartości, było nietylko przeczeniem pojęć merkantylistów, którzy pewnym rodzajom pracy przypisywali większe niż innym znaczenie, ale zarazem wypowiadało ono myśl prawdziwie wzniosłą, pełną moralnego znaczenia, że każda praca ludzka powinna być szanowaną. Był to, jak powiada Held, dyplom szlachectwa, który świat nowożytny przyznawał po raz pierwszy wszelkiéj uczciwéj pracy. Myśl filozofa filantropa, nie stawiana zresztą bynajmniéj przez niego jako aksiomat naukowy, a wypowiedziana ku większemu dobru ludzkości, dziwne odtąd przebiega koleje i dzisiaj przerobiona i przekształcona w pracowni dyalektycznéj, narzuca się światu jako potępienie porządku prawnego i podstawa społecznego przewrotu.

Rikardo opracowywał daléj niektóre części nauki wyłożonéj przez Smitha, rozwinął on je szoroko, nadał im ścisłość i spójność logiczną, żeby tego dokazać zamknął się w kole abstrakcyi, przystosowując pojęcia jedne do drugich, wiążąc je z sobą a mniéj dbając w ciągu rozumowań swoich o nierozstawanie się z faktami życia ekonomicznego. Pisma ekonomiczne Rikarda to zbiór definicyj ściśle spojonych w oderwanéj teoryi, a jednak on sam był przedewszystkiem człowiekiem praktycznym; w obrotach bankierskich zrobił duży majątek, na polu politycznym występuje jako jeden z najdzielniejszych szermierzy walczących z arystokracyą właścicieli ziemskich i pracujących nad utwierdzeniem wpływu i znaczenia kapitalistów. Teorye jego odpowiadają w zupełności tym dążeniom. Renta gruntowa nigdy nie jest i być nie może nowo wytworzonym dochodem, a tylko częścią już wytworzonego uprzednio, wypłacaną temu kto jest właścicielem ziemi; produkta rolnictwa są jedynémi towarami których ceny zniżyć nie może wolna konkurencya, bo cena ta wzrasta niezależnie od produkcyi, wskutek samego rozmnażania się ludności. Kapitalista zaś, pomimo najskrzętniejszéj zabiegliwości i słusznych usiłowań, nigdy nie dokaże tego żeby zwiększający się kapitał dawał wzrastające zyski, bo w miarę mnożenia się kapitału procent musi się zniżać. Z zestawienia tych dwóch poglądów już jasno widać, która klasa ludzi jest dla narodu użyteczną. Definiując dochód czysty narodowy, Rikardo wyklucza zeń wszystko co spożywają wyrobnicy, a usiłowaniom narodu wskazuje za cel głów-

ny zwiększenie dochodu od własności, bez względu na liczbę ludzi w kraju żyjących; własność ruchoma i nieruchoma powinny używać praw zupełnie równych, a jedyném niemal zadaniem rządu państwa jest wedle niego ochrona prawa własności. Wszystkie te twierdzenia Ricarda tłomaczą dla czego dzieła jego nietylko zaliczono do prac klasycznych w ekonomii, ale i dla czego stały się one we wszystkich krajach jakby ewangelią wybijającego się na wierzch mieszczaństwa. On téż podnosząc myśl Smitha, stawia w szeregu swych definicyj tezę, któréj prawdziwości nie dowodzi wcale, przyjmując ją jako aksiomat, że *wartość* wszelkiego towaru zależy od pracy wyrabiającéj go; wprawdzie mówi: to o pracy „użytéj,“ to znowu o „potrzebnéj,“ wspomina o wpływie rozmaitéj ilości użytego kapitału, nie jest więc zupełnie ścisłym, jednakże stawi tezę ogólną, że praca wyrabiająca towar jest miarą wartości w ogóle. Nikt się nie trudnił dowiedzeniem że ten pewnik jest prawdziwym, ludzie przyjmują go bo jest prosty, wyraża pojęcie jasne i przypada harmonijnie do idei humanitarnych wieku 18-go. Wynika z tego, że każdy towar o tyle więcéj wart o ile więcéj roboty na zrobienie go zużyć trzeba. Nie dowodzi tego statystyka porównawcza cen towarów i ilości wykonywanéj roboty, co do towarów wyrabianych z materyału którego ilość jest ograniczona, łatwo dowieść że się rzecz ma wręcz przeciwnie, inne przez samegoż Ricardo stawione twierdzenia, przeczą temu wyraźnie, np. teorya o regulowaniu się cen do kosztów produkcyi; w praktyce przemysłowéj zaś koszta produkcyi nawet, o ile można, stosują się do spodziewanych cen towaru; ale w sprzeczności najoczywistszéj staje tu teorya jego własna o *prawie zarobku*, które już on sam nazywał *żelazném*. Cenę roboty tak samo jak innych towarów oznaczają koszta jéj produkcyi, t. j. koszta utrzymania robotnika w stanie zdrowia i siły odpowiedniéj, z dodatkiem rozchodu koniecznego na wyhodowanie dzieci jako przyszłych robotników; jeżeli wyrobnicy zarabiać będą więcéj nad tę ilość, niezawodnie byt lepszy skłoni ich do rozmnażania się, więc zwiększy się ilość ofiarowanéj siły roboczéj i konkurencya zniży jéj cenę— jeżeli zaś będą zarabiać mniéj nad tę normę, niedostateczne środki utrzymania sprowadzą większą śmiertelność, a zmniejszona podaż pracy podwyższy jéj cenę. Czyż prawo zarobku postawione obok pracy jako miary wartości nie wskazuje, że Ricardo zupełnie świadomie używał sofizmatu, potrzebnego sobie dla rozwinięcia całego systematu? Umysł tak ścisły i tak jasny nie mógł przecie przyjść do przeświadczenia, że siła, która jedna tylko wytwarza wartość, żelazną koniecznością prawa natury skazana jest na wieczne krążenie około śmierci głodowéj.

W teoryach Rikardo tezy wszystkie mają okazać się prawdziwemi tylko w warunkach wolnéj i nieograniczonéj niczém konkurencyi. Wielki postulat téj szkoły ekonomicznéj: nieścieśniane żadną zewnętrzną siłą spółzawodnictwo o zysk pomiędzy osobami posiadającémi własność, doprowadza koniecznie do ustalenia się cen odpowiadających idealnym wymaganiom sprawiedliwego podziału wartości wytworzonych, pomiędzy siły wytwarzające. Przy bezwarunkowéj wolności i zagwarantowanym porządku, tylko praca stać się może źródłem nabywania własności, każdy dojdzie do posiadania własności odpowiednio do swych zasług i dla tego to *wartość*—przedmiot własności, ma wedle nauki téj szkoły zależéć jedynie od włożonéj w wyrób pracy. Kapitał nazywa się pracą pierwiéj wykonaną, zaoszczędzoną od spożycia, nagromadzoną, więc i jemu należą się prawa te same co pracy; zwiększenie kapitału to jedyny interes ekonomiczny narodu; praca wytwarza wartość, ale kapitał stanowi o tém co ma być wyrobioném, on oznacza przedmiot i zakreśla granice produkcyi, on więc jest panem i władcą świata ekonomicznego. Zdawałoby się tutaj że nie czynna wola człowieka, lecz jedynie ilość nagromadzonego kapitału decyduje ile produkować można i trzeba, a zatém ilu ludzi żyć może w kraju i na jakim stopniu dobrobytu. Wprowadza się więc stanowczy przedział pomiędzy kapitalistą a robotnikiem, a to dla tego, że zamiast sił żywych stają naprzeciw siebie abstrakcye: kapitał i robota. W abstrakcyach tych harmonia interesów ma wypływać sama przez się z wolnego ich pomiędzy sobą spółzawodnictwa, a teza o pracy jako mierze wartości jest już tylko, bez krytyki przyjętą, formułą, wyrażającą pobożne życzenie, iżby każdéj robocie dostał się odpowiedni zarobek.

Praca jako źródło wartości to myśl wzniosła, uszlachetniająca, ale ilość pracy jako miara wartości, to sofizmat niedający się niczém dowieść i nigdzie sprawdzić, bo nie znaleziono dotąd stałéj miary do porównywania rozmaitych rodzajów pracy, ani nikt obliczyć nie potrafi z jakich cząstek, jakiego gatunku pracy powstaje wyrób, który dzisiaj nazywamy w ogólności towarem. To też nauka ekonomii wskazała dowodnie, że poszukiwanie jednéj miary dla wartości jest po prostu szukaniem kamienia filozoficznego.

Zestawmy jednak trzy twierdzenia Rikardo: robota jako miara wartości, prawo zarobku z głodem graniczącego i kapitał jako władca produkcyi. Robota to pojęcie wyobrażające czynność człowieka, zatém tylko czyn ludzki tworzy wartość, on tylko jest dla ludzkości użyteczny, takim użytecznym czynem być musi każda robota, każdego człowieka, więc swobodne zupełnie spółzawo-

dnictwo pomiędzy osobami pracującemi, konieczném jest dla sprawiedliwości względem wszystkich pracujących, ono otwiera przed robotnikiem świat cały, ono daje mu własność—owoc jego pracy. Kapitał jako praca nagromadzona staje narówni z robotą do używania tych praw, i powiada robocie: ja tu panuję, tyś tylko narzędziem, tobie przypada w udziale chleb na utrzymanie twéj siły, a zysk do mnie należy, bo mój zysk idzie ku pożytkowi ogólnemu. Dobrobyt robotników nie może więc być polepszonym, pozostać oni muszą sługami kapitalisty, który jeden dąży do celów wyższych, prawdziwie ludzkich.

Nam się zdaje, że gdyby Rikardo zajmował się bliżéj obserwacyą realnych wypadków życia, a nie zamykał się w sferze abstrakcyi, gdzie mimowoli ulegał popędom interesu własnego i interesu klasy do któréj należał, nigdyby pewno nie doszedł do takich w teoryi swojéj rezultatów. Szkoła historyczna ekonomistów niemieckich odmienne z badania faktów wyprowadziła wnioski; Marx zaś trzymając się definicyi Rikardo, ale innemi zupełnie ożywiony chęciami, innym ulegając popędom, z logiką o wiele ściślejszą jeszcze, uzbrojony w cały aparat dyalektyki heglowskiéj, z twierdzeń, które służyły tak długo ku usprawiedliwieniu przeważnego wpływu kapitalistów w sprawach społecznych i politycznych, wyprowadza konieczność ich wywłaszczenia, jako szkodliwych krzewicieli nędzy i cierpień pośród ludzkości. Rozpatrzyć teraz musimy jaki proces myślenia doprowadza go do tego wniosku, a dla jaśniejszego wykładu starać się będziemy, o ile można bez przerwy przedstawić streszczenie głównych i zasadniczych rysów całéj budowy jego krytyki społeczno-ekonomicznéj.

IV.

Oddawna już w nauce ekonomii rozróżniano dwa gatunki wartości: użytkową i zamienną, stosownie do tego, czy wyrób jaki był przez swego właściciela przeznaczany do spożycia czy téż do wymiany na inny jaki potrzebny mu towar. Marx powiada, że w dzisiejszym stanie przemysłu i handlu, kiedy ludzie, wyjątkowo tylko, sami wyrabiają rzeczy do użytku własnego, wszelki wyrób można uważać za towar, bo każdy jest wyrabiany w celu wymienienia na inny. Ludzie dla tego tylko kupują towary, że one są dla nich użyteczne t. j. mogą służyć do zaspokojenia potrzeb i żądań czy to rzeczywistych, prawdziwych, czy téż urojonych; więc tylko rzeczy użyteczne mogą być towarem. Nie wszystko jednak co uży-

teczne będzie już przeto towarem, światło słoneczne, powietrze, woda w źródle lub rzece towarami nie są, ale woda przyniesiona ze źródła już stać się może towarem dla tego, że przyniesienie wymagało pewnéj pracy człowieka, woda nabyła więc wartości zamiennéj w skutek dodanéj do niéj pracy, wynika ztąd, że źródłem wartości zamiennéj jest użyteczna praca ludzka. Mnożąc daléj podobne przykłady i wprowadzając do każdego pewną określoną ilość czasu pracy, porównywając te ilości między sobą łatwo dojść do wniosku, że w towarach wartość zamienna wypływa *jedynie* z tkwiącéj w nich pewnéj ilości pracy, przy zamianie zaś nic innego się nie ocenia jak te ilości pracy. Ale sama praca ludzka jest nieskończenie rozmaita, od pracy statysty lub uczonego, do prostego tragarza lub drwala mamy jéj gatunki najrozliczniejsze, od robotnika umiejętnego i pilnego do niezdary i leniwego, mamy mnóstwo odmiennych stopni jéj natężenia i wydajności; więc sprowadzić ją należy do jednego mianownika. W teoryi Marxa dzieje się to w sposób następny: ponieważ praca mierzy się czasem, więc czas przeciętnie potrzebny do zrobienia jakiego towaru przez robotnika zwyczajnego w okolicznościach w jakich się zwykle ten towar produkuje, ma służyć za miarę jego wartości i otrzymujemy ztąd formułę: „ilość czasu pracy pospolitéj, społecznie potrzebna do zrobienia pewnéj wartości użytkowéj, oznacza jéj wartość zamienną“ (1). Z téj definicyi wypływa wniosek, że istota wartości zamiennéj jest nie tylko niezależną ale iście odmienną od fizycznéj egzystencyi towaru, od istnienia jego jako wartości użytkowéj, sam zaś stosunek wymiany charakteryzuje się tém, że przy nim oceniają się ilości pracy bez względu na użyteczność przedmiotu. Ponieważ robotnik pracując przelał w przedmiot obrobiony pewną część swéj siły t. j. swojéj krwi, muskułów, nerwów i mózgu, więc w wyrobie tkwi już ta cząstka jego osoby i ona to właśnie nadaje mu wartość, bo się w wyrób wciela, ścina się w nim na galaretę, twardnieje na kryształ, a zatém „jako wartości, wszystkie towary są tylko skrystalizowanemi określonemi ilościami czasu roboty.“ Towar zaś to bezpośrednie zjednoczenie wartości użytkowéj i wartości zamiennéj, a więc dwóch przeciwieństw, jest przez to samo bezpośrednią sprzecznością. Sprzeczność ta musi się rozwiązać w syntezie, którą ma być tenże wyrób ludzkiéj pracy, ale już pozbawiony cechy towaru, i w téj nowéj jego postaci, czy raczéj wedle tego nowego o nim pojęcia, już on w całości swojéj będzie musiał należéć do tego kto go wyrobił, a ktoś,

---

(1) Przytoczone w tym ustępie wyrazy w cudzysłowie są własnémi słowami Marxa, cytowane zaś tutaj wedle wyżéj wskazanéj książki Adolfa Helda.

jakaś władza zapewne, będzie o tém decydowała ile, czyjéj i jakiéj pracy zawiera się w każdym wyrobie. Mamy więc tutaj twierdzenie Rikardo: „praca wyrabiająca towar jest miarą wartości wogóle,“ ścisłością określeń i konsekwencyi logicznéj doprowadzone do odsądzenia od udziału w wytwarzaniu wartości wszelkich innych żywiołów oprócz pracy człowieka, i jakkolwiek robią się pewne ustępstwa na rzecz wyższych gatunków pracy, jednakże owe cząstki muskułów i nerwów ludzkich skrystalizowane w wyrobie główną tu grają rolę i jeżeli nie wyłączne to przeważne znaczenie ma tutaj praca fizyczna, pospolita, bo o nią przedewszystkiém chodzi prezesowi międzynarodowego stowarzyszenia robotników. Przypisanie pracy wyłącznie siły wytwórczéj wytłomaczone zostało jeszcze dokładniéj tém, że chociaż kapitał dostarcza robocie materyału i narzędzi, materyał w nowym wyrobie pozostaje w fizycznéj swéj konsystencyi ale z niego nic tam nie przybywa, on zresztą jako rzecz martwa niczego nowego dodać tu nie może, narzędzia zużywają się przy robocie, a zużyta cząstka ich wartości odnajdzie się w nowym wyrobie, jednakże nie może się ona tam rozmnożyć; przybywa zaś do wyrobu to czego nie było w materyale ani w narzędziach—praca człowieka, jeżeli więc wyrób nowy ma większą wartość aniżeli materyał i cząsteczki narzędzia razem wzięte, toć nic skąd innąd jak od téj pracy, która weń weszła i w nim pozostała.

Towary wyrobione zamieniają się jedne na drugie, a w zamienianych towarach zawsze mieszczą się równe ilości pracy ludzkiéj pospolitéj, zredukowane do normalnéj jednostki czasu. Zamiana towarów wogóle stanowi to co nazywamy *obrotem*, a pod tym wyrazem rozumiemy już wogóle wszelki ruch handlowy i przemysłowy zarazem, bo w stosunkach ludzkich handel z przemysłem przeplata się ustawicznie. Dla dogodności praktycznéj obrotów handlowych wprowadzają ludzie pieniądze i znaki kredytowe, towary sprzedają się za pieniądze, za które znowu nabywają się towary inne, zawsze jednak prawem obrotu normalnego i sprawiedliwego powinna być formuła T(owar)=P(ieniądz)=T(owar); bo przy każdéj tranzakcyi, wartości zamieniane są i muszą być sobie równe, więc i właściciel pieniędzy rozpoczynający handel musi postępować wedle tego samego prawa obrotu, a czynność jego wyrazi się taką samą formułą tylko w następném przestawieniu P=T=P. Handel istniał z dawien dawna na świecie, ale nigdy nie był w stanie wytwarzać nowych wartości, a jeżeli handlarze zamykali swoje obroty z większą ilością pieniędzy aniżeli je rozpoczynali, działo się to tylko w skutek nadużyć z ich strony, udawało się im naruszać normalne prawo obrotu i fałszować formułę pierwotną w ten sposób, że u nich P(pieniądze)=

T(towar) = P_1 (więcéj pieniędzy). Dokazywali tego nie w skutek produkowania większéj wartości, a tylko usiłowaniem ustawicznêm kupować jaknajtaniéj, sprzedawać zaś jaknajdrożéj.

Pozwolimy sobie zrobić tu uwagę; jakkolwiek ścisłe są definicye filozofa ekonomisty, jakkolwiek w sylogizmach jego dostrzedz nie można żadnego zboczenia od założeń, jednakże fakta, w historycznym życiu wszystkich ludów wyraźnie występujące, nie godzą się zgoła z jego teoryą. Handel to usiłowanie kupowania tanio i sprzedawania drogo; charakterystyka taka znaleść może posłuch i wiarę u ludzi, których koło obserwacyi nie sięga po za czynności drobnych handlarzy. Chęć zysku, w handlu tak samo jak i we wszystkich gospodarskich czynnościach człowieka, jest niezawodnie pobudką do działania, żeby jednak zysk osiągnąć trzeba znaleść przedmiot tam gdzie go można nabyć tanio i dostarczyć go tym, którzy za niego drożéj zapłacić mogą i chcą; nie co innego jak to szukanie zrobiło z handlu główny kanał którym się cywilizacya po świecie szerzyła, ono to pchnęło ludzi do najodleglejszych wycieczek, było pobudką do udoskonalenia żeglarstwa, do zakładania kolonij, motywa jego odnajdziemy bodaj u początku wielu odkryć naukowych, ono ułatwiało stosunki między ludźmi, uczyło ich przystosowywać się do wzajemnych wymagań i upodobań, przez co łagodziło obyczaje i przeważnie wpływało na uspołecznienie wszelkich barbarzyńców. Czyżby handel tego wszystkiego mógł dokonać, gdyby wartości do wymiany mu służące, zawsze miały w sobie jednaką ilość normalnéj ludzkiéj pracy; więc w wartości jak ją ludzie pojmują i oceniają musi się kryć jeszcze inny element oprócz téj pracy, jest téż rzeczywiście, jest w niéj żądanie nabywcy posiąść rzecz którą mu ofiarują, żądanie kombinujące się w tysiącach rozmaitych proporcyj z możnością nabywania, zależną od ilości posiadanych przez nabywającego środków, element to o wiele jeszcze zmienniejszy od pracy ludzkiéj, do wymierzenia którego nie mamy żadnego już sposobu ani środka.

Ale wróćmy do dalszych wywodów Marxa.

Wśród obrotu towarów zjawia się pieniądz, staje się on ostatnim produktem obrotu, bogactwem abstrakcyjnêm, wartością za którą można nabyć wszystko czego tylko potrzeba, a w téj swojéj postaci jest on zarazem formą pod którą rodzi się na świat *kapitał*. Wymiana wartości w naturze t. j. towarów na towary, ma zakreślone sobie granice, których przekroczyć nie może, z jednéj strony ilość wyrobionych towarów, z drugiéj ilość potrzeb ludzkich; ruch zaś pieniędzy żadnych granic dla siebie już nieznajdzie jest on bezmiernym, nieskończonym. Przedmiotem tego ruchu nie jest wytwa-

rzanie nowych wartości, ale ciągnięcie zysku z wartości już istniejącéj, uwartościowanie saméj wartości (Verwerthung des Werths); że zaś ów przedmiot jest zarazem podmiotowym popędem, samym celem istnienia kapitału, więc obrót jego nigdy końca znaleść nie może, nigdy ostatecznie celu nie dopina, bo po dokonanym obrocie, przy zwiększonéj sile własnéj, zawsze znajdzie przed sobą nową wartość do wyzyskania: jedyną pobudką jego czynności jest ciągle wzrastające przywłaszczanie bogactwa abstrakcyjnego i tutaj występuje on jako *kapitalista* t. j. jako kapitał uosobiony, obdarzony wolą i samowiedzą. Za cel działań kapitalisty nigdy nie można uważać wytwarzania nowych wartości, ani nawet zysku pojedyńczego, ale celem tym będzie nieustanny ruch w wyzyskiwaniu. „Wartość wprawia się tutaj w ruch, staje się wartością ruszającą się, idącym naprzód pieniądzem, a jako taka—*kapitałem.* Wychodzi on z obrotu, wchodzi weń napowrót, utrzymuje się i mnoży się w nim, powraca ztamtąd zwiększonym i zawsze rozpoczyna na nowo ten kołowy obrót. Przekształcanie się pieniędzy w kapitał dokonywać się musi na podstawie praw przyrodzonych zamiany towarów, za punkt wyjścia służy tu wymiana równoważników. Nasz właściciel pieniędzy istnieje jeszcze tylko jako poczwarka przyszłego kapitalisty, musi on kupować towary za ich wartość, za ich wartość je sprzedawać, a jednak po skończonéj operacyi musi wyciągnąć więcéj pieniędzy aniżeli ich wrzucił. Z poczwarki w motyla rozwijać się on musi nie gdzie indziéj jak w sferze obrotu, a zarazem musi w niéj niepozostawać. Oto są warunki zadania.“

„Żeby ze spożycia towaru wyciągnąć wartość zamienną, nasz właściciel pieniędzy musiał chyba być tak szczęśliwym, iżby wśród sfery obrotu, na rynku, znaleść towar, którego wartość użytkowa ma specyficzną własność wytwarzania wartości zamiennéj, którego samo rzeczywiste spożycie jest już uprzedmiotowieniem pracy, a więc stwarzaniem wartości. W istocie właściciel pieniędzy znajduje na rynku taki osobliwy towar— *siłę roboczą.* Dla przekształcenia pieniędzy na kapiłał, właściciel ich musi znaleść na rynku *wolnego robotnika.*“

Siła robocza człowieka przybiera wszystkie cechy towaru i staje się nim rzeczywiście, skoro robotnik wysadzony z ziemi własnéj, którą uprawiał i pozbawiony narzędzi do pracy, staje się wolnym i od nikogo niezależnym; wtedy z siły swojéj sam dla siebie nie jest w stanie zrobić niczego, więc ona mu na własny użytek nie potrzebna, musi ją wymienić na potrzebne do utrzymania swego rzeczy i oddać ją za jéj cenę bieżącą t. j. za jéj wartość zamienną. Wartość takowa oznaczy się ilością społecznie potrzebnéj pospo-

licie ludzkiéj pracy — koniecznéj do jéj wyprodukowania, albo mówiąc innemi słowami, ilością pieniędzy potrzebnych robotnikowi na opędzenie niezbędnych potrzeb i wyhodowanie rodziny; spotykamy więc tutaj dosłownie powtórzone prawo zarobku wedle Rikardo. Za tę cenę, słuszną zresztą, kapitalista kupuje siłę roboczą; tylko siły owéj robotnik od swéj osoby oddzielić nie może, razem więc zaprzedaje i swoję osobę, oddaje kapitaliście prawo rozporządzania sobą w ciągu całego czasu póki trwa opłacona robota, z wolnego człowieka robi się robotnik *pański*, i kapitalista ma *swoich* robotników. Po zawartéj umowie nabywca ma tylko prawo do towaru, ale sam towar przechodzi w jego posiadanie dopiero w ciągu wykonywania roboty; co chwila część siły robotnika przechodzi w obrobiony materyał, po skończeniu wyrobu kapitalista jest jego właścicielem, robotnik zaś z którego ciała wydzieliła się pewna sprzedana przezeń część jego siły, ażeby się skrystalizować w wyrobie, dopełnił warunku umowy i staje się znowu wolnym człowiekiem. Robota zwykle opłaca się po jéj skończeniu, robotnik więc oddaje kapitaliście swój towar na kredyt, im dłuższe termina wypłaty tém kredyt większy, co nowe zyski przysparza kapitaliście, którego niesłusznie nazywają pracodawcą, kiedy on właśnie pracę bierze i to na kredyt, podczas kiedy robotnik pracę swoję jemu daje, a sam brać musi na kredyt wszystko co jemu do życia potrzebne, na czem oczywiście traci bo musi opłacać drożéj rzeczy gorszego gatunku.

Kapitalista umieszcza robotnika przy warsztacie, robota się rozpoczyna, specyalna jéj własność wytwarzania wartości zamiennéj wprawia się w ruch i wartość się wytwarza. Tutaj Marx na mocy rozmaitych kombinacyj z cyframi statystycznemi, dochodzi do wniosku, że robotnik w ciągu pięciu godzin wyrobił wartość pokrywającą w zupełności wypłaconą mu cenę roboty, że zaś pracuje godzin 10 więc drugą połowę czasu jego pracy kapitalista zabiera darmo, i to jest — wedle Marxa—cała tajemnica produkcyi kapitalistycznéj, robotnik wyrabia więcéj niż to co mu zapłacono, kapitalista przywłaszcza sobie owo *więcéj* wyrobionéj *wartości*, ta nad wartość czy *więcéj-wartości* (Mehrwerth) jest źródłem zysków kapitalisty, ona stawi go w możności ustawicznego zwiększania kapitału, gromadzenia zysków bez granic, bez końca. Właściciel pieniędzy wynalazł ową cudowną ruszczkę za pomocą któréj pieniądze nabierają siły rozmnażania się i stają się przez to kapitałem, dla tego jedynie, że robotnik pozbawiony własności, nie może inaczéj życia swego podtrzymać jak sprzedając swą pracę, prawo zaś uznaje i ochrania własność kapitalisty. Ale samo rozmnażanie się pieniędzy, produkcya kapitalistyczna, jest tylko prostym przywłaszczaniem wartości

wytworzonéj w ciągu nieopłaconego czasu pracy robotnika, którego kapitalista kwituje ze wszystkiego wypłaceniem mu *zarobku*, sam zaś dla siebie zabiera całą wyrobioną *nadwartość*. Więc system ten cały jest poprostu przeczeniem pojęcia o własności, sam zaś warunek istnienia własności kapitalistycznéj jest już przeczeniem własności, więc kapitał sam w sobie nosi sprzeczność, i z charakteru antagonizmu w gromadzeniu kapitału, musi wyniknąć z czasem *samozniszczenie* nagromadzonego kapitału.

Stosunek robotnika do kapitalisty, w systemie produkcyi kapitalistycznéj, wypływa stąd, że robotnik pozbawionym został możności korzystnego użycia swéj pracy na własnym materyale, nie ma on ziemi, nie ma narzędzi, między nim a warunkami w którychby mógł pracować dla siebie przeprowadzono przegrodę. Skoro produkcya kapitalistyczna stanie już gdziekolwiek na nogi, nie tylko utrzymuje ten przedział, ale go ciągle zwiększa, i proces wytwarzający w przemyśle stosunki kapitalistyczne jest tylko ustawicznym coraz ściślejszym oddzielaniem coraz to większéj liczby ludzi od przyrodzonych warunków pracy. Własność prywatna, naturalna i sprawiedliwa, która się wyrobiła sama przez się, oparta na prawie niezaprzeczoném do owocu własnéj pracy, na zrośnięciu osoby robotnika niezależnego z warunkami pracy korzystnéj, zaczyna być uciskaną przez własność kapitalistyczną opartą na wyzyskiwaniu pracy cudzéj. Skoro ten proces, przekształcający przyrodzone stosunki ludzi pomiędzy sobą, dostatecznie już rozsadzi w głąb i w szerz starą społeczność, dalsze wywłaszczenie właścicieli prywatnych przybiera już nową formę. Konkurencya rozwija się coraz silniéj, do wywłaszczenia pozostają już nie robotnicy samoistnie gospodarujący, ale kapitaliści wyzyskujący; wywłaszczenia ich dokona już sama siła wewnętrzna produkcyi kapitalistycznéj, działająca pod prawem koncentracyi kapitałów. Każdy kapitalista pochłania kilku innych. Kapitał stawać się musi coraz większym, liczba kapitalistów coraz mniejszą.

Z innéj strony produkcya kapitalistyczna organizuje, rozwija i doskonali wielki przemysł, i w tym celu gromadzi w jedno miejsce znaczną ilość robotników, pracę ich stowarzysza, uczy ich pracować razem, wspólnemi silami, produkować wartość zbiorowo; więc ziemię, siły przyrodzone, machiny, narzędzia do pracy przekształca w środki produkcyi wspólnéj wielkim grupom robotników. Oba te procesa odbywają się jednocześnie, kapitał koncentruje się coraz bardziéj w ręku coraz mniejszéj liczby właścicieli, masa robotników doskonali się coraz lepiéj w pracy stowarzyszonéj, w produkcyi wspólnéj—społecznéj; dojść więc muszą do punktu kiedy zarówno masie

nagromadzonego kapitału jak i sile stowarzyszonéj roboty zaciasno już będzie w jaskini kapitalistycznéj, muszą więc ją rozsadzić. Wówczas wybije godzina własności prywatnéj kapitalistycznéj. Wywłaszczyciele zostaną wywłaszczeni."

„Kapitalistyczny sposób produkowania i przywłaszczania, tj. własność prywatna kapitalistyczna jest pierwszą negacyą własności prywatnéj osobistéj powstającéj z pracy własnéj człowieka. Produkcya zaś kapitalistyczna, rozwija sama w sobie negacyą siebie saméj, i to w nieuniknionych warunkach konieczności właściwych rozwijaniu się sił przyrody. Jest więc negacyą negacyi, która odtworzy nanowo własność osobistą, ale już na podstawie nabytków ery kapitalistycznéj, w stosunkach odmiennych od dzisiejszych, bo ziemia i wszelkie środki produkcyi przez pracę wytworzone będą własnością ogólną wszystkich pracujących, robotnicy zaś, wolni już rzeczywiście a nie formalnie tylko, pracować będą wspólnie nad wytwarzaniem wartości, która już całkowicie należeć będzie do tych co ją wytworzyli."

V.

Staraliśmy się o ile można jasno zarysować cały proces myślowy, który, po przez artystycznie spleciony ciąg dyalektycznych przeciwieństw i negacyj, przeprowadza Marx od pierwszéj niedokładnéj definicyi wartości, do ostatniego wniosku o konieczności wywłaszezenia kapitalistów. Musimy jeszcze chwil kilka zatrzymać czytelników w téj sferze abstrakcyi, ażeby, o ile nam sił wystarczy, wskazać, że ani logiczna konieczność, ani konieczne prawo wewnętrznego rozwoju przemysłu nie prowadzą ludzkości całéj do kapitalistycznéj jaskini z któréj tylko rozsadzając ją wydobyć się będzie można.

Jeżeli *wartość nazywana użytkową* jest rzeczywiście przymiotem każdéj rzeczy, mogącéj służyć pewnym potrzebom, interesom, żądaniom lub celom, to wartość zamienna jest po prostu pojęciem czysto podmiotowym każdego człowieka. Cena rzeczy to fakt, który widzimy, pogląd zaś nasz osobisty na cenę budzi w nas pojęcie o wartości zamiennéj przedmiotu. Cenę rzeczy przy zamianie oznacza wolna umowa, na jéj ustanowienie wpływa użyteczność rzeczy, obfitość lub rzadkość w jakiéj się one na rynku znajdują, ale decyduje tutaj daleko więcéj siła nabywania, czyli ilość praw majątkowych jaką kto rozporządza, inaczéj mówiąc ilość pieniędzy jaką kto posiada. Jeżeli towary jednorodne sprzedają się i kupują w wielkich masach, jeżeli umowa o ich cenę staje pomiędzy osobami równie silnymi majątkowo, wtedy cena zależyć będzie od przyczyn ogólnych, od

warunków w jakich się rynek znajduje, ale nigdy nie można sprowadzać ustanowienia ceny do jednej przyczyny. Daleko dokładniej zrozumiéć można czém jest wartość, wyróżniając nie dwa jej rodzaje użytkowy i zamienny, ale, jak to czynią ekonomiści niemieccy, dwa jej gatunki: przedmiotowy—zależny od własności przedmiotu nabywanego i podmiotowy—zależny od osoby nabywającej. Trzymając się tej metody łatwo zrozumiemy dla czego handel dawać może korzyści i zyski bez oszustwa i krzywdy ludzkięj; wielki ten sekret zależy na tem, że przedmiot każdy może być dla kupującego więcéj wart aniżeli dla sprzedającego, a cena wyrówna się pomimo to, przy równym stopniu chęci sprzedania i nabycia u osób zawierających umowę. Szukać więc jednej miary wartości, jest pracą zupełnie bezcelową, bo tej miary znaleść nie można; a praca ludzka mniej niż cokolwiekbądź może być do mierzenia wartości zdatną, bo sama zmieniać się może co chwila w każdym człowieku. Cały więc obraz przedstawiający nam wartość zamienną jako skrystalizowaną w wyrobie siłę robotnika, jest owocem niepospolicie bujnej fantazyi filozofa, ale zarysowany przed nami dla tendencyjnego zdefiniowania wartości, która przecie będąc pojęciem tylko nie może się w nic wcielić ani wysadzić z siebie kryształów, jeżeli zaś ma to być tyłko uplastycznieniem abstrakcyi to sięga daleko po za swój cel, bo budzi wrażenie rzeczy dotykalnie istniejącéj, a w towarze każe widziéć zjednoczenie dwóch przeciwieństw, sprzeczność bezpośrednią, czemu mogą wierzyć adepci mistrza, ale czego zrozumiéć nie można.

Prawdą jest, że dochód robotnika równa się cenie za sprzedane przez niego prawo wyłącznego rozporządzania owocami jego pracy, wysokość téj ceny tj. wysokość zarobku, zależy: od tego co robotnik może zrobić, a także od wzajemnego stosunku siły majątkowéj pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą; w krajach gdzie swoboda umowy niczém nie jest krępowaną—zarobek wzrasta w stosunku do mniejszéj podaży pracy; koalicye robotników w celu odmawiania pracy, tam gdzie są dozwolone a szczególnie tam gdzie są umiejętnie organizowane i należycie podtrzymywane, mogą znacznie wpływać na podwyższanie zarobku. Naturalnéj normy zarobku, któraby miała panować powszechnie, a przynajmniéj w większości danych wypadków, nie ma zgoła żadnéj; konieczne środki utrzymania bynajmniéj nie są naturalną wysokością zarobku, ani utrzymanie robotnika równać się może pewnéj określonéj sumie środków życia;—widzimy przecież najrozmaitsze zarobki w jednym i tym samym miejscu, tém rozmaitsze w różnych miejscach i czasach, jeżeli zaś mamy mówić o utrzymaniu robotnika zwyczajném, odpowiedniém stanowi i obyczajom krajowym, więc zmienność staje się główną jego cechą

i ginie już zpełnie owa twardość żelazna, w prawie rządzącem zarobkami, upatrzona przez Rikardo, który zresztą teorye swe opierał na doświadczeniu nabytem na giełdzie londyńskiéj, widział zaś tam obroty ogromnemi masami wartości, dokonywane na podstawie pojęć ogólnych o konjunkturach rynku olbrzymiego; i dla tego zapewne stawił określenia ogólne, do których pojedyńcze wypadki rzadko kiedy ściśle stosować się mogą. Jeżeli zaś od prawa zarobku odejmiemy jego nieugiętość i niezmienność, cóż ono będzie znaczyło? Poprostu tylko, że kto nie posiada niczego nie ma żadnego dochodu od swojéj własności, żyć więc musi z pracy rąk swoich, a dochód jego będzie zawsze mniejszy aniżeli wszystkich tych, którzy coś posiadają. Że w historyi naliczyć można nie mało faktów nabywania własności środkami niesprawiedliwémi, że przemoc i oszukaństwo były źródłem niejednéj wielkiéj fortuny, temu zapewne nikt przeczyć nie będzie, ale żeby to było całą treścią dziejowego życia ludzkości, a przynajmniéj narodów wchodzących w sferę działania cywilizacyi zachodnio-europejskiéj, tego także nikt przyznać nie może. Jeżeli wywłaszczenia z ziemi działy się w Auglii i w innych krajach w pewnéj epoce historycznéj, to w historyi nowszych czasów widzimy téż nie jeden przykład uwłaszczeń przeprowadzonych na skalę olbrzymią.

Marxowi przyznać można zasługę że wyraźnie zaznaczył dążność socyalizmu, którego wszystkie usiłowania obecnie kierują się ku obaleniu wpływu, znaczenia i siły wielkiego kapitału, kierują się zaś dla tego, że dzisiaj wielki kapitał jest siłą na świecie największą: a zatém i najniebezpieczniejszą. Wyznawcy zasad szkoły manczesterskiéj, fanatycy wolnego handlu i nieograniczonéj konkurencyi trzymając się doktryn Rikardo i wmawiając światu, że kapitał jest jedynie owocem pracy i oszczędności, twierdzili stanowczo, że nic nieprzeszkadza robotnikowi zostać kapitalistą i przytaczali przykłady kilku prawdziwych wypadków, w których prości wyrobnicy kończyli życie panami wielu milionów. Sama już nadzwyczajna rzadkość podobnych zdarzeń dowodzi jasno, że działy się one w okolicznościach wyjątkowych, zdolności niepospolite nawet temu nie wystarczą. trzeba zbiegu wypadków niezwykle szczęśliwego, żeby wyrobnik mógł uzbierać kapitał dostateczny do rozpoczęcia przedsiebierstwa na własną rękę, a bez takiego początku do znaczniejszéj fortuny pewno nikt się nie dorobi, bo energia i zdolności genialne nawet nie rozwiną się nigdy w swéj pełni bez odpowiedniego pola działania. Zaprzeczyć téż niemożna, że wielkie majątki dawniejszéj arystokracyi ziemskiéj, tak samo jak olbrzymie fortuny dzisiejszych potęg świata finansowego, jeżeli nie zawsze, to bardzo często wzrastały nie

na drodze pracy i zasługi, a niesprawiedliwość, przemoc, przywiléj lub po prostu oszustwo przykładały się do ich budowy. Było więc dużo wstrętnéj hipokryzyi w roztaczaniu nad nimi opieki i powagi humanitarnych zasad o pochodzeniu wszelkiéj wartości od pracy, opieki i powagi zresztą im praktycznie na nic nie potrzebnéj, bo kodeks karny ochraniał ich dostatecznie, a suma posiadanych środków dawała im powagę aż nadto wielką w społeczeństwie. Było więc to otaczaniem mamony aureolą świętości, fałszowaniem zasad nauki dla oczyszczenia i usprawiedliwienia czci złotego cielca. Marx, wprawdzie nie rozumowaniem swoim i sztucznemi definicyami, ale wielką masą faktów, które wyszperał w archiwach przemysłu angielskiego, rozdarł na szmaty tę zasłonę świętobliwą fałszywego bóstwa, wskazał chciwość i krzywdę u źródła niejednéj kolosalnéj fortuny;—sam jednak poszedł zbyt daleko, przemilczał o tém co było w archiwach dobrego, a złe strony uogólnił w tezach filozoficznych. Nie powiada on że kapitaliści bywają chciwi, okrutni, wyzyskujący ubóstwo robotników bez litości, ale *kapitałowi* jako *kategoryi historycznéj* przypisuje te cechy, twierdzi, że one są jemu przyrodzone, stanowią samę treść jego istoty i że kapitał chociażby chciał, sprawiedliwym być nie może, musi wyzyskiwać robotę, wywłaszczać słabszych, bo taki jest konieczny warunek jego życia, nie spełniając go musi on rozpraszać się i niknąć.

Środek wywłaszczania słabych to zabieranie na swoję korzyść wytworzonéj przez robotę *nadwartości*. Owa nadwartość nie jest bodaj wynalazkiem Marxa, chociaż do niego należy dyalektyczne jéj uzasadnienie i spopularyzowanie tych wyrazów jako hasła używanego obecnie przez socyalistów. Jak słusznie uważa dr. Gumplowicz, wytwarzanie przez pracującego większéj wartości nad to co bierze w zapłacie, zawsze było i jest cechą każdéj pracy człowieka żyjącego w społeczeństwie. Nie jest to wyłączny los wyrobników służących za siłę wytwórczą wielkiemu przemysłowi, uczony za swe mozolne trudy dostaje zwykle bardzo skromne wynagrodzenie, owoce zaś jego pracy spożywają miliony ludzi; statysta czuwający nad spokojem i losami narodu, chociaż bywa opłacony bardzo hojnie, jednakże to co od niego bierze społeczeństwo o wiele razy przewyższa wartość wypłaconéj mu pensyi, to samo znajdziemy na wszystkich szczeblach towarzyskich, we wszystkich zawodach; zresztą, bez takiego wytwarzania większéj wartości, nie mogłoby społeczeństwo ani wzbogacać się ani cywilizować, a postęp wszelki stałby się niemożebnym. Nie można więc szukać w tym fakcie źródła krzywdy i niesprawiedliwości, owszem błogosławić go chyba należy, boć to jest jednym ze szczęśliwych warunków życia społecznego, że w nor-

malnym jego stanie człowiek nie może już pracować sam dla siebie jedynie, ani sam spożywać wszystkiego co wytworzył, a zawsze część pracy jego musi iść na korzyść innych. Więc istniejący w społeczeństwie fakt wytwarzania nadwartości łatwo wytłómaczyć, tylko tak po prostu jego biorąc powrócić trzeba do pospolitéj, dawniejszéj definicyi kapitału jako nagromadzonych i niespożytych wartości; Marx zaś temu właśnie przeczy i w szeregu argumentów jego przeciwko kapitałowi wyrabianie nadwartości przybiera stanowisko najważniejsze, dla tego jedynie, że filozof ilustruje go rachunkiem i wylicza dokładnie że połowa dnia roboczego odpowiada zarobkowi rzuconemu wyrobnikowi jak odczepne, a drugą połowę przywłaszcza kapitalista. Jednakże rachunek ten wedle zdania sumiennych krytyków jest zupełnie fantastycznym, jak powiadają Niemcy—z powietrza chwyconym. Opiera się on na fałszywéj metodzie stosowania ogólnych cyfr statystycznych do pojedynczych wypadków. Nie koniecznie więc *połowę* z wyrobionéj wartości zabiera sobie kapitalista na konto należnego mu zysku, jednakże bierze niewątpliwie tyle ile *wziąść może*; ale zaprzeczyć niepodobna, że mu się część i to dość znaczna nowowytworzonéj wartości należy zupełnie sprawiedliwie. W mistyczném swém pojmowaniu wartości Marx najwyżéj podnosi siłę roboczą w wyrób wcieloną. Czy to rzecz słuszna? Wszak stu robotników pracujących nie będą jeszcze stanowili fabryki; żeby ich praca mogła wytworzyć to do czego zdolna, trzeba ją rozdzielić, stosownie zgrupować, części z sobą połączyć i tak użyć siłę każdego człowieka iżby ona z siłami innych składała się w pewną całość, trzeba fabrykę zorganizować, każdemu wyznaczyć miejsce i czas roboty, dać w rękę narzędzie i materyał, powiedzieć co ma robić; żeby wyrobiony produkt był rzeczywiście wartością a nie tylko kawałkiem obrobionéj materyi, trzeba obmyślić co z nim zrobić, znaleść tych co go potrzebują i puścić go w obrót handlowy. Otóż wszystko to robi kapitalista-przedsiębiorca, i za to ma prawo do znacznéj części wartości wytworzonéj przecież głównie wskutek jego pracy organizującéj, porządkującéj, o wiele więcéj wartéj aniżeli mechaniczny ekspens siły muskularnéj. Bez téj płodnéj czynności kapitalisty nie istniałaby fabryka, a zatém nie byłoby produktu a przynajmniéj na wyrobienie jego potrzebaby było znacznie więcéj pracy, którаby już przez to samo znacznie mniéj na swoję korzyść wziąśćby mogła. Powiadają socyaliści, że to łatwo zrobi każdy na miejscu kapitalisty; nam się zdaje że nie tak łatwo, bo widzimy wielu przedsiębiorców którzy powodzenia nie mają dlatego, że organizować i porządkować nie umieją, widziano téż wiele nieudanych prób warsztatów urządzanych przez robotników na zasadach wspólności, war-

sztatów współdzielczych (coopératifs), a znawcy twierdzą, że przedsiębiorstwa podobne robotników nieudawały się dla tego, że nie umieli między sobą się urządzać, porządku należytego utrzymać, a nieufność i zazdrość prędko rozprzęgały dzieło rozpoczęte pod hasłem wspólnego interesu. Są więc przyczyny słuszne zupełnie, przynajmniéj przy dzisiejszym porządku społecznym i przy wiadoméj nam dzisiaj naturze człowieka, które uprawniają kapitalistę przedsiębiorcę do pobierania dla siebie części sprodukowanéj wartości. Jaką ma być ta część, tego obliczyć, jak się nam zdaje nikt nie potrafi, właśnie dla tego, że niemamy jednéj miary do mierzenia wartości a żywioły składające się na jéj wytworzenie są tak zmienne, iż wyliczenia próbować nie można nawet oddzielnie w każdym pojedyńczym wypadku.

Dzisiaj owe części udziału w wartości każdego z czynników wytwórczych określa umowa, a chociaż sumiennie nie można jéj nazwać doskonale wolną, zawsze jednak swobodę jéj formalną zagwarantowano prawem i dlatego jest ona o wiele sprawiedliwszą, a dla robotnika korzystniejszą, aniżeli poprzedzające dzisiejszą erę ekonomiczną formy korzystania z pracy robotników jak niewola lub poddaństwo, a nawet cechy rzemieślnicze w średniowieczném ich znaczeniu. Na warunki umowy wpływa dzisiaj koniecznie stosunek siły gospodarskiéj jaką rozporządzają strony umawiające się, to jest ilość posiadanych przez nie środków, inaczéj mówiąc pieniędzy albo własności w ogóle. Naturalnie że bogaty zajmuje tu korzystniejsze stanowisko aniżeli ubogi, i dlatego warunki umówione najczęściéj, pono zawsze, wypadną na korzyść bogatszego. Stosunek ten rozmaitego posiadania opiera się na prawie własności, a ponieważ socyalistom chodzi o zmianę w stosunku, przeto powstają na prawo własności i chcą je przekształcić albo znieść zupełnie.

Roztrząsanie téj sprawy zmusiłoby nas do opuszczenia sfer ekonomicznych i zaprowadziło zbyt daleko, do traktowania kwestyi prawa i jego źródeł; zaznaczyć tylko w tém miejscu możemy, że jakkolwiek dzisiaj mało kto już twierdzić będzie jakoby własność była koniecznością prawa natury, jednakże wszyscy wogóle, oprócz socyalistów, zarówno uczeni jak praktycy przyznają: że prawo własności jest instytucyą, która się przyjęła i wykształciła u wszystkich cywilizowanych lub cywilizujących się narodów, bo odpowiada naturze człowieka i godzi się z nią doskonale, a doświadczenie nas uczy, iż ono lepiéj niż inne urządzenia zabezpiecza porządne utrzymanie i ustawiczne zwiększanie się wszelkich dóbr stanowiących gospodarstwo zarówno prywatne jak i społeczne. Nie zdaje się więc nam, że

by możebném było zniesienie instytucyi na mocy składanych przeciwko niéj przez socyalistów dowodów, chociażby ich pretensye sformułowane były w daleko zrozumialszy sposób, niż definicye i dyalektyczne onych obrabianie; świadectwa zaś oparte na faktach historycznie stwierdzonych dowodzą tylko, że żadna instytucya ludzka doskonałą nie była i zapewne nie będzie.

W skreślonym przez Marxa obrazie kapitał wygląda wstrętnie, ale wrażenie to, daje nam fałszywy koloryt którym cały obraz zabarwiony. Marx często się zastrzega przeciwko temu, jakoby potępiał kapitalistów, on tylko opisuje ewolucyą kapitału i to kapitału dużego, silnego, operującego w przemyśle wielkim; jednakże odrywając pojęcie kapitału od człowieka który nim rozporządza, traci z oczu grunt faktyczny, abstrakcyi swojéj nadaje wszystkie cechy jednego tylko, w ogólnym obrocie ekonomicznym mniéj poważnego, gatunku kapitału, tego mianowicie, który alimentuje spekulacyą giełdową, a któremu właściwém jest ustawiczne, gorączkowe i nigdy nienasycone ubieganie się za zyskiem, bez względu na krzywdę ludzką i bez ścisłego przestrzegania prawa o szanowaniu cudzéj własności; skoro już pojęcie kapitału ubrał w szaty dzisiaj tak często brukane wciela weń napowrót kapitalistę przedsiębiorcę i pokazuje go nam w odzieniu, które w największéj liczbie wypadków nie jest jego własnem. Prawdą jest że kapitalista w dość wysokim stopniu panuje nad robotnikiem, który mu wynajął nierozłącznie z osobą swoję robotę, a wynajął, bo niema żadnego innego źródła dochodu, więc często zmuszonym jest przyjmować ofiarowane sobie, chociażby mniéj korzystne warunki, i musi pracować wedle woli i wskazówek tego kto mu płaci; jednakże ta siła panowania i wpływ na los robotnika nie zależą jedynie tylko od samego posiadania kapitału, warunkiem ich jest połączenie w jednéj osobie prawa własności do kapitału z wolą podejmowania pracy rozumnéj. Skoro zaś rzeczom przywrócimy ich naturalny koloryt, i w stosunki ludzkie wstawimy napowrót, wyrzucone z nich w dyalektyce filozofa, warunki życia i wszelkiego rozwoju—rozum i wolę, powracamy na grunt realny a na nim znajdziemy wielką dozę złego i wszelkiéj niesprawiedliwości, ale znajdziemy zarazem to co zawsze i wszędzie było na złe lekarstwem, od niesprawiedliwości ratunkiem: zdolność i chęć poprawiania i doskonalenia.

Jak dalece fałszywą i zgubną jest metoda zbyt abstrakcyjnego traktowania pojęć ekonomicznych, i próby zamykania ich w formuły, przekonać nas mogą dwa przykłady. Szkoła manczesterska, w uwielbieniu dla swobody, w miłości platonicznéj do pracy i jéj owoców, zagarnęła w swém uścisku wszelki kapitał

okrywając go nietylkalną flagą zasługi — chociażby on z rabunku wypływał; i oto na mocy tychże formuł, nieprzyjaciel kapitału wielkiego wyprowadza konieczność zniszczenia go, a zarazem i wszelkiéj własności osobistéj, zapominając, że jeżeli istnieje własność wielka narażająca ludzi na pokusy nadużywania siły, którą z niéj czerpią, to przecież prawo własności ochrania zarówno i własność małą, ten przedmiot pragnień i krwawych usiłowań wszystkich maluczkich tego świata, ten port bezpieczeństwa, do którego zdążyć jest najulubieńszą myślą, najgorętszą żądzą wszystkich wyrobników.

A. Oskierka.

Z dziejów wewnętrznych Polski

ZA KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA.

(*Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta* (1764—1794). Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego przez *Tadeusza Korzona*. Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków, 1882, tom I, str. 502).

Chociaż Polskę ośmnastego stulecia badano u nas stosunkowo gruntowniéj niż okresy dawniejsze i niejednę stronę jéj życia wysondować zdołano głębiéj,—brakło nam przecież dotychczas przybliżonego nawet wymiaru tych sił materyalno-moralnych, od których zawisł rozkwit lub upadek narodu. Znany zaszczytnie uprawiacz dziejów powszechnych podjął mozolną pracę względem zapełnienia téj luki i podał: 1) rozległość państwa, 2) ludność z jéj podziałem według wyznań i zajęć, 3) stan rolnictwa i włościan.

Posługując się wypadkami dokonanych już wszędzie pomiarów ścisłych, otrzymał p. Korzon na rozległość Polski z r. 1772—13,300,05 mil kw. (bez Spiża); zabór pierwszy obliczył na 3861,96 mil kw., przez co sprostował błędnie podawane dotychczas cyfry i ustalił liczbę mil kwadratowych geograficznych (9438,09) dla rzeczypospolitéj od r. 1776 do 1792.

Wymierzając rozległość kraju po pierwszym rozbiorze, natrafił p. Korzon na wątpliwość, czy cała późniejsza rzeczpospolita krakowska, zawierająca 19½ mil kw., należała po r. 1772 do Polski. Ze studyów nad wiekiem ośmnastym pozostało autorowi „wrażenie, że granica austryacka była do miasta Krakowa *bardzo blisko* posunięta“ i dla tego uznał za rzecz właściwą niecałe 19½, lecz tylko 9,04 mil geograficznych z obszaru przyszłéj rzeczypospolitéj krakowskiéj pozostawić przy Polsce (str. 55). Że, nie zmniejszając działu austryackiego (1508,75) o mil 10, a nie powiększając obszaru Polski (9438,09) o tyleż, uczynił p. Korzon dzięki „wrażeniu“ owemu do-

brze,—możemy to stwierdzić faktami. W artykule II traktatu z d. 18 września 1773 roku powiedziano, że do Austryi należeć będzie „brzeg prawy Wisły od Szląska aż do Sendomirza“ *etc.* (1). Przy rozgraniczaniu powstał spór o Kazimierz: myśmy dowodzili, że „Wisła jest granicą Polski tak, jak dziś idzie, a nie jak przed wiekiem szła, a zatém miasto Kazimierz, pod Krakowem między starą i nową Wisłą leżące, przez dwór wiedeński zabrane, do Polski wrócić się powinno;“ minister wiedeński znów twierdził, że Kazimierz „po prawéj ręce staréj Wisły leżąc,“ powinien należéć do Austryi. Stanęło na tém, że artykułem IV konwencyi z d. 9 lutego 1776 r. Kazimierz przyznano Polsce „a w zamian za tak ważną cesyę cesarzowa jejmość królowa posiadać będzie z połową koryta Wisły wszystkie wyspy“ (2). Nietylko przeto Podgórze, ale i wszystkie wyspy na Wiśle znajdowały się w kraju „cesarskim.“

W roku elekcyi Stanisława Augusta znajduje autor w Polsce (bez Kurlandyi) 11 do 11½ milionów ludności; w r. 1776—7,400,000; w r. 1791 — 8,790,000. Podana niżéj tabliczka (obacz stronę następną) przedstawia ludność Polski z r. 1791 według stanów i wyznań.

Że podane przez p. Korzona cyfry pretensyi do matematycznéj ścisłości rościć nie mogą,—przyczyną tego skąpy materyał; szkoda jednakże, że dla niektórych pozycyi nie znajdujemy motywów wcale, dla innych znowu znaleźliśmy dość słabe. Nie wymotywował autor 100,000 roskolników (str. 228), tyluż ormian, greków i bojarów (str. 228, 246 i 312), 2,000 cyganów (str. 246), 10,000 holendrów (str. 313), a rachunek duchowieństwa nie wydaje się nam dość ścisłym.

Dowiaduje się p. Korzon z Holsche'go, że w prowincyi Südpreussen około r. 1800 było duchowieństwa zakonnego 1954 osób; z ukazu zaś o zwinięciu wielu klasztorów katolickich z d. 19 lipca 1832 r., że w 300 klasztorach gubernii zachodnich, oraz mohilewskiéj i witebskiéj, mogło być około 2,400 osób. Razem tedy obie prowincye wynoszą około 4,400 osób. „W każdym razie—powiada autor — przypuszczamy, że w r. 1791 zakonnego duchowieństwa mogło być w Polsce owoczesnéj około 5,000 osób.“ Na duchowieństwo świeckie rachuje najwięcéj drugie tyle; więc ogół duchowieństwa katolickiego według obliczeń p. Korzona wynosić może „najwięcéj 10,000 osób w granicach pierwszego rozbioru“ (str. 161, 162).

---

(1) Vol. leg. VIII, 16.

(2) Mowa JW. Imci xiędza Andrzeja Młodziejowskiego biskupa poznańskiego i warszawskiego, kancl. w. kor. na sesyi sejmowéj 10 Septembra, 1776 r. miana. Ob. *Zbiór mów różnych w czasie dwóch seymów ostatnich roku 1775 y 1776 mianych.* Poznań, 1777. T. II, str. 167.

Podział ludności podług stanów i wyznań (przybliżony).

Nazwy grup stanowych		Katolicy	Unici	Nieunici	Protestanci	Starozakonni	Raskolnicy	Mahometanie	Ogół stanów
Duchowieństwo		10,000	40,000		?	?	. . .	. .	50,000
Szlachta	ziemianie	318,000	?	?	?	—	—	?	725,000
	dzierżawcy, oficyaliści etc.		?	?	?	—	—	?	
	szaraczkowi	407,000	?	?	—	—	—	—	
Naród tatarski		—	—	—	—	—	—	50,000	50,000
Mieszczanie-chrześcijanie			350,000		150,000	—	—	—	500,000
Naród żydowski		—	—	—	—	900,000	—	—	900,000
Ormianie, grecy, bojarowie			100,000		—	—	—	—	100,000
Raskolnicy		—	—	—	—	—	100,000	—	100,000
Włościanie	Holendry . . . 10,000	3,465,000	2,600,000	300,000	—	—	—	—	6,365,000
	Włościanie wolni . . . 1,000,000								
	Poddani ekonomii . . . 190,000								
	„ starostw . . . 840,000								
	„ dóbr duchownych . 860,000								
	„ „ dziedziczn. 3,465,000								
Ogół podług wyznań (z doliczeniem 30,000 Ormian)		4,660,000	2,600,000	300,000	150,000	900,000	100,000	50,000	8,790,000

Obliczając duchowieństwo w granicach pierwszego rozbioru, uwzględnił p. Korzon tylko prowincyę Südpreussem i gubernie zachodnie (wraz z gubernią mohilewską i witebską), pominął zaś Neu-Ostpreussen (z wyjątkiem obwodu białostockiego, który w czasie ukazu z roku 1832 należał do Rosyi), Neu-Galicien, oraz tę część trzeciego zaboru (część województwa krakowskiego i księstwo siewierskie, około 41 mil kw.), którą przyłączono do Szląska. *Zdaje się, że* dla dwóch pierwszych prowincyi możnaby dokompletować cyfry ze statystyki duchowieństwa na rok 1820, podanéj w *Pamiętniku warszawskim* roku 1821 (tom XX, str. 474 — 487). Prowincya Neu-Ostpreussen odpowiada województwom królestwa kongresowego: augustowskiemu i płockiemu, czyli dyecezyom (rozległość których równała się rozległości województw): augustowskiéj i płockiéj. Prowincya Neu-Galicien odpowiada dyecezyom: krakowskiéj, sandomierskiéj, podlaskiéj i lubelskiéj, bez téj części pierwszego austryackiego zaboru, którą nazwano okręgiem zamojskim. W dyecezyach prowincyi Neu-Ostpreussen naliczyliśmy według wykazu z r. 1820 zakonników 231; w odpowiadających prowincyi Neu-Galicien (wraz z okręgiem zamojskim) znaleźliśmy ich 578, razem zakonników rzymsko-katolickich 809. Jest-to jednak dla owych prowincyi liczba zamała z uwagi, że na zasadzie bulli Piusa VII z r. 1819 w odnośnych dyecezyach kilkanaście klasztorów zniesiono; należałoby przeto i te uwzględnić i zawartą w nich liczbę zakonników dodać do sumy 809. Że jednak p. Korzon do liczby duchowieństwa w granicach Polski z r. 1791 zbytecznie wcielił kler gubernii mohilewskiéj i witebskiéj, dla kompensaty przeto możnaby owych niedoliczonych zakonników w skasowanych klasztorach pominąć i utrzymać cyfrę 809. Wypadałoby jeszcze odjąć od téj cyfry zakonników okręgu zamojskiego, a dodać zamieszkałych w téj części trzeciego zaboru (część województwa krakowskiego i księstwo siewierskie), którą przyłączono do Szląska; sądzimy jednak, że i w tym razie kompensata znacznéj różnicy nie zrobi, z powodu czego utrzymujemy liczbę 809. Z dodania téj liczby do cyfr Holsche'go i ukazu z r. 1832 (1954+2400) wypadłoby 5163 zakonników w granicach pierwszego rozbioru. Duchowieństwa świeckiego było chyba więcéj, niż tamtych. W Neu-Ostpreussen i Neu-Galicien naliczyliśmy 1009 parafii (Neu-Galicien 656, Neu-Ostpreussen 353), a księży świeckich (z seminarzystami) 1888, a więc tych ostatnich o 1079 więcéj, niż zakonników. Oczywiście stosunek ten musi się zmienić, jeżeli się weźmie na uwagę zakonników w klasztorach zniesionych w r. 1819; pomimo tego sądzimy, że liczbę księży należałoby podnieść o połowę przynajmniéj. Śmiemy przeto zaproponować na duchowieństwo świeckie 7,500 osób, które z 5,000 zakonników

p. Korzona utworzą ogólną liczbę duchowieństwa w granicach pierwszego rozbioru 12,500 osób. Podany przez nas rachunek pretensyi do nieomylności rościć nie może; trudno bowiem z prowincyi pruskich i galicyjskich dyecezye królestwa kongresowego wydzielić ściśle; dwukrotna kompensata cyfr również na dokładność wpłynąć dobrze nie mogła.

Do obliczeń Zieleńskiego (z r. 1864) szlachty drobnéj w gubernii mińskiéj (str. 193) dla powiatu borysowskiego przydałyby się cyfry Tyszkiewicza z r. 1847. Wymienia on okolice (Łozino, Domarze, Domarzany, Skuraty, Dziadziuszki), które Zieleński pominął; podaje liczbę szlachty okolicznéj i czynszowéj: mężczyzn 1450, kobiet 1492; odnodworców mężczyzn 1164, kobiet 1198 na 904 obywateli (i 720 kobiet), posiadających dobra ziemskie z chłopami (1). Wcześniejsze i dokładniejsze, niż p. Glogera, są dotyczące powiatu telszewskiego cyfry Gadona. Było tam według popisu z roku 1834 szlachty mężczyzn 5623, kobiet 6154; odnodworców mężczyzn 2374, kobiet 2559; grażdan mężczyzn 173, kobiet 167. Wymienia Gadon 120 szlacheckich okolic i podaje zawartą w nich liczbę dymów (2). Mylném jest zapewnienie autora, że Wielkopolska „nie posiadała w końcu XVIII wieku *żadnych* osad ani zaścianków“ szlacheckich (str. 100); że należała ona do tych prowincyi, w których według Holsche'go drobnéj szlachty nie było *wcale* (str. 101): wszakże sam p. Korzon w przedrukowanéj z *Obrazu* Rodeckiego tablicy (str. 104) podał na województwo kaliskie części szlacheckich 212. Zamiast omówienia, że „w ziemi dobrzyńskiéj i (*sic*) lipnowskiém Prusacy znaleźli mało szaraczków“ (str. 101), — lepsze są cyfry z r. 1825, według których w obwodzie lipnowskim (mil kw. 53) znajdowało się wsi drobno-szlacheckich 59, dymów 820 (3). Nadto w ziemi wyszogrodzkiéj (mil kw. 10½) znajdowało się w r. 1823 wsi drobno-szlacheckich 14 (4) Skoro p. Korzon nader pilnie gromadził szczegóły, dotyczące unitów, nieobojętną zapewne będzie wiadomość, że od r. 1768 do 1775 współcześni liczyli 1200 cerkwi oderwanych od unii (5). Zapóźną była dla pracy p. Korzona opinia generała Dren-

---

(1) Tyszkiewicz. Opisanie powiatu borysowskiego. Wilno, 1847.

(2) Gadon. Opisanie powiatu telszewskiego w gub. kowieńskiéj, w dawném księstwie żmujdzkiém położonego. Wilno 1846.

(3) Gawarecki. Opis topograficzno-historyczny ziemi dobrzyńskiéj. Płock, 1825, tablice.

(4) Tenże. Opis topograficzno-hist. z. wyszogrodzkiéj. Warszawa, 1823.

(5) Mowa Jerzmanowskiego na sejmie z r. 1775. Ob. *Zbiór mów różnych w czasowóch seymów ostatnich r. 1775 y 1776 mianych.* T. I, 182.

telna w kwestyi czynszowéj z d. 8 kwietnia 1882 r., według któréj w dzisiejszych guberniach: kijowskiéj, podolskiéj i wołyńskiéj było w r. 1879 szlachty czynszowéj 24,406 głów, rozsiadłych na 3246 sadybach; a nieszlachciców czynszowych 242,578 głów na 43,252 sadybach, zawierających 207,056 dziesiatyn gruntu (1).

Główniejsze grupy wyznaniowe (protestantów, dyzunitów, unitów i żydów) charakteryzuje p. Korzon trafnie; jedynie prawne stanowisko dyssydentów określone zostało mylnie.

Nie rozumiemy, dla czego autor rok 1668 uważa za moment, w którym „przyjęto (u nas) zasadę przyprowadzenia prawosławia do jedności z katolicyzmem“ (str. 182); odmówić zaś trzeba trafności niektórym z uwag, dotyczących dyssydentów w XVIII stuleciu. „Wiadomo — powiada p. Korzon — że w wieku XVIII, od r. 1718, kiedy dyssydent Piotrowski został wypędzony z izby poselskiéj, prawa polityczne, zasiadanie w senacie i posłowanie na sejmach było przyznawane tylko obywatelom wyznania katolickiego; dyssydenci zaś mieli sobie zapewnioną tolerancyą tylko w zakresie ustaw religijnych i prawa cywilnego“ (str. 172). Opowiada następnie autor o konfederacyi toruńskiéj, słuckiéj i barskiéj (zamiast radomskiéj chyba), o interwencyi Rosyi i konkluduje: „dyssydenci wszakże *nic* na tém (t. j. na konfederacyach i interwencyi) nie zyskali: ani traktaty podziałowe, ani delegacya 1773 do 1775 r. nie przypuściły ich do równouprawnienia politycznego“ (str. 173).

Od r. 1718 t. j. od wypędzenia z izby Piotrowskiego dyssydenci nie zasiadali na sejmach faktycznie, prawo jednak w tym względzie zapadło dopiero na konwokacyi w r. 1733: „aby tylko w izbie poselskiéj, w trybunałach i na komisyach *activitatem*, tudzież zjazdów swoich prywatnych *seu conventicula*, prawami zakazanych i urzędów koronnych, litewskich, wojewódzkich, ziemskich i grodzkich nie mieli“ (2). Prawa więc polityczne stracili dyssydenci dopiero w r. 1733, a tolerancyę w zakresie ustaw religijnych odmówioną mieli daleko wcześniéj, bo ostatecznie na sejmie w r. 1717, który nakazał zbory, po r. 1674 wystawione, zburzyć, „i tym, którzy rozmaite zdania około wiary trzymają, żadnych schadzek, zgromadzenia publicznego albo prywatnego miewać i na nich kazania i śpiewania gromadnie odprawować nie będzie się godziło“ pod karą pieniężną, następnie więzienia, w końcu wygnania (3). Na konfederacyach: toruńskiéj, słuckiéj i interwencyi Rosyi dyssydenci zyskali dużo, skoro sejm z r. 1768 deklarował ich „być *capaces* do

(1) Reforma z r. 1882, Nr. 154.
(2) Vol. leg. VI. 286. — (3) Tamże. VI. 124.

wszystkich urzędów koronnych i w. ks. litewskiego dostojeństw senatorskich, ministrowskich, dygnitarstw koronnych i ziemskich, funkcyi trybunalskich i komisarskich, poselstw zagranicznych i sejmowych i wszelkich, jakie być mogą, innych łask" (1). Dopiero sejm delegacyjny moderuje konstytucyę z r. 1768 w ten sposób, że greków nieunitów i dyssydentów wyłącza „od senatu i *a ministerio* w Koronie i Litwie," a w izbie poselskiéj trzem tylko dyssydentom pozwala zasiąść (2). Wobec tego przestaje być dziwném, że ewangelik Grabowski zasiadał na sejmie w r. 1784, a jego synowiec na sejmie wielkim (str. 176); mając na uwadze konstytucyę z r. 1768 łatwo również zrozumiéć, dla czego konfederacya barska „wzięła sobie za hasło nietylko wolność, ale též wiarę" bez wyjaśnień „o jaki to dogmat, o jaki członek Składu apostolskiego chodziło jéj w tym razie" (str. 198). Słusznie uważa p. Korzon, że hasło religijne nie wyszło od Adama Krasińskiego (str. 199), nie dowodzi to jednak, żeby biskup do wyzyskiwania w celach politycznych instynktów mas szlacheckich wstręt żywił.

Zgadzając się wogóle na podaną przez autora charakterystykę stanów, manifestujemy się tylko przeciwko określeniu prawnéj pozycyi drobnéj szlachty.

Powiada p. Korzon, że do księgi ziemiańskiéj „wpisywać należało tylko posesyonatów t. j. właścicieli dóbr albo dzierżawców i zastawników, opłacających podatek ofiary, bo tacy tylko mieli wstęp i głos na sejmikach. Tym sposobem do księgi ziemiańskiéj nie wpisywano ani szlachty pomniejszych fortun, do 10 dymów liczących, ani nawet rodzin owéj zamożniejszéj klasy, posesorów większéj własności ziemskiéj" (str. 89). I na pierwszą i na drugą część orzeczenia zgodzić się trudno. Prawo o sejmikach z d. 24-go maja 1791 r. w § IV pomiędzy innemi powiada: „miejsce i głos na sejmikach mają w swoim powiecie. . . wszyscy dziedzice szlachta, *jakikolwiek* z swego dziedzictwa ziemskiego i z posesyi swoich dóbr tejże natury, *in potioritate* mianych, podatek do skarbu rzeczypospolitéj opłacający." Nie masz przeto w prawie warunku, że dla zyskania głosu na sejmikach dziedzic ofiarę opłacać, a więc najmniéj 10 dymów posiadać musi; zastawnicy jedynie i posesorowie dożywotni dla dostępu do owéj funkcyi obowiązani byli podatku dziesiątego grosza składać sto złotych. Jeżeli dziedzice, *jakikolwiek* opłacający podatek (a więc podymne), mieli prawo wotować, to tém samem mieli możność i do księgi ziemiańskiéj się wpisać. Posiadali toż prawo: synowie niewydzieleni za życia rodziców i bracia ro-

(1) Vol. leg. VII. 269, 279. — (2) Tamże. VIII. 47, 48.

dzeni, po ojcu dziedzictwo mający, jeszcze niedzielni, albowiem i oni od wotowania usunięci nie byli. Okoliczność ta inaczéj każe patrzéć na podaną przez Czackiego niekompletną cyfrę osób (38,814), wpisanych do księgi ziemiańskiéj w koronie w r. 1791. Pan Korzon widzi w niéj jedynie ziemian zamożnych, posiadających więcéj nad dziesięć dymów (str. 92); kiedy tymczasem mieścić się w niéj mogą i zagonowcy, mniéj niż dziesięć dymów mający. Stąd wniosek, że cyfra Czackiego o liczebnym podziale szlachty na zamożną i ubogą decydować nie może. Wobec powyższego mylném się również okazuje twierdzenie p. Korzona, że stronnictwo reformy na sejmie czteroletnim „szlachty zagonowéj nie brało wcale w rachubę przy układaniu projektów nowego rządu, usunęło ją od sejmików, nie wspomniało o niéj wcale w ustawie rządowéj 3 maja, jednném słowem unicestwiło ją w życiu publiczném“ (str. 271). Stronnictwo reformy usunęło od sejmików tylko szlachtę bez posesyi i na cudzych siedzącą gruntach; nie uwłaczało przeto szarakom mazowiecko-podlaskim, mającym własność; nie unicestwiło ich politycznie, skoro w ustawie 3 maja podciągnięci zostali pod ogólną kategoryą szlachciców.

Ogólną produkcyę zbożową Polski w granicach pierwszego rozbioru oblicza p. Korzon na 76,000,000 korcy (str. 335); z dużą erudycyą określa stan włościan i usiłowania ku polepszeniu ich bytu. Stwierdza autor istnienie w rzeczypospolitéj grupy włościan „wolnéj, nie skrępowanéj więzami poddaństwa,“ do któréj należeli: holendrzy, koloniści, okupnicy, posiadacze emfiteutyczni, czynszownicy, budnicy, rudnicy, bojarowie, parobcy i komornicy (str. 348), lecz położenia wszystkich kategoryi, a więc i zachodzących pomiędzy niemi różnic określić nie umiał. Zdaje się, że nie ma racyi do odróżniania od siebie: kolonistów, posiadaczy emfiteutycznych i holendrów i do wyczyniania ostatnich z masy na téj zasadzie, że byli Niemcami i że—jak twierdzi p. Korzon—siedzieli na prawie niemieckiém. Nazwa *holendrzy* niekoniecznie każe domyślać się Niemców,—oznacza raczéj pewien typ włościan wolnych, stworzony w wiekach dawniejszych przez przybyszów z zachodu, lecz zaaklimatyzowany i rozszerzony z czasem na ludność polską. Dla scharakteryzowania tak zwanych holendrów, czyli kolonistów, którzy niczém innéin nie byli, jak czynszownikami czasowymi a w części i wieczystymi,—podajemy treść kontraktu z d. 24 czerwca 1791 r., zawartego z gospodarzami rumunków, leżących w kluczu włocławskim, w dobrach stołowych biskupstwa kujawskiego. „Ci gospodarze—powiada kontrakt—niżéj z imion i przezwisk wyrażeni, ponieważ sami za pozwoleniem zamkowéj zwierzchności grunta sobie

wydobyli i na tych gruntach budynki powystawiali,—przeto, ażeby od nikogo rugowanémi być nie mogli, owszem, zachęcając tych do wydobycia więcéj i wybudowania się lepiéj,—czyni się z nimi ordynacya i ustanowienie.“ Na czterech rumunkach: Józefowie, Radoszynie, Oszczywilku i na Papiesce trzynastu gospodarzy wyrobiło gruntu 141 morgów, 275½ prętów. Na jednego wypadało *maximum* 23 morgów, *minimum* 225 prętów. Opłacali z morgi po złotych trzy i pełnili robociznę rocznie: posiadający mniéj niż mórg, jeden dzień sprzężajny, jeden dzień pieszo; mający wyżéj nad mórg—4 dni sprzężajne i pieszo: od 5 mórg dzień jeden, od 6—dwa, od 7—trzy i t. d. Pieniądze wypłacali na św. Marcin; robocizna sprzężajna polegała na zwożeniu drzewa lub orce; piesza trwała od poranku do wieczora. Oprócz tego 1) obowiązani byli na wypadek zgorzenia budowli dworskich własnym sprzężajem do zwózki drzewa i 2) do naprawy wskazanéj grobli; 3) nie wolno im było bez wiedzy wierzchności do rumunku nikogo przypuszczać i sprzedawać gospodarstw; 4) z karczem postronnych nabywać trunków; 5) obowiązani byli wszelkie opłacać podatki; 6) mogli sobie więcéj przyczynić łąk i gruntów za opłatą trzech złotych od morga, ale 7) niewolno zdatnych do budowli wycinać sosen. Sołtys, ustanowiony dla czuwania nad porządkiem i kontrolowania obowiązków, od robocizny był wolny.

Tego rodzaju typ włościan spotykamy i w dobrach królewskich. Według lustracyi z r. 1564, 1602, 1620 i 1630 kmiecie wsi Jaktorowa, należącéj do starostwa sochaczewskiego „niewinni żadnych robót, ani zaciągów stroić, bo tak tutaj są zasiedli, tylko winni są przewody, gdzie im jedno każą: do Piotrkowa, do Radomia, do Sochaczewa i do Torunia winni wóz wyprawiać pod rzeczy, któreby starosta kupował na swą albo na zamkową potrzebę na jarmarku toruńskim. Łąki, których tam jest wiele, wszyscy na czas w pogodę sprzątnąć winni, toż winni w zimie wozić siano turom do puszczy, gdzie łowczy rozkażą i świni pańskich przyglądać w zimie... Kmiecie z téj wsi dawają dań na zamek sochaczewski na każdy rok na dzień św. Marcina: 1) owsa dannego korcy sześć miary wierzchowatéj sochaczewskiéj, które sześć korcy wierzchowate czynią strychowanych targowych dziewięć; 2) gęsi dawają po jednéj z włóki; 3) kurów prostych par dwie z włóki; 4) jaja z włóki dają par dwadzieścia... Mają prawo za daninę jednego kapłona z domu brać z puszczy żerdzie do grodzenia płotów około rzepy i ogrodów, łuczywo kopać i na potrzebę z puszczy używać.“ Przywiązani do ziemi nie byli, znamy bowiem cesye praw emfiteutycznych, przez jaktorowskich czynione kmieciów.

Tak samo jak wolnych, nie określił p. Korzon dokładnie położenia i kmieci, przywiązanych do ziemi w królewszczyznach, dobrach duchownych czy ziemskich. Użyty przez autora materyał z broszur okazuje dowodnie, że włościanom w ośmnastym wieku było niedobrze, lecz nie maluje istotnego ich stanu. Obok rysów, zaczerpniętych z prac publicystycznych, godziło się zajrzéć do lustracyi królewszczyzn i inwentarzy, które obowiązki kmieci wyszczególniają dokładnie. We wsi Łagiewnikach, do starostwa kowalskiego należącéj, według inwentarza z d. 17 marca 1783 r. gospodarze rolnicy odrabiali tygodniowo bydłem dzień jeden, dawali rocznie owsa miary warszawskiéj korzec jeden i ćwierć jedną, kapłona, kurę i jajec ośmnaście; gospodarze półrolnicy odrabiali tygodniowo pieszo dzień jeden składali rocznie owsa dwie ćwierci i cztery garnce, kurę i jajec dziewięć. Komornicy bez ról, pomieszkanie tylko mający „gdy im dwór do przysiania zboża gruntu swojego pozwala,—tedy za użytek jego, jako i pozwolenie pomieszkania, pomoc pielenia ogrodów, grabienia siana, sprzęt drobiazgów i inne, ile być może, czynić powinni dworowi usługi.“ „Oprócz wyżéj wyrażonéj pańszczyzny—powiada inwentarz—wszyscy ludzie: rolnicy, półrolniki i komorniki w czasie żniw odrabiają do dworu tłók dwie, na które tyle ludzi każdy gospodarz i komornik wysyłać powinni, ile ich miéć może do roboty w domu swoim zdatnych do tego. Ciż gospodarze rolniki i półrolniki wszystkie w ziarnie zboża, ile ich dwór mieć może, swoim sprzężajem do rzeki Wisły tam, gdzie ich skład upatrzony będzie, wywozić są obowiązani... Nadto wszyscy gospodarze i komorniki do pielenia pszenicy i prosa, kopania rzepy jednego robotnika z domu posyłać i w trzodzie swojéj świnie dworskie pasać zwykli.“ Obok tego wszystkiego rolnicy i półrolnicy obowiązani byli odbywać na dworze straż dzienną i nocną.

Kmiecie w Kaskach (starostwo sochaczewskie) obowiązani byli w r. 1791 z każdéj włóki do:

1) Czterech dni sprzężajem, lub ośmiu dni pieszych na tydzień.
2) Dwóch tłók do żniwa jarego i oziminy.
3) Czterech korcy owsa na św. Marcin.
4) Dwóch gęsi, dwóch kapłonów, jaj 16.
5) Dwóch dróg na rok o mil ośm do wywożenia zboża.
6) Najmu za opłatą dzień jeden w tydzień w potrzebie dworu.
7) Stróży kolejnéj po dwóch ludzi na raz jeden.

Raz zaznacza p. Korzon, że „rzeczywistego wykonania kary śmierci przez dziedzica nad poddanym“ nie znalazł „ani jednego wypadku“ i o pogróżkach tylko obwieszenia czytał dwa razy (str.

357); w inném znów miejscu nie wątpi, że po ogłoszeniu prawa z r. 1768, pozbawiającego dziedziców *juris vitae et necis* „ustało wieszanie i ścinanie chłopów" (str. 376). Wniosek, na ostatniém oparty zdaniu, wyszukanie przykładu dokonanéj kary śmierci przez szlachcica na chłopie czyni możliwém. Jakoż na dworze Radziwiłła był łowczy, który „na osoce i obławie, że ludzie nie dopilnowali zwierza, kilku chłopów zaraz powiesić kazał" (1).

Do tego, co p. Korzon opowiedział o buntach chłopów w r. 1789, dodamy, że wyrazem trwogi, wywołanéj tą sprawą, jest ogłoszony 13 kwietnia 1790 r. *Uniwersał, zlecający dziękować Bogu za ochronienie kraju od buntów, ostrzegający różną wiarę od św. rzymskiey-katolickiey wyznawających, iż wielkich dobrodziejstw podług praw teraz trwających, jako skutek dzieła Rzplitey, doznawać będą.* Obowiązuje on biskupów obu obrządków „aby nakazali duchowieństwu w sposobie do każdego pojętności stosownym jak najczęściéj i najszczególniéj lud oświecać o tych ważnych prawdach, które ich wysokiemu światłu są najlepiéj wiadome: że z mocy religii po Bogu wierność dla swojéj ojczyzny jest powinnością najświętszą; że ci, którzyby pod jakimkolwiek pretekstem zachęcali do buntu... nie są, tylko zdrajcy przeciw Bogu i ojczyźnie..." „Żąda J. K. Mość—głosi uniwersał—żądają skonfederowane rzeczypospolitéj stany, aby JWW. biskupi *utriusque ritus*... za uratowanie Polski od wiszącéj niedawno nad nią buntu poddaństwa klęski Panu Zastępów w jego świątyniach nakazali dzięki." *Uniwersał J. K. Mości w straży względem włościan*, ogłoszony d. 2 sierpnia 1791 r. (2) powiada: „Gdy z niemałym serca naszego ojcowskiego uciskiem dowiadujemy się, iż w niektórych krajów rzeczypospolitéj miejscach pokazują się nieprzyjaciele dobra powszechnego, którzy przez zuchwalstwo lub opaczne opieki rządowéj rozumienie stają się panom swym nieposłusznémi, powinności i danin odbywać wzbraniają się; drudzy, nad nich gorsi, spokojności publicznéj burzyciele, którzy podstępném poduszczaniem i zwodniczemi namowami otwarcie lub w ukrytych sposobach i pod różnemi pozorami lud łudzić, od posłuszeństwa swym panom, od powinności i danin, do których jest obowiązany, odwodzić ważą się;— uznajemy być obowiązkiem naszym i nieuchronną potrzebą ostrzedz wszystkie jurysdykcye, ażeby, pilne na takowe przypadki dając oko, najprzód łagodnością i oświeceniem, a jeśliby te nie były skuteczne,

---

(1) Pamiętniki Marcina Matuszewicza, t. III, str. 85.

(2) Pan Korzon, wziąwszy cyfrę rzymską za arabską, mylnie podał datę 11 sierpnia (str. 365).

władzą każdéj jurysdykcyi, prawami dozwoloną; a gdzieby widzieli trwający opór,—użyciem pomocy wojskowéj włościan w podległości i posłuszeństwie panom swym utrzymali.“ Obostrzono więc czujność względem włóczęgów i ludzi niepewnych; skrupulatnie wymagano od nich paszportów, których blankiety—dla zapobieżenia falsyfikatom—Komisye cywilno-wojskowe przesyłały sobie wzajemnie. W aktach Komisyi cywilno-wojskowéj ziemi gostyńskiéj i powiatu gąbińskiego znajdujemy blankiety paszportów dla żołnierzy „tak komenderowanych, jako i urlopowanych regimentu generał-majora Raczyńskiego;“ paszport wojewódzki powiatów: sieradzkiego i szadkowskiego, województwa płockiego, brzesko-kujawskiego, ziemi wyszogrodzkiéj, ciechanowskiéj i wielu innych. Komisya gostyńska ogłosiła nawet uniwersał z nakazem „aby oprócz drukowanych paszportów, wyjeżdżający za granicę ziemi własnéj swéj jurysdykcyi osobnę na pismach mieli zaświadczenie.“

Nie wszystkie pisma odzywały się podczas powstania Kościuszkowskiego tak życzliwie dla chłopów, jak znana p. Korzonowi broszura p. t. *Głos za włościanami* (str. 459). *Kollator do swego plebana z Warszawy dnia 10 czerwca 1794 r.* (4° bez m., kart. n. 5) pisze, iżby zalecał posesyonatom traktowanie poddanych według ducha naczelnika i rządu tymczasowego rozrządzeń. Ma dołożyć starania, iżby włościanie nietylko o dobrodziejstwie i opiece rządu przeświadczenie mieli najlepsze, lecz żeby i nic nie przedsiębrali takiego, coby nieposłuszeństwa lub zuchwalstwa miało charakter. Niech wie chłop i posesyonat „że to urządzenie tymczasowe jest; że, da Bóg, na sejmie pierwszym nie omieszka naród zastanowić się nad tym istotnym rządu swego artykułem.“ Pan kollator ubolewa, że w Warszawie pod bokiem administratora dyecezyi „znaleźli się mniéj baczni na powołanie swoje pasterze i kaznodzieje, a z tych jedni podobno przez niedostatek nauki, drudzy przez nieznajomość okoliczności, inni przez powzięte uprzedzenia, inni naostatek zbyt daleko swoją gorliwością, bo aż do fanatyzmu zbliżoną, uniesieni,—nie odpowiadali oczekiwaniu zwierzchności swéj, a nawet pogorszenia publicznego byli przyczyną.“ *List Warszawianina do parafianina z powodu hasła narodowego: wolność, całość, niepodległość* (4° bez m., kart n. 4, na końcu: z Warszawy, d. 1 czerwca 1794 r.) dowodzi, że nic bardziéj nie może ducha narodowego ożywić, jak *całość*. O równości—powiada—wypadnie pomyśléć późniéj, gdy do rozwagi więcéj znajdzie się czasu. „Zastanówmy się nad równością, z jednéj strony uwielbioną i upragnioną, z drugiéj przyprawującą o bojaźń i niejaką trwożliwość... Każdy obywatel, który do dobra publicznego przykłada się; który bądź z własności nieruchoméj, bądź z przemysłowéj łoży co-

rocznie cząstkę dorobku swego na utrzymanie rządu cywilnego i siły zbrojnéj,—nabywa prawa obywatelstwa; może bezpiecznie mówić, żem równy, bom wolny i niepodległy nikomu, prócz prawa. Taż równość otwiera mu drogę do reprezentacyi, do urzędów, a uprzedzenia i wszelkie przesądy, z różności urodzenia powzięte, umarza i niszczy... Jasno więc jest, że niekażdy mieszkaniec ziemi naszéj przywłaszczyć sobie może chlubny obywatela tytuł. Pokąd z dorobku rąk swoich lub przemysłu żyjąc, żadną cząstką potrzeb publicznych nie zasila,—mieścić się nie może w liczbie obywatelów.“ Radykalniéj za to żądano ofiar. Kollator chce wieśniaków mustrować i każe im „wsie rogatkami i płotami warownemi zamknąć;“ z zapałem nawołuje do poświęceń *Kazanie w kollegiacie lubelskiéj przez Imci X. Antoniego Stanisława Lewkowicza roku 1794 miane* (4° bez m. kart n. 4).

Zauważymy wreszcie, że *Uniwersał względem nowéj lustracyi głów żydowskich w Koronie* ogłoszony został przez Komisyę skarbu koronnego d. 30 kwietnia 1790 r. i według popisu z tegoż roku (nie 1791) Czacki Karaitów na 4368 osób (2184 mężczyzn i tyleż kobiét) oblicza (1). P. Korzon podaje tylko 4296 (2148 mężczyzn, tyleż kobiét, str. 166). Czy to nie pomyłka przez zamianę liczby 2184 na 2148? Zwłoki Świtkowskiego spoczęły nie „przy kościele św. krzyskim“ (str. 13), lecz na cmentarzu św. krzyskim przy kościele św. Barbary. W murze wschodnim, sąsiadującym z posesyą fabryki Lilpopa i Rau, okalającym ów cmentarz, znajdujemy tablicę z napisem: *R. D. Petrus Świtkowski Presby. saec. an. 49. Obiit 28 Decemb. A. D. 1793.* Do czterech departamentów Rady Nieustającéj (str. 44) dodać należy i piąty—interesów cudzoziemskich. List okolny do komisyi cywilno-wojskowych w sprawie osłonięcia chłopów od nakładanéj na nich przez dziedziców ofiary datowany jest nie 15 (str. 441), lecz 14 kwietnia 1790 r.; ostateczna limita sejmu wielkiego miała miejsce nie 31 (str. 429), lecz 29 maja 1792 r. Winną tego rodzaju usterek jest niewątpliwie korekta, dla któréj niewłaściwie również dzielny Bartłomiéj Głowacki w bitwie racławickiéj wsiadł na działo „pruskie“ (str. 313), a publicysta Karp zamieniony został na Kurpia (str. 409).

Założył sobie p. Korzon wymierzyć siły materyalno-moralne państwa w r. 1790, jakoż badania do następujących doprowadziły go wniosków. „Po pierwszym rozbiorze Polska posiadała terrytoryum, wyrównywające prawie powierzchni Francyi. Ale pod wzglę-

(1) Czacki. O lit. i pol. prawach. Wyd. Turow. II, 231.

dem cech geograficznych wielka zachodziła pomiędzy dwoma tymi krajami różnica... Nie miała Polska odnogi liońskiej i oceanu przy brzegach, z trudnością utrzymała Gdańsk i spław na Wiśle, a i tu komora pruska Fordoń zatrzymywała statki polskie, gnębiła towar cłem wysokiém i szykanami biurokratycznemi. Niemen wpadał do pruskiego hafu. Dźwina należała do Polski jednym brzegiem, a wolna żegluga na niéj utrzymywała się tylko za zgodą Rosyi; rzeki południowe płynęły téż ku obcym krajom; pierwéj tatarskim, potém rosyjskim. Utraciła nareszcie Polska Karpaty, Bochnię i Wieliczkę z ich niezbędnémi kopalniami soli. Pod względem ekonomicznym były to warunki fatalne, pod względem zaś strategicznym cała granica na okół stała nieprzyjacielowi otworem i nie nastręczała Polsce nigdzie obrony naturalnéj." (str. 57). „Pod względem absolutnéj liczby głów dwa państwa posiadały największą, prawie w równéj między sobą mierze: Francya i Rosya. Polska w porównaniu z niémi stanowi zaledwo część trzecią siły mięśniowéj, nie dorównywa nawet Hiszpanii, wszakże przewyższa królestwo pruskie. Gdy zaś uwzględnimy gęstość zaludnienia, czyli stosunek do rozległości, pierwszeństwo sił fizycznych w takim razie przypadnie Francyi.... Siła téż fizyczna Rosyi w porównaniu do Francyi pomimo równości cyfr absolutnych staje w stosunku 1:8. Zaludnienie Polski polepsza znakomicie, bo doprowadza niemal do równowagi stosunek jéj do Rosyi, osłabia przewagę nad Prusami, ale względem Francyi stanowi część prawie trzecią. . ." (str. 170). Z ogólnéj sumy 8,790,000 „przeszło trzecia część ludności zostawała w pętach poddaństwa, prawie jedna dziesiąta (żydzi, ormjanie, grecy) była zupełnie obojętną na losy kraju, prawie dwudziesta piąta część (dyzunici i reskolnicy) żywiła niechętne dla Polski uczucia... Masa blisko 8-milionowa nie miała poczucia obowiązków obywatelskich względem rzeczypospolitéj i uważaną być powinna tylko za bierny materyał... Utrzymanie i ratowanie budowy politycznéj musiało leżéć na stanach wolnych: szlachcie, duchowieństwie i mieszczanach. Razem z Tatarami tworzyła się z nich poważna liczba $1,_3$ miliona, czyli $^1/_6$ całéj ludności. Wszakże nędza i ciemnota spychały szlachtę szaraczkową i niższe warstwy mieszczaństwa na szczebel elementów biernych. Właściwym zbiornikiem czynnéj siły politycznéj była tylko szlachta zamożniejsza i wykształceńsza, duchowieństwo katolickie i po części unickie, oraz wyższa warstwa mieszczaństwa z większych miast królewskich. Wszystkie te grupy utworzą razem... z pół miliona głów płci obojéj, ze ćwierć miliona płci męzkiéj, ze 180,000 mężów, oprócz starców zgrzybiałych i dzieci..." (str. 319). „Nie należy lekceważyć tego półmilionowego zastępu: może on zdo-

być się na wielką żywotność i rozwinąć siłę potężną, jeśli mu dopiszą siły umysłowe i moc charakterów" (str. 320).

Wnioski powyższe oparł p. Korzon na cyfrach i faktach. Fakty czerpał z archiwów, z literatury ośmnastego wieku, z pamiętników i opracowań krytycznych; cyfry wydobył z rozlicznych statystycznych okruchów drogą mozolnych kombinacyi i przez umiejętne stosowanie badawczych metod. Źródłowość i ścisły w pracy p. Korzona krytycyzm wywiodły na jaw dużo rzeczy nieznanych lub sprostowały poglądy mylne, obfitą na dzieje nasze wewnętrzne smugę światła rzucając. Niezgodność z szanownym autorem w szczegółach nie może uchybiać dziełu, które uważamy za kapitalny dla nauki nabytek.

Wł. Smoleński.

PRZEGLĄD

POSTĘPÓW FIZYKI OGÓLNEJ I JÉJ ZASTOSOWAŃ.

„Towarzystwo Brytańskie“ zbiera się na doroczne zjazdy, na których przewodniczący wygłasza przemowę mającą za temat pogląd ogólny na jakąś dziedzinę wiedzy. Ponieważ pogląd ten wypływa zawsze z ust specyalisty, doskonale obznajmionego ze swym przedmiotem, ponieważ nadto Anglia stała się teraz pracownią, w któréj dokonywają się lub przynajmniéj jednoczą największe i najświeższe postępy nauki, więc mowy prezydenta British Association bywają zawsze przez świat naukowy niecierpliwie wyczekiwane, jako uroczystości obiecujące najtrafniejsze zaznaczenie najnowszego stanowiska i kierunków nauki. Jak w polityce wydanie księgi czerwonéj lub błękitnéj—tak w naukach przyrodniczych mowy prezesów stowarzyszeń, szczególniéj angielskich, nietylko rozjaśniają sytuacyą ale nadają niejako kierunek umysłom wielu adeptów wiedzy.

Taką téż była tegoroczna mowa znakomitego fizyka Wiliama Siemensa na walném posiedzeniu Towarzystwa Brytańskiego w Southamptonn.

Kreśli nam ona wyraźnémi rysami najważniejsze postępy fizyki w ostatnich czasach, a charakteryzuje się szczególniéj zwrotem, który sobie stale w ostatnich czasach drogę toruje, zwrotem do wspólnego pochodu teoryi z praktyką, nauki z przemysłem.

Rzecz naturalna iż Siemens zajmuje się najbardziéj postępami w dziedzinie elektryczności. Ta téż część jego mowy jest dla nas najbardziéj interesującą. Skorzystamy z niéj wyłącznie aby obznajomić czytelników z kwestyami, z któremi niedługo oko w oko się spotkamy.

Przedewszystkiém Siemens zaznacza zbratanie się nauki z przemysłem, na który długo nauka nawet patrzéć nie chciała. Bardzo charakterystyczną jest rzeczą, iż Siemens zaraz po wstępnych słowach kwestyi téj dość znaczne miejsce poświęca.

Był czas, powiada, kiedy nauka była zawodem niewielkiéj liczby uczonych, którzy z góry patrzyli na zastosowania nauki do sztuk i przemysłu. Zadanie to zostawiali oni osobom, które mając na widoku tylko interes handlowy, nie kochały nauki dla niéj saméj, lecz dla korzyści materyalnych jakie z niéj można osiągnąć. W takich warunkach postęp nie mógł być szybkim, albowiem ludzie poświęceni nauce czystéj, rzadko wykraczali w swych badaniach poza zakres prostego stwierdzenia praw fizycznych lub chemicznych, a z drugiéj strony nieukształcony praktyk, nie wiedział jak połączyć nową zasadę, z sumą wiadomości, które stanowią o istnieniu jego zawodu.

Wynikiem postępu nauk w przeciągu ostatnich lat 50 było to, że ścisła unia teoryi z praktyką, stała się nieodzownym warunkiem dalszego rozwoju. Naprzykład w sztuce farbierskiéj, naukowe odkrycie nowych barwników, otrzymywanych z odpadków, zupełnie zmodyfikowały praktykę. Od tego czasu gruntowna znajomość chemii, stała się bezwarunkowo niezbędną farbiarzowi.

W telegrafii i w nowych zastosowaniach elektryczności do oświetlania, do przenoszenia siły, do procesów metalurgicznych napotykamy codzień nowe zagadnienia, dla których rozwiązania potrzeba nietylko głębokiéj znajomości nauki o elektryczności, takiéj jaka wypływa z badań teoretycznych dokonywanych w laboratoryach, ale nadto prawdziwego ducha inicyatywy i wynalazczości.

Podobnież i w mechanice nie wystarcza dawna sztuka praktyczna budowania machin o żądanéj *sprawności*. Potrzeba użycia nowych materyałów, potrzeba otrzymywania nowych rezultatów, czynią dawniejsze zasady niewystarczającemi.

Dla osiągnienia więc celu pożądanego trzeba, aby wiadomości praktyczne szły ręka w rękę z nauką.

Siemens bynajmniéj nie lekceważy uczonych, którzy z zapałem badają naturę, i którzy w swéj gorliwości badawczéj niepozwalają umysłowi swojemu dotykać kwestyj utylitarnych. Nie do nich zwraca się mówiąc o postępach bieżących w nauce praktycznéj, a tembardziéj nie do praktyków, kierujących się raczéj instynktem niż rozumowaniem.

Rzecz ta bowiem należy wyłącznie do uczonych, którzy się zajmują kwestyami praktycznemi, do praktyków, którzy poświęcają część swego czasu na badania czysto naukowe, a którym winniśmy

szybkie postępy naszych czasów. Obie te grupy stanowią niejako jednę rodzinę, rodzinę pionierów na nieznanych obszarach natury. O takich ludziach myślał Archimedes gdy niechciał dawać swym wychowańcom wyjaśnień co do budowy potężnych machin ballistycznych, lecz zachęcał ich do poznania zasad, na których budowa machin polega; takich ludzi miał na myśli Telford założyciel „Institution of civil Engineers,“ gdy określił sztukę inżynieryi cywilnéj jako „sztukę kierowania wielkiemi źródłami potęg natury.“

Jak ściśle łączy się teorya z praktyką w życiu nowoczesném, to okaże nam najlepiéj dalszy ciąg mowy Siemensa, mający za przedmiot elektryczność, jéj zastosowania i zmiany w przemyśle do jakich jéj rozwój prowadzi.

Zastanówmy się najprzód nad pojęciem „energia.“

Wyraz ten, w znaczeniu naukowém został po raz pierwszy użyty przez Young'a. Nowe to pojęcie jest rezultatem prac Carnota, Mayer'a Joule'a, Grove'go, Clausins'a, Clark-Maxwella, Thomsona, Stokesa, Helmholtz'a, Macquorn-Rankine'a i innych. Wprowadziwszy je do nauki, dokonali oni tego samego dla fizyki co Lavoisier, Dalton, Berzelius, Liebig i inni uczynili dla chemii. W tém jednêm słowie „energia“ odnajdujemy wszystkie siły przyrody, jak ciepło, elektryczność, światło, działanie chemiczne i dynamiczne, które według szczęśliwego terminu Tyndalla, przedstawiają nam tyleż „rodzajów ruchu.“

Łatwo zrozumiéć, że wykazawszy stały liczebny stosunek pomiędzy temi rozmaitemi rodzajami ruchu, znalibyśmy ścisłe rezultaty, które można otrzymać przez zamianę jednéj formy energii na drugą, i wiedzielibyśmy, do jakiego stopnia może tego dokonać przyrząd będący w naszém rozporządzeniu.

Różnica pomiędzy bezwzględnym skutkiem teoretycznym machiny, a skutkiem jéj użytecznym, nazywa się „skutkiem straconym.“ Ponieważ energia jest niezniszczalną, więc różnica ta w istocie rzeczy przedstawia tylko skutek uboczny, który otrzymujemy, nie pragnąc go bynajmniéj. I tak tarcie części machiny będących w ruchu, stanowi stratę skutku mechanicznego, ale powiększa się za to ciepło,—a do pewnego stopnia, stratę, wynikającą z przepływu elektryczności z jednego punktu do drugiego, odnajdujemy również w cieple, które się rozwija w przewodniku.

Czasami zachodzi potrzeba spotęgowania przemiany energii elektrycznéj w energią ciepła, w pewnych punktach obwodu przewodnika. Gdy znaczna ilość elektryczności zamieni się w pewném miejscu na ciepło, gdy promienie ciepła ztąd powstałego staną się widzialnemi, to będziemy mieli światło elektryczne z rozżarzenia (inkandescyjne).

Możemy i w inny jeszcze sposób zamienić energią elektryczną na światło.

Zrobiwszy w przewodniku niewielką przerwę podczas przepływu strumienia, wywołujemy wielki opór miejscowy, który daje początek łukowi elektrycznemu, najpotężniejszemu ze znanych źródeł ciepła.

Elektryczność jest najodpowiedniejszą formą energii do przesyłania danego skutku z jednego miejsca na drugie. Prąd elektryczny przepływa pewne substancye, metale, z szybkością ograniczoną tylko przez opóźniające działanie ładunku elektrycznego w otaczającém ciele nieprzewodzącém; w sprzyjających zaś przypadkach prędkość jéj przepływu jest niemal równa prędkości promienia ciepła i światła, a więc wynosi 300,000 kilometrów na sekundę. Jednakże prąd elektryczny nie przechodzi przez substancye utlenione, szkło, ciała żywiczne, oraz przez gazy—wyjąwszy tylko wtedy kiedy są bardzo rozrzedzone. Łatwo więc jest zawrzeć elektryczność w pewnych granicach i puszczać ją przez wąski kanał, którego długość może być bardzo znaczną. Przewodnik liny telegraficznéj zaatlantyckiéj jest kanałem tego rodzaju i składa się on z drutu albo ze splotu drutów mającego 5 milimetrów grubości i około 5,000 kilometrów długości, odosobnionego gutaperką 4 milim. grubości. Elektryczność małéj bateryi galwanicznéj wchodzi w ten drut i woli odbyć drogę z Europy do Ameryki, aniżeli przebyć grubość 4 milimetrów ciała nieprzewodzącego. Dzięki udoskonaleniom aparatu, prąd przechodzący do Ameryki, daje wprawdzie skutek bardzo mały, ale jednak dość silny do podziałania na genialny przyrząd potęgujący W. Thomsona, zwany *siphon recorder*. Ten kanał elektryczny jest tak doskonały, działanie przyrządów wysyłających i odbierających depeszę tak dokładne, że można nawet jednocześnie w dwóch przeciwnych kierunkach przesyłać znaki telegraficzne.

Zastosowanie systemu „podwójnego" do telegrafów Stanów Zjednoczonych, zarządzanych przez dr. Muirhead, pozwala przesyłać na minutę 60 wyrazów, zamiast 25, co znaczy, że na sekundę przechodzi 12 prądów. Z tego, że te prądy pobudzające przepływają jednocześnie w dwóch kierunkach nie należy jednak sądzić, aby działały na wzór strumieni wody, należących do dwóch różnych systemów. Podobne porównanie narzucałoby elektryczności warunki, które w niéj nie istnieją; jakkolwiek skutek jest analogiczny z tém zjawiskiem, ale polega on na zupełnie odmiennych podstawach.

Możność utrzymywania dwukierunkowych depesz, osiągnięto, pomiędzy innemi środkami, przez zastosowanie na końcach liny dwóch bateryj miejscowych, które zostają wprawiane w ruch auto-

matycznie za każdym razem, gdy prądy podobne biegną jednocześnie w obu kierunkach. Rozszerzenie i udoskonalenie téj metody, pozwoliło nawet osiągnąć w linach podmorskich „system poczwórny“ (1).

Lecz ogromny ten postęp w przesyłaniu elektryczności na odległość, został w naszych czasach zaćmiony przez ów cud subtelności i szybkości, przez telefon. Prądy elektryczne spowodowane przez blaszkę drgającą pod wpływem dźwięku głosu, zmieniają swe natężenie i szybkość stosownie do liczby i stopnia tych drgań; każdy prąd przychodzący na drugą stacyą, działa pobudzająco na magnes, stanowiący część odbieracza i stosownie do swéj siły, wywołuje analogiczne drgania blaszki, przed nim umieszczonéj.

Savart wykazał że ton *la* daje 440 drgań na sekundę. Lecz, jakaż musi być częstość i modulacya prądu elektrycznego oraz zmian w magnesie, aby przenieść do ucha ten zbiór głosu ludzkiego i instrumentów, który się nazywa operą! A jednak na wystawie elektryczności, przez telefony umieszczone w teatrze, słyszano wyraźnie operę, z jéj charakterem artystycznym. A ten cud otwierający nowe punkta widzenia w nauce i nowe przemysły tworzący, zawdzięczamy niewielkiéj liczbie znakomitych wynalazców, których imiona powinny być powszechnie znane. Oto one: Reiss, Graham Bell, Edison i Hughes.

Odkrycie telefonu stworzyło rozmaite kwestye, których rozwiązanie zarówno jest ważne pod względem teoretycznym jak i praktycznym.

Wskutek nadzwyczajnéj subtelności prądów telefonowych, w liniach telefonowych biegnących obok linij telegraficznych, tworzą się prądy indukcyjne, mącące głos telefonu i czyniące go niezrozumiałym. Wskutek tego linie telefonowe powinny biegnąć na słupach oddzielnych, oddalonych od telegraficznych. Ale to stanowi pewną niedogodność. Wykryto więc, że można zobojętnić wpływ prądów telegraficznych, przez użycie dwóch drutów dla telefonu tak, żeby prąd po obu przepływał z wyłączeniem pośrednictwa ziemi. W takim razie druty telefonu przyjmować będą jednakowe i w przeciwnym kierunku płynące działania indukcyjne, które będą się nawzajem zobojętniały, a wskutek tego nie będą psuły prądów telefonowych. Ale urządzenie podobne wymaga dwóch drutów izolowanych zamiast jednego, a wskutek tego podnosi koszta urządzenia. Proponowano więc już sposoby uniknięcia téj niedogodności,

(1) Żałujemy iż Siemens nie podaje bliższych szczegółów tego ciekawego urządzenia.

i zapewne nie długo czekać będzie trzeba na jakiś środek praktyczny.

Ze względu na transmisyą siły, prądy elektryczne stanęły teraz w rzędzie sił naturalnych, które człowiek może zużytkować, tak jak powietrze zgęszczone, zbiorniki hidrauliczne i przyrządy używane dla spożytkowania wodospadu Renu pod Szafhuzą. Przemiana siły hidraulicznéj na elektryczność może być dokonaną bez innych strat, prócz tych, które zależą od tarcia lub ogrzania drutu. Straty te w dobréj machinie dynamo-elektrycznéj jak to wykazał John Hopkinson, nie przenoszą 10 na 100, z badań zaś Siemensa wynika, że można dojść do jeszcze większéj doskonałości. W każdym razie, przyjmując liczby Hopkinsona i obliczając tyleż na stratę przy zamianie elektryczności na skutek mechaniczny, strata całkowita wyniesie 19 na 100. Do tego dodać należy opór drutów, zależący od ich długości i własności przewodnictwa, oraz ciepło, wywołane przez tarcie w czynnych częściach machiny. Obliczając te straty na ilość równą poprzedniéj, otrzymamy skutek użyteczny=100—38 czyli 62%, który można przesłać na znaczną odległość, a który zgadza się z wynikami doświadczalnémi. Wogóle jednak, w praktyce nie należy się spodziewać więcéj niż 50% skutku użytecznego.

Przy użyciu powietrza lub wody pod ciśnieniem, dla przenoszenia siły na odległość, strata również wynosi 50%, a ponieważ zależy ona od oporu *płynu*, więc rośnie z odległością w daleko większym stosunku niż dla elektryczności. Przyjmując na wszelki wypadek straty dla transmisyi elektrycznéj=50%, musimy jéj przyznać jeszcze tę zaletę, że odbywa się po prostym, zwyczajnym drucie nie zaś przez kanał, w którym prężność płynu dochodzi do wysokiego stopnia i którego założenie i utrzymanie wymaga wielkich kosztów. Bezwątpienia potrzeba tu i drugiego przewodnika metalicznego dla dopełnienia obwodu elektrycznego, albowiem przewodnictwo ziemi wskutek polaryzacyi nie jest dostateczne; lecz tego drugiego przewodnika nie potrzeba izolować, i mogą go zastąpić rury wodociągowe, szyny lub druty sygnałów kolejowych. Szczupłość miejsca zajmowanego przez motor elektryczny, szybkość pracy, brak odpadków i t. d., czynią go specyalnie odpowiednim do maszyn lekkich wszelkiego rodzaju. Strata 50% siły nie ma znaczenia w tych zastosowaniach, albowiem należy wziąć pod uwagę, iż potężna machina parowa najlepszego typu zużytkowuje dwa funty węgla na godzinę na produkcyą siły jednego konia parowego, gdy tymczasem małe machiny zużywają go nie mniéj jak 5 funtów. Wielka tedy machina może taniéj dostarczać siłę małym warsztatom za pomocą elektryczności, choć traci na téj zamianie 50% aniżeli

mała machina stojąca w warsztacie. Widać więc, że i ze względu na koszt opału wszystko przemawia na korzyść transmisyi elektrycznéj—nie mówiąc już o oszczędności pracy i inszych korzyściach dodatkowych.

Transmisya elektryczna zdaje się być bardzo odpowiednią dla gospodarstwa rolnego do robót na polu i w folwarku. Sam Siemens używał tego systemu przez ciąg więcéj niż dwóch lat i uznaje go za oszczędny oraz łatwy do użycia, nawet przy pomocy niewprawnych robotników.

Mówiąc o rolnictwie niepodobna nie wspomnieć nawiasowo o drugiém zastosowaniu elektryczności w rolnictwie, a mianowicie o wpływie światła elektrycznego na roślinność. W doświadczeniach swych nad owsem, żytem, jęczmieniem i innémi zbożami, Siemens dostrzegł wielką różnicę pomiędzy roślinami poddanemi wpływowi światła elektrycznego, z niepoddanemi jego działaniu. Różnica ta aż do końca lutego była niezbyt wyraźną, lecz od wiosny, rośliny będące pod działaniem lampy elektrycznéj o sile 4,000 świec, umieszczonéj 5 metrów nad powierzchnią gruntu, rozwinęły się bardzo szybko, do tego stopnia, iż pod koniec maja dosięgły 4 stóp wysokości a kłosy ich były okryte bujnym kwiatem, gdy tymczasem te, które nie były poddane działaniu światła elektrycznego nie miały jeszcze nawet 2 stóp wysokości i kłosy nawet formować się nie poczęły.

Wagon elektrycznéj kolei żelaznéj zbudowanéj poraz pierwszy w Berlinie 1874 r. przez dr. Wernera Siemensa, otrzymywał elektryczność za pośrednictwem szyn po których się poruszał. Na wystawie paryskiéj elektryczność płynęła już do wozu z dwóch oddzielnych przewodników, mających komunikacyą z wozem za pomocą przyrządu ślizgającego się po przewodniku. Dla obecnie zaś budującéj się kolei elektrycznéj w Irlandyi północnéj, mającéj 19 kilometrów długości urządzają się przewodniki z obu stron kolei; prąd powrotny będzie szedł szynami, nie wymagającemi izolacyi. Bateryе wtórne, urządzone w wagonie będą nagromadzały energią niepotrzebną podczas jazdy na dół i pozwolą z niéj użytkować przy wznoszeniu się lub na płaszczyznie gdzie niepodobna będzie korzystać z przewodnika izolowanego.

W komunikacyi kolejowéj elektryczność ma znaczną wyższość nad końmi i parą w miastach, tunelach i wogóle w miejscach, gdzie można użyć naturalnych źródeł energii, np. spadków wody. Ale w stanie obecnym byłoby niedorzecznością przypuszczać, że elektryczność może walczyć skutecznie z parą w dziedzinie zwykłéj

komunikacyi kolejowéj, albowiem dla tego celu machiny są jeszcze zbyt słabe a ich praca za droga.

Transmisya siły za pomocą przewodników elektrycznych odznacza się jeszcze i tą wyższością po nad inne sposoby przenoszenia siły, że gdy opór szyn jest słabym, siła przesyłana lokomotywie dosięga swego maximum wtedy, gdy prędkość lokomotywy jest minimalną, to znaczy wtedy, gdy napotkała ona jakiś opór wyjątkowy, albo wtedy gdy zaczyna z miejsca się poruszać; w normalnych zaś warunkach maximum oszczędności osiąga się wtedy, gdy szybkość zużytkowywania siły jest równą szybkości powstawania prądu.

Prawdopodobnie jednem z najdawniejszych zastosowań praktycznych strumienia elektrycznego jest galwaniczny sposób osadzania metali, na odpowiednich przedmiotach, ale dopiero w ostatnich czasach prąd elektryczny znalazł na wielką skalę zastosowanie w fabrykach Birminghamskich oraz w Ocker w Niemczech na Harcu. Machina dynamo-elektryczna będąca tam w użyciu wystawiona została na ostatniéj wystawie w Paryżu przez dr. Wernera Siemensa. Przewodniki jéj zbroi obrotowéj składają się ze sztab miedzianych, mających 30 milimetrów kwadratowych przecięcia. Machina ta, o sile 4 koni, osadza 300 kilogramów miedzi w przeciągu 24 godzin. W Ocker siła poruszająca otrzymuje się ze spadku wody.

Energia elektryczna może być także użytą jako źródło ciepła, lecz na tém polu nie może ona walczyć o pierwszeństwo pod względem oszczędności z bezpośredniém spaleniem węgla dla utrzymania ciepła drogą zwyczajną. Gdy jednak Bunsen i St. Claire Deville wykazali, że za pomocą palenia z trudnością można otrzymać temperaturę wynoszącą 1800°, a zdarza się potrzeba otrzymania wyższych temperatur, więc w takich razach, z korzyścią można się uciec do elektryczności. Siła ta posiada zaletę, że jak się zdaje, może dać nieograniczoną ilość stopni ciepła. Otwiera więc ona nowe pole badaniom chemika i metalurga. Za jéj to pomocą zdołano stopić w tyglu tungsten, a w ciągu dwudziestu minut doprowadzono do stanu płynnego 8 funtów zimnéj platyny.

Najważniejsze i najrozleglejsze zastosowanie praktyczne znalazła obecnie elektryczność na polu oświetlania. Kwestyi téj jako zbyt obszernéj Siemens gruntownie nie rozbiera, lecz tylko kilku jéj stron w uwagach ogólnych dotyka. Jednocześnie zastanawia się dość obszernie nad kwestyą gazu, która na zachodzie budzi poważne obawy. Od czasu wynalazku Jabłoczkowa akcye towarzystw gazowych wszędzie bardzo znacznie pospadały, a ponieważ jak zobaczymy fabrykacya gazu stanowi w wielu krajach znakomitą gałąź narodowego przemysłu, ponieważ tysiące ludzi jest w niéj zaintere-

sowanych, więc nic dziwnego, że Siemens stara się łagodzić burzę, i obrazem błogiéj krainy przyszłości wstrząśnione umysły uspokoić. Jakkolwiek „krach gazowy“ wcale nas dotknąć nie może, bo prawdopodobnie ani jednéj akcyi Towarzystwa Dessauskiego nikt w kraju nie posiada, jakkolwiek nie mamy przemysłów, o których poniżéj będzie mowa, jednakże cała ta kwestya nie może być dla nas obojętną. Przyszłość gazu, którą Siemens przedstawia jest bardzo możliwą, więc nie mówiąc już o zasadzie „homo sum“ etc. możemy się oko w oko spotkać z przewrotami, które ten uczony przewidzieć się stara.

Jak wiemy, Joule wykazał, że gdy prąd elektryczny płynie po przewodniku, cała energia stracona przez prąd zamienia się na ciepło, albo—jeśli opór jest umiejscowiony—na siłę promieniowania, zawierającą w sobie ciepło, światło i promienie chemiczne. Promień ciepła ciemnego (ultra fiolet), nie działa na siatkówkę naszego oka i może być uważany za energią straconą. Promienie zaś działające mieszczą się pomiędzy barwami czerwoną i fioletową widma i łącząc się z sobą dają nam wrażenie światła białego.

Ciekawem więc jest pytanie, ile jest promieni jasnych a ile ciemnych w świetle elektrycznem?

Tyndall w swém dziele o cieple promienistem podaje interesujące obserwacye nad stosunkiem zachodzącym pomiędzy promieniami świetlnemi a promieniami nieświetlnemi łuku elektrycznego lub drutu rozżarzonego. Wypada ztąd, że promienie świetlne drutu platynowego ogrzanego do najwyższego punktu żarzenia (1700° C.) stanowią tylko dwudziestoczwartą część całego promieniowania a na łuku elektrycznym otrzymanym z 50 ogniw Grovego, jedną dziesiątą całéj energii promieniowanéj.

Bardzo więc dużo energii traci się przy zamianie elektryczności na światło. Być może, iż nauka zdoła tę stratę znacznie kiedyś zmniejszyć. Tymczasem zaś pocieszajmy się wiadomością, że w świetle świecy, lampy, gazu, tracimy jeszcze więcéj energii.

Główna zaleta przemawiająca za światłem elektrycznem, polega na tém, że nie daje ona produktów spalenia, które nietylko że ogrzewają przestrzeń oświetloną, ale nadto zamieniają część tlenu potrzebnego do oddychania, na kwas węglany i gazy bardzo trujące.

Światło elektryczne jest białe a nie tak żółte jak z innych źródeł. Pozwala nam ono oceniać barwy malowideł, mebli i kwiatów tak jakby przy świetle dziennem; nie zabija ono roślin, lecz naodwrót sprzyja ich rozwojowi. Dzięki jemu fotografia i wiele innych

przemysłów, może funkcyonować nie tylko w dzień ale i w nocy. Zarzut czyniony często światłu elektrycznemu, że jest zawisłe od działania machiny parowéj lub gazowéj, które mogą uledz nieprzewidzianym wypadkom, nie ma już żadnego znaczenia od chwili wynalezienia bateryj wtórnych. Wielkie postępy na tém polu zawdzięczamy Plante'mu, Faure'owi, Volckmar'owi i Lellon'owi. Można się spodziewać że będziemy mieli dla elektryczności podobne zbiorniki jak gazometr dla gazu lub akkumulator dla transmisyi siły hidraulicznéj.

Światło elektryczne bezwątpienia zajmie miejsce w szeregu powszechnych środków oświetlania, pomimo ceny wyższéj aniżeli gazu (1); przedewszystkiem zaś pożądaném będzie do oświetlania salonów, sal jadalnych, teatrów, sal koncertowych, kościołów, sklepów, drukarń, pracowni oraz statków parowych. W najtańszéj i najpotężniejszéj formie jako łuk elektryczny wykazało już swą wyższość ponad wszelkie inne rodzaje świateł do rozlewania niemal dziennéj jasności na wielkie przestrzenie, jak np. porty, stacye dróg żelaznych itd., i służyć może jako nieoceniony środek pomocniczy do działań wojennych na lądzie i morzu.

Światło elektryczne można wytwarzać z naturalnych źródeł siły, jako to spadku wody, przypływu i odpływu morza, siły wiatru, i rzecz jasna, iż można z tych sił korzystać z wielkich odległości, za pomocą przewodnika metalicznego. W zeszłym roku na kongresie w Yorku, William Thomson odczytał mistrzowską na ten temat prelekcyą.

Korzyści te zostały w ostatnich czasach uznane przez rząd W. Brytanii, który przedstawił parlamentowi bill mający ułatwić zakładanie przewodników elektrycznych po miastach, i zawierający pewne zastrzeżenia, broniące interesów publicznych i władz miejscowych.

Przyjąwszy że światło elektryczne kosztuje tyleż co i gaz, można wnieść, że stosownie do specyalnych warunków jedni ludzie będą wybierali elektryczność drudzy gaz, co więcéj według Siemensa gaz pozostanie środkiem oświetlającym ludzi biednych, albowiem daje nie tylko światło ale i ciepło, które w pewnych razach wystarczy robotnikowi za inny opał. I rzeczywiście prawdziwa przyszłość gazu leży w jego własnościach ogrzewających. Niedaleki jest we-

---

(1) Według zdania innych jest ono tańsze od gazu. Ponieważ obliczenia te dotyczą zagranicy, gdzie gaz jest nieproporcyonalnie tańszy aniżeli u nas, więc być może iż stosunek ten jeszcze więcéj na korzyść elektryczności u nas wypadnie.

dług mówcy czas, kiedy i biedni i bogaci używać będą gazu jako opału najdogodniejszego, najtańskiego i najmniéj robiącego nieporządku. Wtedy nigdzie nie będzie widać surowego węgla, chyba w kopalniach i fabrykach gazu. Gdy miasto potrzebujące gazu nie będzie oddalone od kopalni węgla więcéj nad 50 kilometrów to można będzie urządzić fabrykę gazu nad samą kopalnią, lub co lepsza, na dnie kopalni. W takim razie uniknie się kosztów wydobywania węgla na powierzchnię, a gaz wznosząc się rurami do góry, będzie miał dosyć siły dla dostania się do miejsca przeznaczenia. Możliwość przenoszenia gazu rurami na taką odległość została stwierdzoną w praktyce, albowiem miasto Pittsbury jest w ten sposób zaopatrywane w gaz naturalny, pochodzący ze źródeł nafty.

Pewien rodzaj monopolu, którego dotychczas używały towarzystwa gazowe, nie dozwolił się rozwinąć konkurencyi, czego skutkiem był zupełny brak postępu na polu oświetlania gazowego. Towarzystwo starało się dawać konsumentowi przepisaną w kontrakcie ilość światła i odrzucało wynalazki oszczędnych palników, pozwalających osięgnąć maximum światła z danéj ilości gazu. Nikt téż nie zachęcał do użycia gazu na opał. I teraz jeszcze trudnoby to było uczynić, gdyż według urządzeń powszechnie przyjętych, ciśnienie w rurach gazowych podczas dnia bywa o ile można najmniejsze, takie tylko, aby powietrze do rur wkraść się nie mogło.

Wynalazek światła elektrycznego przekonał dyrektorów towarzystw gazowych, że urządzenie takie nie jest już nadal możliwém, i że konieczność nakazuje wprowadzać ulepszenia techniczne. „Stowarzyszenie fabryk" gazowych w Anglii zajęte jest obecnie wyczerpującemi dyskusyami nad sposobami zniżenia ceny produkcyi gazu i powiększenia jego siły oświetlania, i nawet już teraz w Anglii funkcyonują udoskonalone palniki, które rywalizują swym blaskiem ze światłem elektryczném (1).

Żeby mieć pojęcie o ważności przemysłu gazowego, trzeba wiedzieć, że kapitał leżący w samych fabrykach angielskich; niebacząc wydatków poniesionych przez władze miejskie, wynosi 150 milionów fr. Co rok przepędzają one 4,281,048 tonn (po 1015 kilogram.) węgla i produkują 43 miliony stóp sześciennych gazu oraz około 2,800,000 tonn koksu. Ilość węgla destylowanego corocznie w Królestwie Zjednoczoném wynosi do 9 milionów, i wydaje 500,000 tonn smoły 1 milion tonn amoniaku oraz 4 miliony tonn koksu. Do tego nale-

(1) Mowa tu prawdopodobnie o palnikach Wernera Siemensa, które funkcyonują w Warszawie na ulicy Marszałkowskiéj:

ży jeszcze dodać 120,000 tonn siarki, ktoréj jeszcze dotąd zużytkować nie umiemy.

Aż do roku 1856 w którym W. H. Perkins odkrył swą metodę praktyczną, opartą na teoretycznych badaniach Hoffmana, dotyczących, smoły gazowéj i budowy chemicznéj indyga, wartość smoły gazowéj wynosiła zaledwie 5 centymów za gallon (4 ½ funta); na prowincyi zaś właściciele fabryk gazowych byli kontenci gdy się jéj pozbyć mogli. Aż do owego czasu przemysł ograniczał się do otrzymywania olejów, kreozotu itd. Niewielu dystylatorów przygotowywało małe ilości bengalu, który znalazł w smole Mansfield r. 1849, w mieszaninie z toluolem, kumolem itd. Odkrycie farb anilinowych w r. 1856 dało wielki pohop rozwojowi przemysłu smoły gazowéj, i skłoniło destylatorów do wydzielania z niéj bengalu a przynajmniéj oddzielania mieszaniny benzolu z toluolem, od naftalinu. Przemysł ten wzrósł wskutek odkrycia magenty czyli rozaniliny, do któréj potrzeba tychże samych produktów. W tymże czasie został wprowadzony do handlu fenol (kwas karbolowy) jako środek dezynfekcyjny i materyał do przygotowywania barwników.

Późniéj nastąpiły odkrycia Graebe'go i Liebermanna. Odkryli oni że alizaryna, pierwiastek barwiący marzanny jest związkiem pokrewnym antracenowi węglowodorowi właściwemu smole gazowéj. Następstwem tego było otrzymanie alizaryny z antracenu, i teraz fabrykacya jéj stanowi jeden z największych działów przemysłu wyrobów ze smoły gazowéj. Powodzenie alizaryny było tak wielkiem, że już niemal zaprzestano sadzić marzannę farbierską. Najważniejsze z barwników ostatnio odkrytych są pochodnemi purpuryny, i pozwoliły zużytkować dla celów praktycznych inne węglowodory smoły, jak ksylol, kumol i naftalin. Świetne te barwniki zastępują koszenillę i bardzo zachwiały handlem tego produktu.

Wielce téż jest ważném odkrycie sztucznego indyga, dokonane przez profesora Baeyera (1). Do wyrobu tego barwnika wchodzi toluol. Obecnie jeszcze indygo sztuczne nie dość silnie współzawodniczy z naturalném, ale gdy je zaczną wyrabiać na wielką skalę z toluolu, smola gazowa nabierze jeszcze większego znaczenia. Przemysł barwników spożytkowuje obecnie cały benzol, większą część naftalinu i cały antracen pochodzący z destylacyi smoły gazowéj. Wartość barwników z tego źródła pochodzących przechodzi według Perkinsa 83 milionów franków.

---

(1) Niezmiernie doniosłą podstawą odkrycia indyga sztucznego było jedno z badań naszego rodaka Marcelego Nenckiego.

Konsumcya amoniaku jest niemal nieograniczoną. Przy coraz bardziéj wzrastającéj potrzebie nawozów sztucznych, kwestya amoniaku stała się kwestyą społeczną. Lecz amoniaku dostarczają prawie wyłącznie fabryki gazu. Z rocznéj produkcyi miliona tonn, otrzymuje się 95.000 tonn siarczanu amoniaku, który, licząc po 512 franków za tonnę, przedstawia wartość 48.875.000 franków. Więc ogólna wartość roczna produktów fabryk gazowych wynosi:

Barwniki	83,750,000	franków
Siarczan amonu . . .	48,875,000	"
Smoła	9,125,000	"
Kreozot	5,200,000	"
Koks.	60,000,000	"
Fenol (kw. karbolowy).	2,500,000	"
	209,450,000	franków.

Obliczając ilość użytego węgla na 9 milionów tonn po 14 frank. 50 cent., otrzymamy 130 milion. frank., zkąd widać, że wartość produktów jest wyższą od materyału surowego o więcéj niż 75 milionów frank. Używając na opał węgla surowego, nietylko że tracimy te produkta, ale jeszcze musimy oddychać atmosferą na wpół gazową, tym dymem znanym mieszkańcom Londynu i wszystkich większych centrów fabrycznych. Profesor Roberts obliczył, że sadza bujająca w atmosferze Londynu podczas jednego dnia zimowego, dochodzi do ilości 50 tonn; ilość zaś trującego tlenku węgla będącego rezultatem niedokładnego spalenia węgla kamiennego jest przynajmniéj 5 razy większą. T. Aitken w rozprawie zakomunikowanéj w r. zeszłym Towarzystwu królewskiemu z Edynburgu (Aten. 1881 III. str. 547) wykazał, że pył powstający wskutek niedokładnego spalenia węgla, jest jedną z najważniejszych przyczyn tworzenia się mgły, gdyż każda cząstka substancyi stałéj przyciąga parę wodną. Kulki mgły są szczególnie trwałe i nieprzyjemne z powodu obecności par dziegcia węglowego. Jest to więc druga szkodliwa przyczyna niedokładnego spalenia części składowych węgla, które mogłyby być w sposób korzystny użyte w przemyśle. Pomijamy już szkodliwy wpływ dymu na zdrowie publiczne, na czystość miasta, obrazów olejnych itd. Nic też dziwnego że utworzyło się w Anglii towarzystwo mające za zadanie wygnać dym z atmosfery miast.

Najskuteczniejszym środkiem przeciwko dymowi byłoby rozpowszechnienie przekonania, że tworzenie się dymu jest wskazówką marnotrawstwa opału, i że, czy to w fabrykach czy w domach pry-

watnych, możnaby otrzymywać ciepło daleko ekonomiczniéj, gdyby część opału w postaci sadzy i węglowodorów nie dostawała się do atmosfery bez zupełnego spalenia. Najlepszy rezultat możnaby otrzymać z zastosowania gazu na opał z użyciem lub bez użycia koksu albo antracytu.

Najtańszym źródłem gazu jest destylacya materyałów opałowych w hutach szklanych, w piecach dla żelaza i stali. Ale gaz ten nie może mieć zastosowania w miastach. Użycie gazu z wody otrzymanego przez puszczanie pary wodnéj na koks rozżarzony, przedstawia także wiele niedogodności. Gaz ten oprócz wodoru zawiera jeszcze pewną ilość tlenku węgla, którego wprowadzenie do domów byłoby niebezpieczném. Bardziéj praktycznym sposobem otrzymywania gazu osobno do oświetlania a osobno do ogrzewania, byłoby połączenie fabryki z dwoma systemami rur, któreby odbierały produkta destylacyi węgla w różnych fazach operacyi. Doświadczenia, dokonane przed kilku laty w Paryżu przez p. Ellisena, wykazują, że węglowodory, jak etylen i acetylen, wydzielają się z retorty wpół godziny po rozpoczęciu przepędzania, a znikają w połowie destylacyi. Przez resztę czasu wydziela się wodór, który świeci bardzo słabo, ale który jest bardzo odpowiedni do ogrzewania. Dzięki nowym sposobom ogrzewania zaprowadzonym oddawna w Paryżu w fabrykach gazu, czas potrzebny do destylacyi można skrócić z sześciu godzin na cztery a nawet na trzy. Ztąd wynika że dana liczba aparatów może służyć nietylko do produkcyi gazu oświetlającego ale i ogrzewającego, co zmniejszy koszta i powiększy ilość produktów wyżéj przytoczonych. Można jeszcze powiększyć ilość amoniaku przez puszczenie prądu pary na rozpalony koks w retortach pod koniec destylacyi. Wydzieli się wtedy amoniak i węglowodory zawarte w rozżarzonym koksie, a ilość gazu do ogrzewania powiększy się o ilość produktów rozkładu wody.

Rzecz już dowiedziona — powiada Siemens — iż gaz w warunkach obecnych może być używany w gospodarstwie domowém, byle go tylko umiéć użyć stosownie. Należy przypuścić, iż konsumcya jego bardzoby wyrosła, i to może nawet dziesięć razy, gdyby był dostawiany oddzielnie do ogrzewania, po 1 szylingu (1 fr. 25 cent.= 30 kop.) za 1000 stóp (1). Po téj cenie gaz byłby najdogodniejszym i najmniéj zanieczyszczającym, a przytém najtańszym środkiem opa-

---

(1) Szczęśliwi anglicy że mogą marzyć o cenie podobnéj. U nas cena 1,000 stóp sześc. gazu wynosi 2 rs. kop. 20 czy 30. Nam więc strasznie daleko do tego ideału

łowym. Wielki wzrost konsumcyi, proporcyonalne powiększenie ilości produktów dodatkowych skompensowałyby obficie nie wysoką cenę gazu ogrzewającego. Wartość gazu jako materyału opałowego uwydatnia się jasno z tego faktu, że funt gazu daje 22,000 jednostek ciepła, czyli dwa razy tyle co węgiel kamienny. Własność tę otrzymał gaz wskutek oddzielenia od części ziemistych, czyli zawdzięcza ją destylacyi.

Najnowsze doświadczenia czynione z palnikami gazowémi przekonały, że wiele jeszcze w nich ulepszeń zaprowadzić wypada.

Jasność płomienia zależy od temperatury do którój węglowodory składające płomień zostały doprowadzone. Tyndall wykazał, że świeci tylko $^1/_{25}$ część siły promieniowania płomienia. Produkty spalenia zabierają z sobą 4 razy tyle energii, tak że tylko $^1/_{100}$ ciepła spalenia zamienia się na światło. Możnaby powiększyć ten stosunek zwiększając temperaturę spalenia przez silny przypływ powietrza, albo przez działanie regeneracyjne. Przypuśćmy iż ciepło produktów spalenia może być udzielone płótnu metalicznemu (gęstéj siatce) które je oddaje powietrzu wciąganemu do płomienia (1): tym sposobem można podwyższyć temperaturę płomienia do punktu ograniczonego przez punkt dysocyacyi. Granica ta może być oznaczoną na 2300°C i zapewne nie wiele jest niższą od temperatury łuku elektrycznego. W temperaturze téj stosunek promieni świetlnych do całkowitéj ilości ciepła wytwarzającego się w płomieniu, zostanie prawie podwojony i blask światła znacznie wzrośnie. Przytém ulepszeniu światło gazowe będzie mogło współzawodniczyć z elektrycznem na punkcie taniości i blasku i publiczność tylko korzyść odniesie z tego współzawodnictwa.

W ogniskach pokojowych siła promieniowania powinna być mniéj potężną. Siemens nie podziela zdania tych co przenoszą piece lądu stałego nad otwarte ogniska angielskie. Kominki przedstawiają tę wyższość, że przyczyniają się do wesołego usposobienia, że doskonale pokój przewietrzają. Co więcéj, ciepło promieniste przebywa powietrze nie ogrzewając go i bezpośrednio udziela się murom, podłodze i meblom, które stają się tym sposobem powierzchniami ogrzewającemi stosunkowo dość świeże powietrze pokoju. Przeciwnie piece zmuszają powietrze do osadzania pary na ścianach które ono ogrzewa, a więc są przyczyną wilgoci i zarodków choroby. Wszedłszy do pokoju można po tém poznać czy jest ogrzewany piecem czy kominkiem. Nieprzyjemne uczucie które wzbudza ciepło pieca, nie ustaje przy najlepszéj nawet wentylacyi.

---

(1) Są to właśnie wyżéj wspomniane lampy Wernera Siemensa.

Zresztą według Siemensa nie można przytoczyć dostatecznych dowodów, wykazujących, że piec lub kaloryfer wodny jest tańszy i mniéj dymu wytwarza od ogniska otwartego.

W dziedzinie mechaniki gaz również daje widoczne korzyści. Mówiąc o zamianie siły mechanicznéj na siłę elektryczną i na odwrót, wypada zastanowić się nad równoważnikami tych form energii, i poznać środki, które przedsięwziąć należy aby uniknąć strat, wynikających z oporu elektrycznego przewodników oraz z tarcia. Przemiana skutku mechanicznego na ciepło, pociąga za sobą tylko straty pochodzące z wadliwego urządzenia mechanizmu. Można ich uniknąć do tego stopnia, że właśnie za pomocą téj metody Joule zdołał obliczyć równoważnik mechaniczny ciepła. Postępując w sposób odwrotny, tj. zamieniając ciepło na pracę mechaniczną, spotykamy się z prawem termodynamiki, wymagającém, aby zawsze, gdy pewna suma ciepła zamienia się na skutek mechaniczny, inna suma, zmiennéj ilości, ulegała zniżeniu temperatury, czyli zatracie. W machinie parowéj ciepło stracone znika w wodzie koncentracyjnéj, albowiem cieplo użyteczne, to jest zamienione wskutek mechaniczny, zależy od różnicy temperatury kotła i oziębialnika. Ciepło w kotle rzadko przechodzi 120°C, wyjąwszy tylko machinę Perkinsa, gdzie dochodzi do 166°C. Dla osięgnięcia lepszych warunków, musimy się uciec do machin gazowych, w których można powiększyć różnicę temperatur.

Dobra machina parowa może tylko spożytkować na pracę $^2/_7$ całéj ilości ciepła udzielonego kotłowi—nie mówiąc już o stracie ciepła przez niedokładne spalenie i tego co się przez komin wymyka. Gdy dodamy do tego straty wynikłe z tarcia i promieniowania, zobaczymy że najlepiéj zbudowana machina parowa nie przerabia na skutek mechaniczny więcéj niż $^1/_7$ ciepła zawartego w materyale spalonym. Z teoryi wypada, iż machina gazowa daje połowę energii zużytéj, lecz ponieważ trzeba także odliczyć pewien procent na pochłanianie ciepła przez cylinder i na tarcie, więc spożytkowanie siły materyału opałowego nie wyrazi się w machinie gazowéj przez $^1/_2$ jak wypada z teoryi lecz przez $^1/_4$, czyli dwa razy tyle co w machinie parowéj.

Ztąd wynika, że machina gazowa daje najlepsze widoki otrzymania maximum energii. Spodziewać się należy iż trudności jakie jeszcze napotyka jej zastosowanie, zostaną stopniowo usunięte. Przyszłość machiny gazowéj i dynamo-elektrycznéj będzie początkiem nowéj ery postępu materyalnego, tak przynajmniéj wielkiego, jak spowodowany przez odkrycie machiny parowéj na początku wieku bieżącego. *Bronisław Rejchman.*

WYMOWA CYFR.

(Z powodu polemiki o wpływ oświaty na moralność).

Dla wydobycia tajemnic naturze posługujemy się dwiema metodami: spostrzeganiem i doświadczaniem. Metoda spostrzegalna czyli obserwacyjna polega na tém, że pewne zjawisko przyrody pilnie i wielokrotnie badamy pod każdym względem; a metoda doświadczalna czyli eksperymentalna na tém, że pewne zjawisko, już zbadane spostrzegalnie, powtarzamy, jeśli się to da uczynić, sztucznie, w coraz to nowych i odmiennych warunkach, żeby tym sposobem owo zjawisko poznać wszechstronnie, w związku z innemi, z całym szeregiem zjawisk pokrewnych, jako jedno z ogniw łańcucha, który zowiemy życiem przyrody.

Nie we wszystkich gałęziach wiedzy przyrodniczéj obie metody stosować się dadzą a przynajmniéj druga w wielu wypadkach jest wprost niemożliwą.

Objaśnijmy to na przykładach.

Świat planet i gwiazd przedstawia nam tyle różnorodnych a zaciekawiających przedmiotów do obserwacyi i rozmysłu, że bodaj pierwéj nawet niż świat ziemski rozbudził uwagę człowieka. Ale już z saméj istoty owych zaziemskich faktów i zjawisk wynika, że tu do wykrycia prawdy człowiek miał tylko jednę metodę: obserwacyą. Sztucznie żaden astronom nie przeprowadzi Wenery przez tarczę słoneczną. Jeśli zaś umysł ludzki w zakresie astronomii a zwłaszcza astrofizyki powynajdywał ostatniemi czasy zdumiewające ścisłością metody badania, to jednak wszystkie te sposoby są tylko udoskonaleniem ogólnéj metody obserwacyjnéj i nie mają nic wspólnego z doświadczeniem.

W fizyce i chemii dochodzi się prawdy obiema drogami, jak również w całéj gromadzie nauk biologicznych teoretycznych, które, mniéj lub więcéj, poddają się wymaganiom metody doświadczalnéj.

Na téj to drodze a nie z obserwacyi fizyka wykryła prawa ciężkości i biegu ciał spadających, na téj drodze chemia zaroiła się mnóstwem szczegółowych teoryj o pewnych grupach ciał, niezmiernie ważnych praktycznie, na téj to drodze codziennie tysiące eksperymentatorów sprawdza i stwierdza teoryą ewolucyi życiowéj w świecie organicznym.

Cóż mówić dopiero o całéj grupie umiejętności stosowanych czyli nauk opartych na nauce przyrody? O rolnictwie, inżynieryi, mechanice, hodowli bydła i t. p. Tu obie metody badania kojarzą się tak ściśle, a zwolna przewaga metody doświadczalnéj staje się tak dominującą, że bez dokładnego i spółczesnego uwzględnienia rezultatów ze spostrzeżeń i z doświadczeń wynikłych rozwój tych nauk wielceby spowolniał.

*
* *

Co właściwie odróżnia doświadczenie od spostrzeżenia i dlaczego nie zawsze jest możliwém spółczesne a nawet równoczesne stosowanie obudwu metod?

Przy obserwowaniu zjawiska badacz jest niewolnikiem przyrody, musi akceptować to co mu ona daje, zarówno rzecz samą jak i warunki, w których ta rzecz się przedstawia.

Jeżeli lekarz pragnie ocenić, jaki wpływ wywiera dany klimat na pewną chorobę i w tym celu przenosi chorego z innego klimatu w ten, o który mu idzie, to musi, niestety, uznać, że następna obserwacya sprawionego przez to przeniesienie rezultatu nie będzie wolną od wielu wpływów postronnych i niepodobnych do usunięcia. Jeżeli w nowym klimacie zdrowie chorego dozną zmiany—zmiana ta mogła powstać zarówno z wpływu klimatycznego, jak z odbytéj podróży, z wpływu otoczenia, ze zmiany pożywienia, wody, z warunków wewnętrznych rozwoju choroby i t. p.

Przy doświadczeniu badacz jest panem przedmiotu, może go analizować, warunki dowolnie zmieniać, częściowo usuwać i stopniowo oceniać wpływ różnych przyczyn na wywołanie pewnego skutku.

Jeżeli fizyk chce się przekonać, jaką jest rozpuszczalna siła wody względem soli kuchennéj w różnéj temperaturze — to, opanowawszy przedmiot, urozmaica doświadczenia, dobierając do nich wodę miękką, twardą, dystylowaną, sól w różnym układzie cząsteczek i mieszając to przy najrozmaitszych temperaturach. Kombinacii może być tysiące, doświadczeń setki — rezultat powinien być ścisły, niewątpliwy.

Że zwykle obserwacya i eksperyment kojarzą się, czasami nawet jedna warunkuje drugi,' to nie ulega wątpliwości; często jednakże doświadczenie ścisłe jest wprost niemożliwe. W nauce przyrody ścisłe „fizyczno-chemiczne," że się tak wyrażę, doświadczenie jest prawie niemożliwe tam, gdzie idzie o ilości i stosunki niewymiernie małe lub niewymiernie wielkie; dlatego równie jest prawie niepodobne do osiągnięcia w sprawach biologicznych z należytą ścisłością.

Mniejsza lub większa ścisłość obserwacyi lub doświadczenia ocenia się tém czy rezultat jednéj lub drugiego t. j. wniosek naukowy da się wyrazić matematycznie, czy też ten wniosek jest taki, że go tylko co najwyżéj można opowiedzieć, ale w istotną formułę matematyczną przyoblec go niepodobna.

Tu trudno nam obyć się bez pewnych określeń specyalnych.

Ogólnikowe wyrażenie, iż „wszystko na świecie ma swoję przyczynę" da się przełożyć matematycznie na taką prawdę, że każda rzecz jest *funkcyą* jakiéjś *zmiennéj*. Ciepło w lecie i zimno w zimie zależą od położenia ziemi względem słońca, są funkcyą tego położenia, zmieniają się wraz ze zmianą położenia. Podobnie bujność wegetacyi zależy od przeciętnéj temperatury miejsca, długość liny od wilgoci powietrza, blask płomienia od czystości powietrza, siła wzroku od kształtu oka i t. p. Wszystko to są funkcye pewnych zmiennych, które-to zmienne z kolei są lub być mogą funkcyami innych zmiennych, bo np. bujność wegetacyi zależy od temperatury, temperatura miejsca od jego położenia, od czasu i t. d. Przytém niejedna rzecz bywa spółcześnie funkcyą wielu zmiennych; i tak, dajmy na to, wytrzymałość mostu zależy od materyału z którego most zbudowany, od kształtu, od wielkości jego części składowych, od pory roku, od natury gruntu podwodnego i w. i. Obrazowo się to tak przedstawia, że $R = f(x)$ lub $R = f(x, y, z \ldots)$: zjawisko lub rzecz R zależy (jest funkcyą) od zmiennéj x lub od zmiennych $x, y, z, \ldots$

Wszelkie usiłowania ludzi uczonych od najdawniejszych czasów, cała historya badania przyrody od Talesa aż do Darwina, jest historyą prób i pomysłów mających na celu wykrywanie tych funkcyj t. j. zbadanie, *jaką* jest zależność skutku od przyczyn w każdym danym wypadku. Zowie się to, zbyt szumnie czasem, wyszukiwaniem *praw natury*.

Jakąż bywa w rzeczy saméj ta zależność skutku od przyczyny, funkcyi od zmiennéj, w przyrodzie?

Bywa nader rozmaitą. Dla określenia jéj nie wystarczyły człowiekowi pierwotne cztery działania arytmetyczne i wynalazł w ciągu wieków długi szereg nowych metod matematycznych, przy po-

mocy których niejedno jeszcze odkrył prawo natury i coraz to nowe odkrywa. Lecz w większéj liczbie wypadków, zagadkowość zjawisk, ich zależność od przyczyn, jest tak zawikłana, że pomoc najwyższych metod i rozumowań nie wystarcza; tak, iż w szczupłym tylko zakresie nauki o niektórych objawach przyrodniczych związano dotąd skutek z przyczyną za pośrednictwem ścisłych wzorów matematycznych.

W najogólniejszym atoli zakresie powiedzieć można, że zależność skutku od przyczyny jest bardzo prosta: albo funkcya się powiększa gdy się zmienna powiększa i odwrotnie (zależność prosta); albo funkcya się powiększa, gdy się zmienna zmniejsza i odwrotnie (zależność odwrotna). Stąd np. objętość ciał jest funkcyą prostą ich temperatury a blask światła funkcyą odwrotną jego oddalenia.

Obrazowo się to tak przedstawia, pod formą ułamku, że

$$\text{prosta } f(x) = \frac{ax}{b}, \quad \text{odwrotna } f(x) = \frac{a}{bx}$$

w piérwszym bowiem razie wartość funkcyi rośnie lub maleje wraz z x, w drugim jest zależność przeciwna. Jeszcze raz powtarzamy, że idzie tu nie o ścisłość matematyczną, lecz o najprostszą formę zależności proporcyonalnéj.

Podobnież gdy skutek zależy od wielu przyczyn, od niektórych w sposób prosty, od innych w odwrotny

$$f(x, y, z, t, u \ldots) = \frac{axt}{byz..}$$

co znaczy, że *jak* się zmieniają przyczyny x, t., *tak samo* się zmienia i skutek f, a znowu skutek ten zmienia się wprost *przeciwnie* niż się zmieniają przyczyny y, z.

•
• •

W zakresie stosunków, którémi się zajmują nauki przyrodnicze, przeprowadzanie obserwacyj i doświadczeń dla wykrycia matematycznéj natury owych funkcyj czyli zależności ich od zmiennych przedstawia tę dogodność, że badacz przyrody ma zwykle do czynienia z przedmiotami i zjawiskami zewnętrznie istniejącémi, które zatém dają się mierzyć, liczyć, ważyć i t. p. Chociażby więc taki badacz rzucił się na rozwiązanie najtrudniejszych zagadek np. wieku ziemi lub pochodzenia człowieka — zawsze dla ich rozwiązania znajdzie pod ręką pewne argumenta realne, *ad oculos* przemawiające, jakieś pokłady warstw ziemi, ich grubość lub znowu w drugiéj kwestyi jakieś stopniowe zmiany w kształcie kośćca, w budowie mózgu zwierząt etc. Z powodu iż argumenta te częstokroć nie wystarczają, a śmielsze umysły nie lubią kroczyć na pasku, mnożą się w róż-

nych gałęziach nauki efemeryczne teorye i hypotezy, które wprowadzają do kodeksu nauki pod nazwą „praw“ natury samowolne niepowołanych szkół ukazy. Dziennikarstwo naukowe wszelkich specyalności żywi się tą strawą, która jednak rzadko zyskuje prawo obywatelstwa w podręcznikach naukowych, gdyż tu sprawdzian doświadczalny jest, a przynajmniéj powinien być, niezbędnym każdego wniosku naukowego warunkiem, chociażby ten wniosek przeszedł przez najsilniejszy ogień rozumowania i matematycznéj krytyki.

Tak więc w naukach przyrodniczych i stosowanych wykrywanie prawdy jest zawarowane korzystnémi dla badacza stosunkami: przedmiotu, metod i weryfikacyi; nikt może nie wié w téj chwili jaki zachodzi związek między zjawiskiem elektrycznêm *A* i zjawiskiem optycznêm *B*, ale każdy wierzy, i słusznie, że związek ten istnieje i że kiedyś da się ściśle oznaczyć.

Jakąż olbrzymią spostrzeżemy pod tym względem różnicę, przeniósłszy się na pole umiejętności, w których duch ludzki i jego objawy jako czynniki objektywne występują!

Tu przedewszystkiém o doświadczeniu, o ścisłém doświadczeniu, nie może być mowy. Żaden historyozof, prawnik, psycholog, etnolog, ekonomista nie mogą zjawisk przez siebie badanych identycznie powtarzać, nie mogą odpowiednio dobierać warunków dla tych zjawisk ani ich stopniowo usuwać.

Następnie trzeba pamiętać, że w téj grupie umiejętności zjawiska są daleko więcéj powikłane, skutki zależą od większéj liczby przyczyn, funkcye muszą być nadzwyczaj skomplikowane wobec niezliczonych zmiennych, wobec przyczyn, które są znowu skutkami całego szeregu innych zmiennych, tak iż zwykle ostateczne x, którego poszukuje np. ekonomista, jest samo przez się zawikłaną funkcyą wielu zjawisk przyrody, niepodobną do ścisłego określenia. Stąd pochodzi, że najtęższe umysły, które się wysilały na to, aby matematycznie rozwiązać kwestyę politycznych wstrząśnień, albo pauperyzmu, albo własności, albo wolnéj woli—w rezultacie ośmieszały się tylko. Na téj linii bojowéj rycerze nauki wiele już dokonywają, jeśli trafnie spostrzegą, że *A* zależy od *B*; w jakim zaś stopniu i jaka jest ta zależność, to sprawa, nad którą ludzkość nigdy chyba myśléć nie przestanie, nawet co do zagadnień pozornie prostych. Tak zwana socyologia jest zbiorem ciekawych i nieraz głębokich wniosków, ale czy się przemieni w umiejętność ścisłą, jest to pytanie, na które dziś potwierdzająco odpowiedziéć nie podobna.

Dlaczego? Zobaczmy co pozostało naukom „duchowym,“ jakie źródła dochodzenia prawdy, jakie metody.

Źródło zostało im jedno, jedyne: obserwacya, spostrzeganie tego co jest, co się dzieje w danych, zawikłanych warunkach.

Jestto wiele ale zarazem i mało. Wiele dlatego, żeby umysłom bystrym i głębokim dać pole do świetnych i porywających wniosków; żeby tworzyć znakomite i logicznie silne hypotezy, teorye, szkoły; ale zamało na to, aby postawić teoryą ścisłą, nie dopuszczającą wyjątków, tak jak są w naukach przyrodniczych „prawa,“ od których, wbrew przysłowiu, wyjątku nikt nie znajdzie a przynajmniéj nikt dotąd nie znalazł.

Z obserwacyi zjawisk tego porządku wyprowadzano wszelkie systemata filozoficzne, ekonomiczne, prawne i t. d., a wszystkie z dobrą wiarą. Żaden atoli z nich się nie ostoi wobec twardéj rzeczywistości, gdyż duch ludzki, podstawa wszystkiego, nie pozostaje ani przez chwilę tém, czém był w chwili poprzedniéj, i stąd niczego wypróbować, nic sprawdzić, niczego doświadczyć nie pozwala.

Ta ułomność ducha ludzkiego jest zarazem jego siłą i życiem. W niéj czerpie on podnietę do ciągłéj walki: mozoląc się — nabiera energii, upadając—tryumfuje, schodząc na manowce—prostuje ścieżki, druzgocząc — buduje. W państwie ducha niema bezwzględnéj prawdy i bezwzględnego fałszu, niema bezwzględności. Niema, to znaczy, że w świecie realnym, zewnętrznym nie ujawniły się... Daléj niech sięgnie myślą kto umié....

Niewiara w tym kierunku, sceptyczne zapatrywanie się badaczów na możliwe rezultaty poszukiwania prawdy w zakresie stosunków ludzkich — rzeczy to stare jak świat. Obserwacya nie wystarcza, eksperyment jest niemożliwy -- trzeba więc było szukać dróg pośrednich dla dostarczenia rozumowaniu argumentów.

Stąd powstała statystyka.

W statystyce „nauki duchowe“ pozyskały silne narzędzie badania. Nie dosięgło ono wprawdzie do téj siły, jaką mają doświadczenia t. j. sztuczne wywoływanie zjawisk w różnych warunkach, ale poniekąd, i w niektórych kierunkach szczęśliwie, zastąpiło jego brak.

Zbierając cyfry odnoszące się do różnych stosunków ludzkich z wielu miejsc i z odległych epok — dozwala częściowo wyosobniać pewne zjawiska z chaosu innych zjawisk i wnioskować, jakie są przyczyny pewnych skutków lub odwrotnie.

Tym sposobem zwłaszcza ekonomia polityczna zdobyła dla siebie wiele cennych wskazówek, które, choć nie mogą miéć cechy ścisłości naukowéj, przedstawiają jednak wartość praktyczną i przy umiejętném stosowaniu mogą być spożytkowane korzystnie.

Ale też po za sferą tych fenomenów, przeważnie materyalnéj natury, któréml się zajmuje ekonomia a które polityka finansowa w praktyce uwzględnia, po za sferą tych zjawisk, dotychczasowy pożytek statystyki bardzo jest niewielki w obrębie stosunków życia ludzkiego. Najwątpliwsze zaś są wszystkie te wnioski, które dotyczą głębszych zagadnień duchowych, gwoli którym prowadzi się statystyka moralności, szkolnictwa, praktyk religijnych i i.

Wnioskowanie ze statystyki, tak jak wogóle wnioskowanie z saméj obserwacyi, któréj statystyka jest uzupełnieniem, nigdy nie może być ścisłém, jeżeli nie może być ściśle matematycznem (np. w astronomii). Choćby cyfry były jak najwierniejsze (co w statystyce rzadko się trafia), wniosek z nich o tyle tylko będzie prawdziwy, o ile się ogranicza na prostém skonstatowaniu faktu w nich zawartego. Jeżeli w r. 1850 wyemigrowało z Niemiec tysiąc osób a w roku 1860 dwa tysiące — to jedyny wniosek jaki mi tu postawić wolno, będzie ten, że w r. 1860 wyemigrowało z Niemiec dwa razy tyle co w 1850. Gdyby inny statystyk spółcześnie sprawdził, że w r. 1860 cena kartofli była większą niż w 1850 i stąd wywnioskował, że zwiększenie emigracyi powstało skutkiem drożyzny, wniosek jego byłby może słuszny ale od ścisłości daleki. Bo oto z innych działów cyfry statystyczne dotyczące tych dwóch lat zaznaczą nam, dajmy na to, wielką różnicę w śmiertelności ludności niemieckiéj, w poborze do wojska, w energii ściągania podatków, w doniosłości takich klęsk jak powodzie i w. i. Zajdzie wtedy pytanie co i w jakim stopniu emigracyą w r. 1860 podniosło. Jedna przyczyna dodała jéj pewną ilość jednostek, druga jeszcze inną, trzecia może tego i owego powstrzymała; jedném słowem w owéj wielkiéj funkcyi [f (x, y, z, t . . .)], jaką przedstawia emigracya, jedna przyczyna znajdzie się w liczniku, inna w mianowniku. I kto wie czy po dokładném (niestety, niemożliwém) obliczeniu wszelkich wpływów, nie okaże się, iż właśnie jedna ze zmiennych (x), drożyzna kartofli, była przyczyną powstrzymującą od emigracyi, nie zaś do niéj pobudzającą.

Nietylko z powyższych rozumowań wynika niepodobieństwo ścisłego wnioskowania z cyfr statystycznych, zwłaszcza w sprawach głębszéj natury umysłowéj i moralnéj. W naszych czasach wynika ono jeszcze i stąd, że statystyka jest niedawną, bardzo nawet młodą nauką; niektóre jéj działy tylko co wypełniać zaczęto, wiele jeszcze leży odłogiem, nawet w krajach na jawności opartych; a w życiu ludzkości jest wiele takich spraw, które płyną bardzo równym prądem i trzebaby chyba tysiącoleci, żeby w nich przybór lub upadek dostrzedz.

Do takich, między innémi, należy moralność społeczna, któréj zasady są niezmiennie jedne i te same wszędzie, w któréj siła i powierzchowne cechy podlegają różnym zmianom. Co na te zmiany wpływa? Obserwacya wskazuje nam tysiące przyczyn: od kultu religijnego, który wyznajemy, do powietrza, którém oddychamy. Statystyka moralności, porównana z jednoczesną statystyką gęstości zaludnienia, taniości produktów spożywczych, ucisku fiskalnego, zdrowotności, szkolnictwa i w. i. może przedstawić ciekawe stosunki zależności czynów moralnych danéj grupy społecznéj od tych wszystkich zjawisk. Kto jednak z téj różnorodnéj wiązanki przyczyn i skutków wybiera jeden i zestawiwszy z kilkudziesięciu lat cyfry przestępstw z cyfrą analfabetów, woła iż *oświata nie wpływa na moralność*, ten przypomina mi naiwnego ucznia, co zaczerpnąwszy z rzeki szklankę wody rzekł do nauczyciela: „ażaliż ta woda jest bieżącą? wszakże stoi.“

Niektórzy statystycy w rzeczy saméj posuwają do śmieszności swoję wiarę w łatwość wnioskowania z cyfr zestawianych porównawczo: jest to błąd nie do darowania w każdym głębszym myślicielu a popełniają go, niestety, i pierwszorzędni uczeni, zresztą w najlepszéj wierze, co wytłómaczyć można tylko zbytkiem jednostronności, dość częstym u specyalistów, wyradzającym się zwykle w „uprzedzenie,“ tego największego wroga prawdy.

Takie uprzedzenie, poparte cyframi, których wymowa, jak widzieliśmy, może być pozorną, bywa źródłem wielu ekscentrycznych a niekiedy i niebezpiecznych teoryj, i dlatego nie trzeba nigdy zapominać, że statystyka, potężny czynnik społeczny, staje się niekiedy narzędziem fałszu. Jeżeli gdzie to w jéj zakresie niebezpieczną jest rzeczą przysięgać na „słowa“ mistrzów.

Echo nieraz wznawianéj walki w kwestyi czy oświata ma wpływ na moralność, walki do któréj teraz i statystyka dostarcza broni, ale broni bardzo niedokładnéj jeszcze i nieskutecznéj; echo téj walki odbiło się niedawno i w naszéj prasie, wywołując długi szereg artykułów polemicznych, częścią zbyt namiętnych, częścią zaś z podniosłego stanowiska fejletonu wyrażających jednakową i dla nauki i dla moralności protekcyjną tolerancyą.

Pomijając pewne strony tego dziennikarskiego boju, który dobrze się zapisze w kroniczce naszéj zwykle jałowéj publicystyki, uznaliśmy za potrzebne wypowiedzieć tu z ogólnego stanowiska parę słów o saméj zasadzie sporu, tak jak go rozpoczęto, t. j. o wiarogodności użytych w nim argumentów statystycznych. Szczegóły t. j. cyfry, czas jaki one obejmują, przestrzeń do jakiej się odnoszą,

pozostawiamy w spokoju, bo wobec tego cośmy wyżéj powiedzieli, są to już rzeczy podrzędne.

Statystyka moralności i oświaty, dopóki ją ludzie prowadzić będą, nie rozwiąże zagadki jaki jest wpływ oświaty na moralność. Jest-że to więc kwestya niepodobna do rozwiązania?

Naszém zdaniem ludzkość już w zaraniu dziejów odpowiedziała na tę kwestyą, uznała wpływ oświaty na swoje dobro, a więc na moralność, wpływ dodatni, i w tym duchu rozwijają się dzieje rodu ludzkiego dotychczas. W imię téj idei, że oświata wspiera moralność, walczono i walczy się dotąd o swobodę sumienia, wolność myśli i słowa. Jeżeli moralność z nauki nie osiąga korzyści, to cały nasz dorobek cywilizacyjny jest fałszywym skarbem: szkoły winny być rozsadnikami zasad moralnych a więc nauka ma znowu pójść w niewolę. — Do kogo? — Na doradcach zbywać nie będzie. Przymus szkolny staje się zbrodnią. Umysłowy census wyborczy niegodziwością. Wyższość inteligencyi piętnem hańby....

Ale nie dla deklamacyi podnieśliśmy tu głos w sprawie, która obrony nie potrzebuje. Chcieliśmy tylko okazać, że takich kwestyj, z życiem człowieka związanych, daleko więcéj stawiać niż rozwiązywać można. A niektóre są tego rodzaju, że je rozstrzyga tylko samo życie. Statystyka t. j. obserwacya nie odpowie nigdy na pytanie: przez co stajemy się lepsi a przez co gorsi; tak jak nie odpowie na pytania wątpiących o życiu przyszłém, o karze i nagrodzie.

Filip Sulimierski.

Nowe książki dla dzieci i młodzieży.

1. O Szaréj godzinie. Opowiadanie dziejów ojczystych przez Z. Morawską. Warszawa. 1883 str. 342.—2. Przygody młodego podróżnika w Tatrach. Z dziennika Kazia przepisała M. J. Zaleska (z 15 drzeworytami). Warsz. 1882 str. 192.—3. Teresa Jadwiga. Szlachetne marzenia.. Stacho. Późny Żal. Królowa lilij. Giovano Monti. Warsz. 1883 str. 439.—4. Matka. Poemacik dla dzieci skreślił Władysław B. Lwów. 1882 str. 43.—5 O zmroku. 24 powiastek dla młodocianego wieku skreślił Władysław Piast (z 8-ma rycinami). Warsz. 1883. str. 154.—6) Eugeniusz Müller. Młodość sławnych ludzi. Przekład Jana Chęcińskiego, z 23 rycinami. Wydanie drugie. Warsz. 1883. str. 296.—7) Duch Puszczy. Opowiadanie z amerykańskich borów. Według D-ra Birda obrobił Wł. L. Anczyc. Wydanie drugie z 8 rycinami. Warsz. 1883 str. 281.—8) Perły. Zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiej dla młodocianego wieku. Wolny przekład Wł. L. Anczyca. Wydanie drugie z 8 rycinami. Warsz. 1883 str. 250.

Z niejaką pociechą zaznaczyć można tę okoliczność, iż w naszéj literaturze, dla dzieci i młodzieży przeznaczonej, pojawiać się zaczyna z każdym rokiem coraz więcéj prac oryginalnych, osnutych na stosunkach miejscowych, psychologicznie i pedagogicznie najlepiéj odpowiadających zadaniu kształcenia dorastających pokoleń. Liczba prac tych nie wyrównywa jeszcze liczbie utworów obcych, przyswojonych piśmiennictwu naszemu dla zadosyćuczynienia popytowi na książki kolendowe czy gwiazdkowe, lecz i to już rzecz ważna, iż zrozumiano o ile się zdaje, zarówno w sferach wydawniczych jak i wśrod rodzin, niewłaściwość ciągłego podsuwania oczom młodzieży obrazów, osób, krajobrazów i wypadków dalekich i cudzoziemskich, zamiast bliskich i swojskich.

Jednakże, pomimo całego uznania dla tego objawu w naszéj gospodarce umysłowéj, niepodobna poczytywać dzisiejszego stanu piśmiennictwa dziecinnego za całkiem zadawalniający, niepodobna się pochlubić, jakoby w téj przynajmniéj dziedzinie pracy społecznéj przewaga cudzoziemczyzny była zachwiana. Najprzód ilościowo jesteśmy jeszcze w niepomiernéj zależności od zagranicy. Nie jest to wszakże wzgląd najważniejszy; jeżeli bowiem zaznaczony dopiero co zwrot pomyślny potrwa dłużéj i wzmagać się będzie w sile, to można

się spodziewać, że dojdziemy kiedyś w wydawnictwach naszych do równowagi żywiołu swojskiego z obcym. O wiele więcéj zastanowić winien fakt, że utwory z obcéj literatury wzięte *jakościowo* stoją wyżéj od naszych krajowych; są lepiéj, bardziéj zajmująco pisane, a więc i chętniéj czytane, czego wymownym dowodem są ich kilkakrotne wydania. W obec tego faktu nawet przewaga liczebna książek gwiazdkowych swojskich nie stanowiłaby wygranéj, gdyż mniejsza liczba dobrych, interesujących utworów przytłumiłaby znaczenie i wpływ większéj liczby licho napisanych i nudnych. Jak temu zaradzić? Talentów nie można wprawdzie stworzyć, ale można je ukształcić. Na zdolnościach nam nie zbywa, lecz zbywa nam na ich uprawie. Ci, co piszą dla dzieci. trochę lekceważą sobie tę pracę, nie zastanawiając się należycie nad tém, że omyłki w książkach dla dzieci zawarte donioślejsze mają znaczenie, aniżeli błędy w dziełach dla dorosłych; że niedbalstwo stylowe i językowe, naganne wszędzie, jeszcze bardziéj na naganę zasługuje w utworach mających być karmią umysłową młodzieży; że pomysł sam nie może zastąpić obrobienia.

Uwagi te znajdą swe usprawiedliwienie w poniższym rozbiorze, który rozpoczynam od książek treści poważniejszéj.

Opowiadanie dzieciom historyi przedstawia nadzwyczaj wielkie trudności, których nie mogąc pokonać uciekano się do różnych surrogatów mających odgrywać rolę właściwéj nauki dziejów; powstały więc anegdoty historyczne, życiorysy sławnych ludzi, loteryjki historyczne i t. p. Każdy z tych surrogatów ma swoje zalety, ale żaden nie może dać należytego pojęcia o ciągłości rozwoju historycznego wśrod najrozmaitszych przemian, żaden nie przygotowuje do zrozumienia dziejów w ściślejszém znaczeniu wyrazu. A jednakże przygotowania takiego potrzeba ze względu na wszechstronny rozwój umysłowości dziecka i ze względu na konieczność zapoznania dzieci w dość wczesnym wieku z główniejszémi faktami życia narodowego. W poczuciu téj potrzeby, od początku naszego stulecia starano się przedstawić dzieje krajowe w sposób tak przystępny, iżby nawet umysł mało rozwinięty mógł je zrozumiéć i przyswoić sobie. Przez bardzo długi czas „Pielgrzym w Dobromilu,“ pierwotnie w myśli autorki dla ludu przeznaczony, był przewodnikiem dla dziatwy w ogóle po krainie przeszłości. Potém „Wieczory w Ojcowie“ ku temu samemu celowi służyły. I te jednakże książki, jakkolwiek bardzo przystępnie pisane, zrozumiałe były dla starszéj dziatwy, gdy tymczasem młodsza potrzebowała jeszcze czynnéj ze strony wychowawców w rozumieniu pomocy. Istnieje króciutka historyja Polski Józefa Chociszewskiego opatrzona mnóstwem rycin, przedstawiających nie tylko postaci królów ale i rozmaite przedmioty ciekawe a dziś al-

bo zupełnie już w zwykłem życiu nie spotykane, albo też w różnych stronach kraju rozproszone. Zwięzłość atoli opowiadania, brak ożywienia w stylu sprawiają, że książeczka ta, skądinąd bardzo mało u nas znana, nie nadaje się do *czytania* dla dzieci. Najświeższą próbą udostępnienia dziejów dla młodziutkich czytelników jest dziełko p. Zofii Morawskiéj p. n. „O szaréj godzinie.“ Autorka użyła w niém formy rozmowy matki z dziećmi. Forma-to w zastosowaniu do wykładu innych przedmiotów już oddawna u nas znana (użyła jéj Tańska w celu przedstawienia zasad religii, w dziełku „Amelija Matką“), lecz w zastosowaniu do dziejów ojczystych dość nowa. P. Morawska najbliższy wzór miała w książce Wojcickiego, „Biblioteczka Dziadunia,“ gdzie są opowiedziane dzieje literatury polskiéj w rozmowie dziadka z wnukami. Szkoda, że wzoru tego, w dobrych jego częściach nie naśladowała autorka; szkoda, że nie przedstawiła szczegółowo i zajmująco zarówno osób do rozmowy wchodzących, jako téż otoczenia, gdyż tym sposobem przywiązałaby silniéj uwagę czytelników do tego, co się w owém towarzystwie mówi; z dobrze znajomemi rozmowa jest swobodniejsza. Szkoda także, iż usposobienia młodych słuchaczów matki nie są żywiéj skreślone; autorka ogólnikowo tylko daje poznać, że Marynia jest zawsze poważniejsza od swojego rodzeństwa, Staś jest małym burczymuchą, a Helenka ma talent do wynajdywania porównań. Téj ogólnikowéj charakterystyce pozostaje p. M. wierną przez ciąg cały książki; jest to niewątpliwie cennym jéj przymiotem, ale ponieważ w rozmowach dzieci między sobą brak urozmaicenia, ponieważ mniej więcéj każda „szara godzina“ rozpoczyna się od kilku stereotypowych niemal frazesów; więc interes, jaki się budzi w dzieciach, pochodzi raczéj z treści saméj niż z formy. Bądźcobądź jednak forma ta pozwala dawać dzieciom w każdéj chwili objaśnienia i przyczynia się tym sposobem do uczynienia treści całkiem zrozumiałą. A ponieważ, p. M. pisze jasno, można śmiało twierdzić, że autorka zaledwie kilka pojęć niedostępnych dla umysłów dziecinnych pozostawiła bez żadnego komentarza i że cała jéj książka może być czytaną przez dzieci bez ciągłéj pomocy wychowawców. Jest to zaleta, kóréj lekceważyć nie można, gdyż ona to nadaje książce tę cechę dostępności co ją z naukowéj na belletrystyczną niemal przemienia.

Tak więc sam pomysł a nawet obrobienie, w ogóle biorąc, zasługują na uznanie, czynią książkę wielce pożądaną. Ale czy w szczegółach znajdujemy tę możliwą do osiągnięcia ścisłość, która prawdę od fałszu ściśle odróżnia? Czy znajdujemy tę, również do osiągnięcia możliwą poprawność stylu i języka, która nie stanowiąc jeszcze przymiotu piękności już jest jego przygotowaniem? Na te pytania zupełnie

zadawalniająca odpowiedź niepodobna. Historya przedstawiona przez p. Morawską jest to po dawnemu historya królów z krótkiemi wzmiankami o wodzach, biskupach, uczonych i poetach; z jéj opowiadania powziąć może dziecko to fałszywe wyobrażenie, że wszystko co się w Polsce działo, działo się przez królów, że ich zalety i wady stanowiły o szczęściu lub nieszczęściu narodu. Rozumiem trudności przedstawienia dzieciom w sposób zrozumiały dziejów życia narodu; dziecię bowiem z natury swego umysłu pragnie wszystko odnosić do pewnych osobistości żywych i namacalnych, bardzo powoli i wcale niełatwo przyswaja sobie pojęcie o działaniu mas; ale właśnie nauka ku temu służyć ma, ażeby w umysł dziecinny takie pojęcia wpajać; od każdego zatém piszącego dzisiaj historyą dla dzieci musimy tyle przynajmniéj wymagać, aby owo zadanie nauki mając na względzie, ku urzeczywistnieniu jego choć o krok się przybliżał. Atoli pomijając nawet tą okoliczność, napotykamy w książce p. M-éj fakta niezgodne nie tylko już z najnowszemi badaniami, ale w ogóle z ustalonemi szczegółami dziejowemi. Takie omyłki, jak ta, że statut Łaskiego—to statut litewski (str. 179), żę *Pius II* (!) ofiaruje naszemu Zygmuntowi I najwyższe dowództwo nad wojskami chrześcijańskiemi (str. 182), że ten Zygmunt I nie wydawał rozkazów przeciwko zaczynającéj się przedostawać do Polski reformacyi (str: 188), że w Galicyi dopiero na sejmie r. 1861 uwolniono lud wiejski od pańszczyzny (str. 339) lub téż, że Jan Kochanowski nie był uczniem akademii krakowskiéj (str. 203), że Batory założył akademią w Wilnie, r. 1583 nie powinny się znajdować w książce elementarnéj. Może jedyna, co do tych i tym podobnych błędów, pociecha na tém zasadzać się będzie, iż dzieci nie zapamiętają tych szczegółów, ale w takim razie po co je autorka pomieściła; wszak można było bez nich się obejść, a gdy się je chciało podać, to należało wprzód dobrze sprawdzić; teraz musimy p. M..éj zarzucić nieuwagę. Innego rodzaju nieuwaga polega na tém, że autorka nie daje na właściwém miejscu potrzebnych objaśnień, lub téż pomija je całkiém. Tak np. na str. 147-9 znajdują czytelnicy obszerniejszą wiadomość o Litwie, gdyż już poprzednio kilkakrotnie z nazwiskiem Litwinów się spotykali. Nawiasowo dodano, że nieśmiertelny „znicz" tu figuruje, jakby krytyka historyczna nic o nim nie wyrzekła. Podobneż spóźnione objaśnienie wyczytujemy na str. 235 o jezuitach, o których już na poprzedzających kartach niejedno słyszeliśmy, O Prusakach zaś (na str. 68, 106 i in.) nie znajdujemy zgoła najmniejszej wskazówki, że to nie byli Prusacy dzisiejsi, ale że należeli do tegoż „łotyckiego" jak autorka pisze plemienia, co Litwini i Żmudzini. Z innego znów działu błędów trudno nie wspomnieć, że gdy p. M. objaśnia takie pojęcie jak kraj, nie powiada wcale, co to

jest „cywilizacya“, chociaż wyrazu tego używa często, przyczém przenośniami jeszcze bardziej pojęcie to nietylko dla dzieci mętne, jeszcze mętniejszém czyni. Podobnież rzecz się ma z „konfederacyą“ (str. 259 i in.) „swobodami i przywilejami“. Autorka czasami nie spostrzega popełnionéj przez siebie niekonsekwencyi. I tak Helenka, która na str. 7 nie rozumie, co to jest *kraj*, na str, 10 recytuje jako rzecz wyuczoną i dobrze zapamiętaną, że Europa jest jedną z pięciu części świata, w której jest bardzo dużo krajów etc. Jeżeli Helenka wypowiedziala to bezmyślnie, nie rozumiejąc co mówi, dlaczego matka nie zwróciła na to uwagi i dlaczego nie dała stosownéj nauczki. Ale kiedyż-bo i ta mama nie zawsze sama dobrze rozumie wyrazy, którémi się posługuje. Na str. 268 użyty jest wyraz „samorząd“ w znaczeniu „swawola“; wyrazu tego używa w ten sposób Staś; matka nietylko nieprostuje tego błędnego wyrażenia, ale co gorsza, sama je na str. 269 w tymże sensie powtarza. A w objaśnieniach pojęć oderwanych jakże się biedaczka plącze! Gdybyśmy legend nie znali — powiada — „trudno byłoby *odrazu* powiedziéć, że w X wieku Mieczysław I wprowadził wiarę chrześcijańską, kiedy nie mielibyśmy najmniejszego pojęcia, zkąd się wzięli Polanie“ (str. 61); zapomina przy tém, że jedno z drugim ścisłego związku nie ma, i że ta sama trudność istnieje i wtedy, gdy tak jak autorka zaczniemy nasze opowiadanie *odrazu* od wieku IV. A i te legendy tłómaczy matka nietrafnie, zazwyczaj allegorycznie, powiada, że są one poezyą narodu a przedstawia je sucho, bezbarwnie. Zewnętrznym rzeczom zbyt wiele przyznaje mocy; raz np. (str. 32) mówi, że tytuł księcia był bardzo potrzebny: „narodu bowiem coraz to więcej przybywało, dowódca więc *musiał mieć powagę*“; gdzieindziej przypisuje ten cudowny skutek „koronie“.

Styl i język są wogóle poprawne; usterki zaś napotykane tu i owdzie dowodzą, że autorka zamało zadała sobie pracy w ostateczném wykończeniu. Gdyby p. M. pilniéj przejrzala była rękopism, możebyśmy nie znaleźli takich np. wyrażeń: str. 16: w całéj *okolicy około* Gopła, str. 33: obrał sobie stolic*ą*, str. 47: doszło do nas tradycy*ą*, str. 42: ale tylko to umieli, *co* się nauczyli, str. 47: jest... uosobieni*em* skrzętności i dob*re* (zapewne dobrego) gospodarstw*o* Piasta, któremu nie tylko samemu na niczém nie zbywało, *ale jeszcze chętnie dzielił z innymi*; str. 90: *doskonałą sprawił* Niemcom *porażkę* 181: zadał im *doskonałą porażkę*. 270: *dzielną* im *sprawił porażkę*; str. 99: oni opłacali podatki i ponosili (? co?) dla kraju; str. 108: niemało nam innych klęsk *przyczynił*; str. 133: *knowając* zdradę; str. 135: sposób *przyuczania się* wielu rzemiosł; str. 154: poznosiła wszelkie *ponadawane* podatki; str. 195: wiele innych spraw pilnych wołało (o co?)

str. 303: chcąc *rozszerzyć upadającą* oświatę; str. 313: nie mogli *wziąć* dobrego wyobrażenia; str. 317: chciał pozostały kawałek ziemi uczynić *silnym*. Do zwiększenia tych niepoprawności przyczyniła się licha korekta. Ona-to kazała Zygmuntowi Augustowi umierać w Krzyszynie (195); ona uśmierciła Augusta III dopiero w r. 1773 (str. 294), ona *przelękłego* Stanisława Augusta przeminiła na *przeklętego* (str. 313) ona, kozakom kazała zostać *luzakami* tylko (str. 261): ona Newel dwukrotnie na *Bewel* przeinaczyła (str. 217); ona pozostawiła ten niezdarny frazes str. 294: otrzymał księstwo w Niemczech, *gdzie* zamieszkał *tam*, robiąc starania, powrotu do Polski i odzyskani*e* dziedzicznego majątku...

Na niestaranną korektę utyskiwać będę musiał przy każdéj książce, na styl przy niektórych tylko, a najmniéj przy téj, którą p. Zaleska przepisała z dziennika Kazia, ucznia 4-éj klasy i ogłosiła p. n. „Przygody młodego podróżnika w Tatrach.“ Są-to bardzo dobrze, żywo, zajmująco skreślone wrażenia i spostrzeżenia młodzieńca, który z powodu nadwątlonego pracą szkolną zdrowia wyjeżdża z rodziną do Zakopanego i stamtąd robi w różne strony wycieczki. Ponieważ ma umysł świeży i dosyć bystry więc widzi dobrze, dużo obserwuje i pozostaje ciągle w dobrym humorze; a ponieważ ma siostrę zapaloną botaniczkę, więc jéj spostrzeżenia łączy ze swojémi i tym sposobem wzbogaca wielce treść swego dziennika. Wybieranie się w drogę, króciutki pobyt w Krakowie, droga do Zakopanego, wycieczki do doliny strążyskiéj, kościeliskiéj, modołęckiéj, do Morskiego Oka przez Zawrat, na Giewont, zwiedzanie pieczary dobrzyńskiéj, dnie słotne i pogodne, miejscowości i ludzi, czasami nawet wypadki przesuwają się różnie przed oczyma wyobraźni, a nieźle wykonane drzeworyty dopomagają do uprzytomnienia sobie szczegółów ciekawszych lub ważniejszych. Jest-to niewątpliwie jedna z najlepszych książek gwiazdkowych. Jeżeliby można zrobić jéj jaki zarzut, to chyba ten, że jak na dziennik ucznia 4-éj klasy rzecz to za mądra i zanadto dobrze napisana; zapewne sama autorka lepiejby już napisać nie potrafiła. Istotnie z dziennika tego nie widać, żeby go pisał młodzieniaszek; poznać atoli można odrazu, że pisze go osoba z charakterem dzieci dobrze obznajmiona i doświadczona. Może ten dziennik podany za utwór czwartoklasisty pobudzi w zdolniejszych szlachetną ambicyą dorównania wzorowi; w takim wypadku i błąd artystyczny posłużyłby jako środek wychowawczy.

Z działu powieści zanotować należy nowy utwór znanéj już czytelnikom *Ateneum* autorki p. Teresy Jadwigi p. n. „Szlachetne marzenia.“ Jest-to zbiór pięciu powiastek przeznaczonych dla młodzieży dojrzalszéj. Widać w nich znaczny postęp w stosunku do

prac dawniejszych. Przedewszystkiém nabyła autorka pewności siebie w określeniu charakterów, powtóre w przedstawieniu scen i otoczenia rozwinęła więcéj plastyki, potrzecie wyrobiła sobie jaśniejsze na sprawy życia społecznego poglądy. Pozostała jéj miękkość pewna w rysunku i rzewne usposobienie, które lubuje się prawie w przelewaniu łez przez bohaterki i bohaterów.

Pierwsza z rzędu powiastka, która nadała tytuł całemu zbiorkowi, opowiada o majętnéj niegdyś a następnie zubożałéj rodzinie, żyjącéj z łaski krewnych. Najstarsza córka Anielka, wcześnie bardzo bo w 13-tym roku życia, powzięła piękny zamiar wydobycia się z tego upokarzającego położenia, ażeby i sobie i rodzinie zapewnić jaki taki byt o własnych siłach. Starała się więc najprzód o to, aby się pożyteczną okazała krewnym, u których była; a będąc poważnego usposobienia, hartowała wolę, krzepiła energią i w sobie i w duszy starszéj od siebie kuzynki. Następnie wykształciwszy się na nauczycielkę i dostawszy patent, przy pomocy zacnego obywatela, założyła pensyonat na wsi, mając z początku pięć tylko uczennic. Autorka szczegółowo przedstawia te stopnie, po których przechodzić zwolna musiała bohaterka, zanim doszła do urzeczywistnienia swych „szlachetnych marzeń,“ t. j. do chwili w któréj mogła już zabrać do siebie matkę i dopomagać reszcie rodzeństwa. A z tém właśnie rodzeństwem dużo miała Anielka kłopotów i zmartwień. Nie było w niém tego hartu woli, ani téj chęci do pracy, co w niéj; zamiłowanie próżnowania i zbytków w sercu ich było namiętnością panującą. Z początku utrzymywane przez bogatego wuja, nie uczyło się; następnie po jego śmierci zmarnotrawiło zapis sobie uczyniony. Dopiero bolesny rezultat tego lekkomyślnego życia zwrócił je na drogę pracy. Anielce powiodło się nadzwyczaj szczęśliwie. Przy ratowaniu pogorzelców poznał ją i pokochał syn owego zacnego obywatela, co to dopomógł Anielce do założenia pensyonatu; a zamąż pójście uwieńczyło trudy i cierpienia szlachetnéj marzycielki. Autorka lubi, jak widzimy, hojnie i prędko nagradzać swoich bohaterów; zaznaczyłem to już dawniéj, przy innéj sposobności, powtórzyć muszę i obecnie, że taka bliska perspektywa nagrody nie może się przyczynić do wytworzenia charakterów wytrwałych, energicznych i dzielnych, wielkiém szczęściem oszczędniéj należy szafować w powieści, gdyż ono rzadkiém jest w życiu. Czytelniczkom zapewne się podoba szczęśliwe zakończenie cierpień bohaterki; i przeciwko temu naturalnemu uczuciu trudno cośkolwiek powiedziéć, ale czyż szczęście to ma być koniecznie strojne w dyamenty?

Pod tym względem daleko więcéj prawdy życiowéj przedstawia obrazek p. n. „Późny żal.“ Mamy tu podobne stosunki rodzinne

jak w powiastce poprzedniéj, inaczéj tylko pokombinowane. Rodzina jest niezamożna; matka łożyła na kształcenie się dzieci z kapitału pozostałego po ojcu, tak że go wyczerpała, pozostała tylko skromna emerytura po głowie domu. Syn starszy jest pracowity i oszczędny, własną pracą utrzymuje się w uniwersytecie; córka i syn młodszy mają skłonność do próżnowania i zabaw; córka siedzi w domu przebierając w rozmaitych zajęciach, syn w połączeniu z pewnym kolegą zakłada sklep. Lekkomyślność tych dwojga wprowadza rodzinę w nader krytyczne położenie; zaciągniętego długu niema czém spłacić, komornik zajmuje sprzęty; syn młodszy dla zaspokojenia wierzyciela pożycza od lichwiarza 300 rubli, z których 200 obraca na spłacenie długu, a 100 na przyjemności karnawałowe dla siebie i siostry. Nowy ten dług trzeba uiścić za kwartał; starszy tylko brat myśli o tém zobowiązaniu i odmawiając sobie wszelkiéj rozrywki, z korepetycyj w przeciągu tego terminu zbiera rs. 50, z którem ma się wybrać do domu, rad, że będzie mógł dopomódz tą skromną sumką do uiszczenia się z długu. Wtém nadchodzi list od brata, który mu donosi, że zbankrutował i że musi wyjechać za granicę. Ciężar cały spadł na Władysława: nie pojechał na wakacye, podjął się układania biblioteki w wilgotném mieszkaniu, następnie przyjął parę korepetycyj więcéj, nie jadł, nie spał i—położył się wreszcie do łóżka. Wtedy to dopiero siostra, która przybyła do Warszawy, by wyciągnąć od brata trochę pieniędzy na stroje, posiedziawszy przy chorym parę tygodni, słysząc bezładne jego majaczenia, oskarżające ją o lekkomyślność, doświadczeniem goryczy życia uczuła potrzebę przemiany swego usposobienia, a zrobiwszy dobre postanowienie wytrwała w niém i dopomogła bratu do spłacenia długu, co się stał powodem ledwie nie śmiertelnéj jego choroby. Ani nieprawdopodobieństwa w szczegółach całego wypadku, ani naciągania w sytuacyach, ani tendencyjnego wykrzywiania ludzi dla morału w powiastce téj nie ma; należy ona do wielce udatnych: przedstawienie twardych warunków życia niejednéj czytelniczce przydać się może.

„Giovano Monti“ jest bohaterem innéj powiastki, któréj treść zasadniczą poczerpnęła autorka, jak sama wyznaje, z angielskiego, przystosowawszy ją do zwyczajów naszych własnych. Włoch urodzony z Polki przybywa do szkoły polskiéj, bo tego wyraźnie matka jego od ojca zażądała na śmiertelném łożu. Natura, namiętna i gwałtowna zarówno w złém jak w dobrém, ma usposobienie i uzdolnienie artystyczne i przechodzi przez szereg wahań pomiędzy zachwytem a zobojętnieniem, pomiędzy pracą a hałaśliwą zabawą, dopóki, wsparty radą jednego z rozsądnych kolegów (podobnego typu jak

Władysław w „Późnym Żalu“) nie ustalił charakteru i nie doszedł do celu szlachetnych marzeń, zostając malarzem, którego prace chlubnie wyróżniano. Zarówno życie szkolne jak i późniejsze koleje artysty są z wielką naturalnością skreślone.

Najlepszym atoli utworem w całym zbiorku jest „Stacho.“ Rzecz samę natchnęła zapewne nowella „Janko muzykant;“ w obrobieniu nawet znać ślady jéj wpływu; mimo to nie robi wrażenia ślepego naśladownictwa i tchnie prawdą. Stacho był synem biednéj komornicy. Nauczył się czytać od księdza proboszcza, który zimową porą starał się zajmować kształceniem dzieci swoich parafian. Gdy proboszcz umarł, dziedzic zabrał Stacha do usług dworskich. Dziedzic ten był-to człowiek bardzo uczciwy i bardzo dobry; nikomu źle nie życzył i nikomu źle nie robił; lecz wszystkich traktował z góry i do serdeczności nie przypuszczał nikogo. Gdy się we wsi pojawiła ospa, prosił doktora, ażeby codzień do chorych przyjeżdżał, opłacał cyrulika; rodzinę wysłał do Warszawy, a sam odgrodził się starannie od zetknięcia ze wsią, zakazując dworskim wszelkiéj z nią komunikacyi. Jakim był względem innych, takim i względem Stacha. Nie bił go i bić nie pozwalał; gdy się dowiedział, że chłopak wziął książkę jego syna, ażeby sobie o czarnych ludziach odczytać, sfukał go, ale obiecał mu przywieść z Warszawy inną zrozumialszą i byłby może obietnicy dotrzymał, gdyby mu ją kto przypomniał, ale Stacho nie śmiał, a dziedzic miał o czém inném do myślenia, bo syn jego źle się uczył. Stachowi sprzykrzyło się ciągłe czyszczenie noży i zamiatanie pokoi, a gdy mu matka umarła, wziął pozostałe po wyprawieniu przez sąsiada „uczciwego pogrzebu“ dwa ruble i puścił się pieszo do Warszawy. Gapiącego się i zgłodniałego spotkał majster szewcki, zaprowadził go do restauracyi, z jego pieniędzy zapłacił za siebie i za niego i zabrał go do warsztatu i przyrzekł posyłać do szkoły w niedzielę. Przyrzeczenia dotrzymał, bo Stacho nalegał; ale mu się to nie podobało, że Stacho po nocach siedząc w kominie czyta książki i uczy się; bił go więc nieraz ale niebardzo, tak że namiętnie w książce zakochany Stacho trwał w swych przyzwyczajeniach. Zniecierpliwiło to w końcu majstra; przebudzony w nocy światłem łojówki z komina wpadł w pasyą i pokrwawiwszy chłopca wypchnął go za drzwi na śnieg i mróz. Nazajutrz znaleziono go na ulicy wpół zmarzniętego i odwieziono do szpitala. Chłopak miał do piersi silnie przyciśniętą książkę w czarne płótno oprawną. W szpitalu majaczył; myślą, która spokoju nie dawała, była obawa, żeby mu kto książki nie odebrał. Zmarło biedactwo na zapalenie mózgu. Gdyby zupełnie zbyteczne w kilku miejscach wprowadzanie osobistości autorskiéj usunąć, nie możnaby nic zarzucić temu obrazkowi, może nie z natury wziętemu, ale bardzo prawdziwemu..

Najmniéj natomiast zadawalnia alegoryczna powiastka p. n. „Królowa lilij.“ Te zamki powietrzne, te gołębice i te orlice, ta woda uzdrawiająca i te wszystkie fantastyczne szczegóły nie czynią, zdaje mi się, morału ani jaśniejszym ani skuteczniejszym.

Styl i język wogóle dobry; kilka fatalnych omyłek ortograficznych można na karb korekty zaliczyć (np. rznąć zboże, przyspożyć str. 82, wa*ch*ać, roz*ch*owor 168, ko*r*zuszek, niech mię sąd ukaże str. 49 te, owe zam. to, owo, na *r*ozcie*r*z 259). Podobnież korekta winna, że w jedném miejscu nie ma sensu, bo zamiast: *złego* wydrukowano *z tego* (str. 273), a w inném przybyła znakomitość naukowa równa Millowi i Spencerowi; jest to *Basl* (str. 428). Ale błędy morfologiczne i syntaktyczne chyba już autorka musi przyjąć na swoję odpowiedzialność. Dziś już nie mówi się jak w wieku jeszcze XVI i w *to* nie wątpił (str. 235), zwątpiłem we wszystko (str. 404); a nie mówiło się podobno nigdy: trzydzieści rubli już pobierać nie będę (str. 82); sen spokojny *nim* ogarnął (str. 168), przypomnąć sobie (349); pędzel z palcy się wysuwał (str. 430). Stylistyka zaś nie pochwaliłaby frazesu: *wydarl* się krzyk taki *rozdarty* i taki okrepny (str. 96).

Do małych dzieci zwraca się p. Władysław B. albo Władysław Piast w dwu swoich książeczkach, jednéj wierszem („Matka“), drugiéj prozą („O zmroku“). Pierwszéj, o wiele szczuplejszéj przyznać należy pierwszeństwo nad drugą, o wiele rozciąglejszą. Mowa w niéj jest prosta, zwyczajna, Jachowiczowska; mówi o rzeczach dobrych i pożytecznych, obudza miłość i cześć dla matki, nakazuje posłuszeństwo, odraża od sprawiania jéj zmartwień jakichkolwiek. Wierszyki te nie mają pretensyi do poezyi; autor wie o tém i używa swego talentu dla wzniecania uczuć zdrowych i szlachetnych. Wierszyki są gładkie i zręczne dosyć. Trochę inaczéj rzecz się ma z prozą. Tu autor pozostaje pod przemożnym wpływem języka gazeciarskiego, pełnego cudzoziemczyzny, wyrażeń nowéj fabrykacyi; mówi ciężko i niezrozumiale, sadzi się na oryginalność w pomyśle i obrobieniu. Ten wysiłek znać prawie wszędzie, robi on przykre wrażenie i nie dozwala w zupełności używać rozkoszy, jaką daje prawda i naturalność. Prócz tego w pomysłach samych dostrzedz się dają tu i owdzie rzeczy takie, których uznać za dobre niepodobna. Usposabianie młodych dziatek do wiary w cudowność („Cudowne źródło“), do dewocyi, do pisania listów do Matki Boskiéj, nieudatne alegoryzowanie („Gwiazdka“) nie są-to dążności i objawy pożądane. Najlepsze powiastki są te, które autor wziął wprost z obserwacyi, albo osnuł na opowiadaniach wypadków rzeczywistych. Takiemi są: „Wędrowny dziadek,“ „Antoś Piaskarz,“

„Kłopoty Zosi z Maryankiem,“ „Burek“ „Z życia astronoma.“ Do dobrych należy też obrazek z Andersena naśladowany „Wigilia Bożego Narodzenia.“ „Wypadek na kolei“ byłby bardzo zręczną i dobrą powiastką, gdyby nie ta okoliczność, że bawiące się w kolej dzieci biją się przy sprzeczce po twarzach. Smutna to rzecz, że dzisiaj trochę się zaczyna żałować owych dawnych sentymentalnych powiastek, gdzie to wszystkie albo prawie wszystkie dzieci były wielce ugrzecznione, słodkie, rzewne, potulne; bo doprawdy gdy się przeczyta kilkanaście powiastek Władysława Piasta, gdzie dzieci niesforne, źle wychowane, brutalne nawet przedstawiają się czytelnikom jako objawy powszechne i powszednie, gdzie dla poprawienia dzieci używa się takich kar jak siedzenie w zamkniętym kojcu wobec kolegów: to się robi wielce nieprzyjemnie na sercu. Niedbalstwo stylowe jest znaczne; język poprawny, chociaż znajdują się takie wyrażenia jak: „dwie czy trzy mleczarek“ (str. 123); korekta, pod koniec zwłaszcza, bardzo niedbała: *popiersie* jest rodzaju męzkiego (str. 133), *grudka* także (str. 120), *łezka* zmieniona na łaskę, *niczego* na *niego* itp.

Słów jeszcze kilka o dziełkach wziętych z obcych literatur, przyswojonych naszéj przez Jana Chęcińskiego i Władysława Anczyca. Dziełka te ukazują się mniéj więcéj po latach dziesięciu, w drugiém wydaniu. Dowodzi to ich poczytności a więc i pokupności. Ten ich przymiot powinien był wpłynąć na wydawców w dwojakim kierunku, najprzód powinien się był przyczynić do obniżenia ceny drogich stosunkowo książek, a powtóre powinien był pobudzić do staranności w wydaniu. Ani jedno ani drugie nie znalazło uwzględnienia; ceny pozostały te same co i dawniéj; a wydanie, zadawalniając pod względem papieru, druku a czasami i rycin, wiele szwankuje co do korekty, a niekiedy i stylu. Nie myślę bynajmniéj podawać tu spisu omyłek i błędów, ale na dowód zasadności téj uwagi przytoczę co ważniejsze i bardziéj rażące. W „Duchu Puszczy“ bardzo zajmującém opowiadaniu o walkach kolonistów amerykańskich z czerwonoskórymi, mamy mnóstwo pomyłek literowych i sylabowych, a pomiędzy innemi i następną komiczną. „Skalpem nazywają obcięcie skóry i zdarcie *jaj* z czaszki“ (str. 11). Oprócz owych niespodziewanych jaj na czaszcze warto też zauważyć nieścisłość wyrażenia; to co tam nazwano skalpem, zwykle skalpowaniem się mianuje, gdy skalpem nazywają obciętą i zdartą skórę. Daléj takie wyrazy jak hałas, hałastra, wahać stale są tu drukowane przez *ch*. Ze sposobów mówienia niepolskiemi są: *skończył mówić*, *zwierzył* pułkownikowi swoje zamiary, z żartu i *naśmieszki*, wyruszyli *walczyć białych* (str. 178), *zdawając się* nie troszczyć (str.

208), *wpoił* w niego wzrok (str. 253), *łaknięcie* krwi (str. 265). W „Perłach" znowu znajdujemy takie wyrażenia: *na krańcu* gniazdeczka (str. 22 i prościéj byłoby: na brzegu), *strzeliny* w ścianach (str. 169; zwykle mówimy *szczeliny*), *zachowywali przykładne obyczaje* (str. 187), przybijał deskę *tąż samą* (183 zam. tęż samę), pamiętaj *na* dane słowo (206), zaczęli *od* nich unikać (247) i taki frazes: „gdzie *jéj* mąż ofiaruje jéj utrzymanie" (str. 236). W książce wreszcie p. n. „Młodość sławnych ludzi" spotykamy takie z francuska pisane nazwy jak *Lizimak* zam. Lizymach. *Carrache* zamiast Carraccio; takie niepoprawności gramatyczne jak: nacisk kawałk*u* fiszbinu, uczy się *swoich* lekcyj, takie omyłki jak *zunie* zam. zupełnie, towaszysz, kancylaryi itp. itp.

Wytknęliśmy te błędy szpecące książki skądinąd warte czytania w téj nadziei, że przy nowém wydaniu utworów dawniéj drukowanych, zachowaną będzie w przyszłości większa dbałość o styl, język i korektę. Powodzenie obowiązuje.

P. R.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kontrabanda okowity.—Rezultaty badań komisyi.—Ceny cukru i przemysł cukrowniczy.—Spółki rolnicze. — Magazyny zbożowe. — Drogi wiejskie.— Wybory do zarządów gminnych.—Kilka szczegółów ze statystyki gminnéj.— Obecny stan samorządu. — Pisarze gminni. — Wystawa przemysłowa.— Sprawozdania.—Szkoła rzemiosł. — Stacya doświadczalna maszyn.—Towarzystwo osad rolnych.—Straże ogniowe.—Zjazd górników.

Straty, jakie skarb państwa ponosi skutkiem coraz bardziéj wzrastającéj kontrabandy spirytusu, zniewoliły sfery administracyjne do poważnego zainteresowania się tą sprawą, zbadania jéj przyczyn i obmyślenia środków zaradczych na przyszłość. Specyalna komisya, utworzona w tym celu przy ministeryum skarbu, pracuje nad tém już przeszło od dwóch miesięcy. Ponieważ przemytnictwo okowity rozwinęło się głównie w pasie granicznym Królestwa, przeto prace komisyi mają dla nas szczególne znaczenie. Kontrabanda, jako wynik wysokiéj akcyzy od spirytusu, ciąży na krajowych stosunkach ekonomicznych, tamuje rozwój niejednéj gałęzi przemysłu rolnego, a zarazem oddziaływa ujemnie na stan moralny prostego ludu. Najdotkliwiéj czuć się ona daje gorzelnictwu i hodowli inwentarza wogóle, a sztuk opasowych w szczególności.

W rzędzie przyczyn, wywołujących kontrabandę, na pierwszym planie stoi akcyza. Dawniéj, gdy od stopnia spirytusu płacono 5 groszy akcyzy, w guberniach leżących wzdłuż granicy lądowéj zachodniéj było 1,669 gorzelni, nie znano tam przemytnictwa, skarb zaś otrzymywał z tego źródła 33,800,000 rs. dochodu rocznego. Dziś, gdy gorzelnie muszą opłacać 8 kop. od stopnia spirytusu, liczba ich w tych miejscowościach zmniejszyła się do 459, a ilość dochodów akcyznych została zredukowana do 16,771,440 rs. Przed dwudziestu laty, przy nizkich opłatach skarbowych, ludność miejscowa zużywała 3,779,000 wiader czystego spirytusu, wyrabianego w kraju; dziś konsumcya krajowego spirytusu wynosi tylko 1,786,000 wiader,

lecz za to spożycie okowity szwarcowanéj sięga 2,700,000 wiader. Akcyza więc nie zmniejszyła konsumcyi spirytusu, tylko że dawniéj potrzeby miejscowe zaspakajały gorzelnie krajowe, dziś zaś zaspokajają je zakłady zagraniczne. Straty, jakie ztąd wypływają dla skarbu, komisya oblicza na $21^1/_2$ milionów rubli.

Wobec takich warunków, jakie środki mogą najskuteczniéj ukrócić kontrabandę?

Właśnie na to pytanie zasadnicze komisya nie dała jeszcze odpowiedzi. Niektórzy jéj członkowie odzywali się już niejednokrotnie, że środkiem takim może być tylko przywrócenie dawnéj skali opłat akcyznych, lecz czy słuszne ich zdanie zyska większość głosów jeszcze niewiadomo. Inni znowu uczestnicy obrad utrzymują, że wzmocnienie straży celnéj, pod względem liczebnym, jako téż i lepsze materyalne jéj uposażenie, również skutecznie może położyć tamę dotychczasowym nadużyciom.

W istocie, dzisiejszy stan straży celnéj nie jest zadawalniający, lecz czy reforma téj tylko strony, bardziéj formalnéj niż materyalnéj, będzie w stanie załatwić sprawę ostatecznie? Nie sądzimy, raz dla tego, że przy wysokiej akcyzie kontrabanda będzie zawsze zyskownym procederem dla mieszkańców pasu granicznego, powtóre zaś i dla tego, że przemytnicy, dobrze już wyrobieni fachowo, mniéj więcéj zawsze mogą przełamać trudności kordonowe. Co najwyżéj więc może się zmniejszyć ilość szwarcowanéj okowity, o zupełném jednak zamknięciu dla niéj granicy nie można chyba mówić.

Po części przekonywa nas o tém dotychczasowe doświadczenie komór celnych, wykazujące, że na $^1/_{100}$ część spirytusu przemycanego, zatrzymanego przez straż celną, $^{99}/_{100}$ bez przeszkody dostaje się do kraju. A jednak, w siedmiowiorstowym pasie granicznym konsystuje kilka brygad po 1,200 ludzi w każdéj, oraz kilkuset strażników konnych i pieszych.

Dzisiaj za stopień spirytusu krajowego trzeba zapłacić 10—12 kop., zagranicą zaś tylko 4—5 kop.; podług obliczeń komisyi do spraw kontrabandy, jeden przemytnik jest w stanie zarobić dziennie do 4 rs. Zniesienie podstawy tego wysokiego zarobku najskuteczniéj zapewnie przyczynić się może do ukrócenia kontrabandy.

Kiedy komisya ministeryalna pracuje nad środkami podniesienia przemysłu gorzelanego, petersburskie towarzystwo dla rozwoju przemysłu i handlu zajęło się sprawą cukrownictwa.

Zwolnienie w rozwijaniu się przemysłu cukrowniczego z jednéj strony, z drugiéj zaś podnoszenie się cen cukru, zwróciły uwagę tak samych wytwórców, jak i sfer administracyjnych. Zkąd pochodzi drożyzna cukru, będącego dziś przedmiotem potrzeby ogól-

néj? Takie pytanie postawił, na ostatniém posiedzeniu pomienionego towarzystwa, jeden z obywateli gubernii południowych, p. K. Drzewiecki. W odczycie na powyższy temat wypowiedzianym, p. D. omawiał potrzebę wyznaczenia przez towarzystwo komisyi, któraby ułożyła szczegółowy projekt podniesienia krajowego cukrownictwa. Towarzystwo wniosek ten przyjęło; mamy więc nową komisyą.

Podług najświeższych danych statystycznych, Królestwo posiada 40 cukrowni, których produkcya wynosi blisko 11½ milionów rubli. Połowa tych zakładów (19) znajduje się w gubernii warszawskiéj, reszta zaś funkcyonuje w pozostałych guberniach. Cena zaś cukru u nas reguluje się do cen płaconych w Cesarstwie.

Skutkiem wysokiéj opłaty celnéj na cukier zagraniczny, produkcya krajowa pozostaje bez konkurencyi. Z położenia tego skorzystali spekulanci. Ponieważ ilość cukru wyrabianego w kraju zdaje się nie odpowiadać potrzebom miejscowym, mogą więc podnosić jego cenę aż do wysokości odpowiadającéj cenie oclonego wyrobu zagranicznego. Jakoż rzeczywiście w ostatnich czasach ceny cukru poszły tak w górę, że należy w nich widziéć nie już zwrot kosztów produkcyi, lecz wysoki podatek jakim spekulanci obciążyli ogół spożywców.

Jakie mogą być środki przywrócenia normalnych cen? Jeżeliby ono nastąpić miało drogą obniżki cła na cukier zagraniczny, mógłby stracić na tém krajowy przemysł cukrowniczy, środek więc podobny, przez wielu wskazywany, jest wprawdzie bardzo łatwy, lecz trudno się spodziewać aby go zalecali przemysłowcy, którzy strat własnych przedewszystkiém obawiać się będą.

Pozostaje inna droga—trudna do przebycia lecz do celu prowadząca prosto —podniesienie i rozszerzenie krajowego przemysłu cukrowniczego. Jeżeli bowiem podaż cukru się zwiększy, na rynki miejscowe dostarczana będzie większa niż dotąd jego ilość, wywoła to obniżkę cen, bardzo upragnioną dla spożywców. Na taką też drogę wskazywał p. Drzewieeki.

Mówiąc, że zalecany tu środek jest trudny do wykonania, mamy na myśli głównie brak kapitałów, niezbędnych dla rozwoju przemysłu cukrowniczego; a raczéj brak bogatych kapitalistów, bo ci już bodaj wszyscy mają w cukrowniach swe udziały. Wprawdzie większość cukrowni należy już obecnie do towarzystw akcyjnych, ale o zakładaniu nowych z inicyatywy kapitalistów nie słyszymy już od dość dawna. Koléj więc przychodzi na stowarzyszanie się mniejszych kapitałów i od ich właścicieli wyglądać teraz należy początkowania. Niedawno też „Korespondent Płocki“ podał wiadomość, że grono obywateli gubernii plockiéj zawiązuje spółkę udziałową, któ-

rej celem ma być urządzenie i prowadzenie cukrowni w pobliżu drogi nadwiślańskiéj. Podobnych fabryk ma wkrótce powstać więcéj. Dzienniki prowincyonalne donoszą, że w okolicach obecnie budującéj się kolei miejscowi kapitaliści urządzają trzy cukrownie koło Bzina, Kielc i Radomia.

Wszystko to przekonywa, że powoli zaczynamy odczuwać potrzebę stowarzyszeń. W niektórych okolicach słychać, wprawdzie dopiero o zamiarach, lecz są już i takie powiaty, gdzie miejscowi właściciele wystąpili odrazu czynnie. W Hrubieszowskiem np. zawiązano już dwie spółki handlowe, które postawiły sobie za zadanie sprzedaż zboża i produktów rolnych bez pośrednictwa tak licznych po wsiach kupców i drobnych handlarzy. Stowarzyszenia te już rozpoczęły swoję działalność, zachęcając rolników innych powiatów do naśladownictwa. Właściciele znowu w miechowskiém, proszowskiém i skalmierskiém zamierzają, zaraz po otwarciu kolei dęblińsko-dąbrowskiéj, utworzyć kilka spółek handlowych; ziemianie zaś w gubernii płockiéj, w większości powiatów od kolei odcięci, dysputują teraz na szpaltach swego organu nad tém, jaka forma może być najwłaściwszą dla stowarzyszeń rolniczych....

Jak widzimy, więcéj w tém wszystkiém projektów niż czynu, postęp jednak widoczny, choćby dla tego tylko, że w całym tym ruchu biorą udział sami zainteresowani, prasa zaś odgrywa rolę pośrednika, podczas gdy dotąd prasa była czynną, a rolnicy bierni. Na téj zamianie ról rolnictwo i przemysł mogą tylko wygrać.

Bądź jak bądź rolnicy pierwszy krok już postawili, a postawili z własnéj inicyatywy, można więc ztąd wnosić, że krok ten nie będzie ostatnim. Niech tylko zostaną urzeczywistnione liczne projekty, o jakich wspomnieliśmy, a już będziemy posiadali dość sute grono pierwszych ekonomicznych stowarzyszeń rolniczych.

Badając bliżej omawiany tu ruch asocjacyjny, dostrzegamy u jego podstaw przedewszystkiem cele handlowe. Pod tym względem spółki rolnicze znajdą wielkiego sprzymierzeńca w magazynach towarowych, jakie wkrótce mają powstać na kilku główniejszych stacyach kolejowych. W obecnych warunkach rolnik częstokroć znajduje się w bardzo przykrém położeniu. Potrzeba gotówki nie pozwala mu wyczekiwać dogodnej chwili dla sprzedaży zboża, udaje się więc do małomiasteczkowego bankiera, który nabywa produkt nietylko że tanio, lecz z potrąceniem jeszcze procentu tytułem komisowego, jako pośrednik w handlu, a nie rzeczywisty nabywca. A to ustępstwo zwykle pochłania cały zysk producenta.

Otóż spółki handlowe mają na celu usunięcie rujnującego rolników pośrednictwa. Bezwątpienia, mogą one celu tego dopiąć, cho-

ciaż i w ich praktyce zdarzyć się może niejedna trudność, np. z powodu braku nabywców, jaki w chwilach stagnacyi w handlu zbożowym zazwyczaj czuć się daje. Właśnie w takich wypadkach mogą dać spółkom pomoc skuteczną magazyny kolejowe.

Podług projektu, przygotowanego już przez władze administracyjne, magazyny zbożowe mają być urządzane na stacyach kolejowych większych miast, przez komitety giełdowe lub w braku tychże przez zarządy miejskie. Administracya zaś tych urządzeń ma być poruczona dwom władzom—*radzie*, złożonéj z członków obieralnych i stałych, i pozostającéj pod przewodnictwem osoby, zatwierdzonéj przez ministeryum skarbu, oraz *komisyi rewizyjnéj*.

Natychmiast po złożeniu zboża lub towaru w magazynie, producent otrzyma od zarządu kwit składowy (warrant), który będzie posiadał znaczenie weksli handlowych. Papiery te, jako posiadające wszelkie warunki łatwéj zamiany, a przy prawidłowém funkcyonowaniu magazynów i korzystnéj realizacyi, mogą się znakomicie przyczynić do rozwoju krótko-terminowego kredytu rolnego, o jaki dziś tak trudno.

Powołanie do udziału w zarządzie magazynów przedstawicieli miejscowego kupiectwa, ścisła kontrola w przyjmowaniu towarów i wydawaniu na nie kwitów — dają rękojmię, że magazyny wpłyną na uporządkowanie naszych stosunków handlowych, ułatwią wytwórcom nietylko zbyt produktów ale i kredyt na dostanie kapitału obrotowego.

Jednakże składy towarowe mają być urządzone tylko na większych stacyach kolejowych, których liczba w kraju naszym, na słabo jeszcze rozwiniętej sieci dróg żelaznych, będzie bardzo szczupła. Z natury więc stosunków komunikacyjnych wyniknie; że nie wiele okolic będzie w stanie korzystać z dobrodziejstw nowych urządzeń.

Okoliczność tę winni wziąć pod uwagę głównie rolnicy tych okolic, które nie posiadają dostatecznej ilości dobrze zbudowanych dróg podjazdowych. Komitety drogowe, do których należą nietylko urzędnicy administracyjni, lecz i przedstawiciele większej i mniejszej własności ziemskiej, nie rozwijają pożądanej działalności. Jakkolwiek budowa i utrzymanie dróg mogą się zdawać zbyt wielkim ciężarem dla samych tylko gmin wiejskich, ustawy zaś poborowe stoją dotąd na przeszkodzie pociąganiu ludności miast do współudziału w kosztach; jednak interes rolnictwa tak dużo wygrać musi na ułatwieniu komunikacyi, że ogół rolników powinienby bliżej wziąść tę sprawę do serca, nie uchylać się od składek, a raczéj szukać sposobów przekonania władz rządowych, jak korzystną byłoby dla kraju zmiana

w prawodawstwie, któraby dozwoliła ciężary drogowe rozkładać na mieszczan na równi z wieśniakami.

Nie można całej winy za uchylanie się od składek zwalać na włościan, bo oni, w braku inteligentnego kierownictwa, częstokroć nie pojmują własnego interesu. To też byłoby bardzo pożądaném, ażeby inteligencya wiejska wzięła bliższy udział w zarządzie sprawami gminnemi. Wszak każda sprawa gminna posiada tak ogólne i wszechstronne znaczenie, że wpływem swym nie może ograniczać się na jednym tylko stanie włościańskim, przeciwnie, zazwyczaj oddziaływa na interesy zarówno większej własności, jak i miast sąsiednich. Czy np. może się rozwijać przemysł rolniczy lub przemysł miejski, jeżeli tak folwark, jak i miasto, będą pozbawione dogodnych środków komunikacyjnych, skutkiem obojętności miejscowych gmin na sprawę drogową?

A jednak, pomimo oczywistej wspólności interesów większej i drobnej własności, dotąd u steru spraw gminnych stoi tylko ostatnia.

W chwili gdy to piszemy, powinny się już odbyć w gminach naszych zebrania grudniowe. O ich rezultacie zapewne dowiemy się wkrótce. Dotychczasowa działalność gmin przekonywa, że inteligencya wiejska w słabym jeszcze stopniu interesuje się sprawami samorządu. W braku ścisłych danych nie możemy wniosku tego udowodnić z całą dokładnością, poprzestajemy więc na zaznaczeniu kilku bardziej charakterystycznych szczegółów z naszej statystyki gminnéj.

W 1870 r. liczba wójtów stanu szlacheckiego wynosiła 13,2%, ogólnej ich liczby w Królestwie, w 1871 r. już — 13,6%, w 1872 r. — 14,4%, w 1873 r. — 14,9%; wójtów zaś, obranych z pośród mieszkańców osad, tj. dawniejszych miasteczek, w 1870 r. znajdujemy 8,7%, w 1871 r. — 9,2%, w 1872 r. — 10,8%, i w 1873 r. — 12,1%; statystyka ta przekonywa, że liczba wójtów pochodzenia szlacheckiego i mieszczańskiego stale, lecz powoli wzrastała. Jednocześnie też zmniejszała się ilość wójtów z pośród włościan: w 1870 r. liczba wójtów téj kategoryi stanowiła 78,1% ogólnej cyfry. w 1871 r. — 77,2%, w 1872 r. — 74,7%, a w 1873 r.— 73%. Równolegle z tem wzrastała liczba wójtów piśmiennych w stosunku do niepiśmiennych. Podczas gdy w 1870 r. pierwszych było 60%, w 1871 r. 63%, w 1872 r. 65% i w 1873 r. 66%.

W ostatnich latach cyfry te ogłaszane nie były, nie możemy więc sądzić, czy zwiększanie się liczby wójtów piśmiennych trwa dotąd i do jakich już doszło rezultatów. Z niektórych jednak wiadomości, jakie nas dochodzą z rozmaitych okolic kraju, wnosić by należało że widoczny w latach 1870—1873 r. ruch w stosunkach admini-

stracyi gminnéj dotąd nie ustał i równie powolnie, chociaż równie stale, postępuje naprzód.

Myliłby się jednak, ktoby wójtów pochodzenia szlacheckiego brał zawsze za wójtów z grona większych właścicieli ziemskich. Wprawdzie można spotkać gminy, w których stanowisko wójta zajmuje właściciel folwarku, lecz tych jest tak mało, iż wspominać o nich nie warto. Do rubryki wójtów „pochodzenia szlacheckiego“ wniesiono głównie drobną szlachtę, która otrzymuje mandaty wójtowskie także nie wszędzie, lecz tylko w gminach, przez nią wyłącznie zamieszkałych. Powyższe więc cyfry wójtów ze szlachty odpowiadają zarazem liczbie gmin drobno-szlacheckich. Co się zaś tyczy wójtów, obieranych z pośród mieszczan, to tych jest stosunkowo tak niewielu, iż należy przypuszczać, że są jeszcze bardzo liczne osady, dawniéj będące miasteczkami, które posiadają wójtów z włościan a nie z mieszczan. Przeważna więc większość gmin posiada dotąd, od 1864 r. począwszy, reprezentacyą czysto włościańską, słaby więc rozwój samorządu wiejskiego w znacznéj części tłómaczy się usuwaniem od urzędów gminnych przedstawicieli większéj własności.

Nawet gdyby klasa włościańska była społecznie wykształcona i posiadała w sobie wszelkie warunki samorządu, jakie dać może oświata, nawet wówczas separatyzm stanowy nie byłby pożądanym, a cóż dopiero dziś, kiedy ani oświata, ani uspołecznienie włościan nie dają jeszcze rękojmi rozumnego prowadzenia przez nich spraw gminnych.

Jak korzystny wpływ wywiera inteligencya wiejska i oświata wogóle na rozwój życia gminnego, przekonywują te gminy, w których urzędy wójtów są obsadzone przez ludzi więcéj wykształconych i rozumiejących potrzeby miejscowe. Gminy takie należą do wyjątków, to téż i do wyjątków należą wszelkie objawy szerszéj działalności władz gminnych.

W przeddzień prawie ostatniego terminu wyborów w gminach niektórzy gubernatorowie zwracali uwagę tak zarządów powiatowych, jako téż i samych mieszkańców gmin, na potrzebę bardziéj samodzielnego niż dotąd wyboru przedstawicieli wiejskiego samorządu. Dotąd bowiem, wbrew przepisom ukazu z 1864 r., zarządy powiatowe wywierały presyą, bądź pośrednią, bądź nawet bezpośrednią, na zebrania gminne, skutkiem czego włościanie rzadko bardzo kierowali się przy wyborach i uchwałach własną opinią, oglądając się zawsze na organy administracyi powiatowéj. Ztąd téż samorząd gminy tracił charakter instytucyi samodzielnéj, nie było znać w nim

życia, poczucia własnych potrzeb i ustalonego kierunku; przeciwnie, łatwo było dopatrzéć ruchy mechaniczne, kierowane ręką administracyi.

Że było tak a nie inaczéj, o tém przekonywują władze gubernialne w okólnikach do naczelników powiatów.

Między innemi, okólnik gubernatora łomżyńskiego, zalecając zaprowadzić porządek w formie głosowania, odzywa się do zarządów powiatowych, by te przychodziły z interwencyą na zebraniach jedynie w wypadku bezczynności gminy. Jeżeli np. zebranie nie wybierze pisarza—naczelnik powiatu ma prawo zarządzić nominacyą tego urzędnika.

Téj saméj osnowy okólnik wydany został przez gubernatora lubelskiego.

Pisarz gminny już od dawna odgrywa w oczach publiczności rolę ujemną. Prasa, podając ustawicznie tylko ujemne rysy jego działalności, notując tylko nadużycia, bezwątpienia wpłynęła na wyrobienie śród ogółu sądu jak można najbardziéj niepochlebnego o tym urzędniku gminnym. Czy w rzeczywistości jest równie źle, czy śród ogółu pisarzy nie znajdzie się pewien procent osób, godnie pełniących swoje obowiązki?

Naszém zdaniem, opinia wydała na pisarzy wyrok swój zbyt ryczałtowo. Sami znamy gminy, w których urzędnicy kancelaryjni, pełniąc swe obowiązki od lat kilku i kilkunastu, niczém nie zasłużyli na naganę. A i w toku dyskusyi publicznéj, jaka w r. b. zawiązała się w dziennikach z powodu pisarzy, odzywały się niejednokrotnie bardzo taktowne i jędrne głosy samych zainteresowanych.

„Prasa warszawska"—pisał niedawno w *Kaliszaninie* jeden z pisarzy powiatu łęczyckiego—„w sądach swoich o interesach gminnych, gdyby mniéj zajmowała się szkalowaniem pisarzy, a więcéj gorąco nawoływała obywateli ziemskich do pracy, do wypełniania względem społeczeństwa swego ciężących na nich obowiązków, to w takim razie, napewno moglibyśmy liczyć na rychłe zaprowadzenie ulepszeń w zarządach gminnych. Ale w gronie obywatelstwa zapanowała niczém niewytłómaczona apatya"...

W istocie, dzienniki nasze, w ostatnich czasach gorącéj zajmujące się życiem gminném, częstokroć zdradzały zupełną nieznajomość warunków tego życia. Świeżo np. czytaliśmy przesadne pochwały kilku uchwał gminnych, które szybko zostały uchylone dla swéj niepraktyczności. Jedna z gmin postanowiła karać rózgami wyrostków, wyłamujących się z pod zakazu palenia papierosów, inna znowu obmyśliła kary na drobnych handlarzy wiejskich, za sprzedaż małoletnim wódki, piwa, tytoniu i zapałek. Naturalnie, uchwały te

nie mogły być trwałe. Jedna bowiem przywracała dawno zniesioną karę cielesną, druga znowu ograniczała swobodę drobnego handlu.

W sprawie pisarzy, najsłabszą stroną jest bezwątpienia dotychczasowy sposób ich mianowania. Podług ustawy gminnéj prawo wyboru pisarzy należy do zebrania i tylko w wypadku, gdyby zebranie wyboru tego nie dokonało, prawo to przechodzi wspólnie na wójtów i pełnomocników. Z przywileju tego gminy nasze dotąd rzadko korzystały. Następujące cyfry przekonają nas, w jak słabym stopniu zebrania gminne interesują się wyborem pisarzy. Oto w 1874 r. w ogólnéj liczbie pisarzy 1492, spotykamy zaledwo 9% osób z wyboru zebrań gminnych, 26% z wyboru wójtów w porozumieniu z ławnikami i sołtysami, wysoki zaś procent 65% pisarzy—mianowanych z bezpośredniego rozporządzenia naczelników powiatów. Zdaje się, że stosunki te niewiele się dziś zmieniły, cyrkularze bowiem gubernatorskie zwracają uwagę władz powiatowych, ażeby wybór pisarzy pozostawiały zebraniom gminnym.

Doszło do mojej wiadomości—pisze w okólniku p. gubernator łomżyński—że wybór pisarzy dopełnia się nietylko bez narady wójta z sołtysami, ale nawet wprost przez naznaczenie ich z ramienia zarządu powiatowego. Taki sposób, nieustanowiony przez prawo—czytamy daléj—prowadzi do wcale niepożądanych następstw. Pisarze gminni uważają siebie za urzędników państwowych a wójci w stosunku do nich, stają się niejako podwładnymi.

Charakterystyczne spostrzeżenie! Więc samorząd gminny po 18-tu latach doszedł wreszcie do tego, że w pojęciach włościan wybrany przez nich wójt, gospodarz gminy, staje w hierarchii społecznéj niżéj od swego pisarza, i to nie dla tego że ten ostatni jest piśmiennym, ale że na nim spoczęło zaufanie powiatowego organu administracyi. W tém jedném spostrzeżeniu mieści się téż istotna charakterystyka dotychczasowéj historyi życia gminnego. Jakie przyczyny złożyły się na podobne zdegradowanie instytucyi samorządu w pojęciach samych zainteresowanych? Przedewszystkiém—słaby udział inteligencyi wiejskiéj w sprawach gminnych, w skutek którego samorząd nasz z wszechstanowego, ogólnego, jakim chce go mieć ustawa gminna, stał się wyłącznie włościańskim, a więc jednostronnym i ograniczonym w objawach swéj działalności.

Takim był od początku i takim do dziś pozostał.

Od spraw gminnych przejdźmy na chwilę do miejskich.

Ostatni miesiąc przyniósł nam ważny projekt, który zapewne niebawem zostanie urzeczywistniony,—projekt stałéj wystawy przemysłowéj. Z inicyatywą w téj mierze wystąpiła ruchliwa redakcya

Inżenieryi i Budownictwa. Wystawa ta będzie miała na celu popieranie produkcyi rzemieślniczéj, i w ogóle pracy drobnych przemysłowców. Myśl to arcy pożyteczna, dziś bowiem, gdy przemysł krajowy z każdym prawie dniem olbrzymieje, gdy wielkie przedsiębiorstwa pochłaniają drobne, wystawa przemysłowa może dać skuteczną pomoc drobnemu przemysłowi miejskiemu. Dla osiągnięcia swego zadania, projektowana wystawa zamierza, z jednéj strony—dostarczyć rzemieślnikom modeli, wzorów, instrukcyj, z drugiéj zaś—ułatwić im drogi zbytu. Wytwórcy znajdą na wystawie wzory mogące im służyć do podniesienia przemysłu przez zastosowanie wynalazków technicznych, konsumentom zaś wystawa da wskazówki, gdzie mają zaspokajać swoje potrzeby.

Gdy mowa o rzemiosłach, nie możemy pominąć w tém miejscu ostatniego sprawozdania trzyklasowéj szkoły rzemieślniczéj w Warszawie. Założona w 1879 r., szkoła ta w ciągu trzyletniéj działalności przygotowała krajowi kilkudziesięciu rzemieślników, fachowo i umysłowo wykształconych.

Szkoła daje uczniom dwojakie zajęcie: właściwe naukowe w klasach, i przemysłowo-fachowe w warsztatach szkolnych. Z rzemiosł, wykładanych przez specyalistów, zostały dotąd zaprowadzone: stolarstwo, szewctwo i ślusarstwo, z nauką toczenia i kucia z ognia. Początkowo zaprowadzoném było i krawiectwo, po otwarciu wszakże osobnéj szkoły krawieckiéj, odnośny oddział został zniesiony.

W roku sprawozdawczym zapisało się do szkoły rzemiosł 115 uczniów, w końcu jednak roku pozostawało tylko 93 uczniów, a mianowicie: 70 ślusarzy, 16 stolarzy i 7 szewców. Młodzież, zapisana do szkoły, przybyła z następujących zakładów: ze szkół klasycznych i realnych rządowych 20 uczniów; ze szkoły technicznéj 1; z warszawskiéj szkoły miejskiéj 4; z zakładów prywatnych 42; ze szkółek elementarnych i ochron 14; z edukacyi domowéj 34 uczniów.

W liczbie 115 uczniów, znajdowało się dzieci i urzędników 55, rzemieślników 20, kupców i przemysłowców 16, rolników 14, oficyalistów 6 i kapitalistów 4.

Sutą wiązankę sprawozdań, z jakiemi zwykle w tym czasie występują rozmaite instytucye krajowe, rozpoczyna sprawozdanie dyrekcyi wyścigów konnych z wystawy czerwcowéj inwentarza i przedmiotów mających związek z chowem koni. Pomijając w niém to, co już dawniéj było wiadomem z doniesień dziennikarskich, zatrzymamy się tylko nad projektem urządzenia przy Muzeum rolnic-

twa i przemysłu stałéj stacyi oceny maszyn, z którym wystąpiła do dyrekcyi wyścigów delegacya, sądząca konkursa gospodarcze. W poparciu swéj myśli, wspomniana delegacya przedstawiła stosowne motywy.

Rolnicy, przy kupowaniu maszyn i narzędzi gospodarskich, kierują się przeważnie wskazówkami powierzchownemi bez zbadania użyteczności maszyny. To też często się zdarza, że kosztowna maszyna nie przynosi spodziewanych korzyści. Otóż celem zapobieżenia na przyszłość podobnym wypadkom, komisya wystawowa projektuje otworzyć stacyą próbną narzędzi rolniczych, na wzór istniejącéj już z powodzeniem stacyi takiéj przy towarzystwie rolniczém w Halli.

Stacya miałaby na celu ścisłe wypróbowanie działania, trwałości i kosztów pracy wszelkich tak nowych, jak ulepszonych narzędzi i maszyn rolniczych. Rezultaty czynności stacyi byłyby ogłaszane w oddzielnych sprawozdaniach, podających szczegółowe informacye o pewném narzędziu lub maszynie, tak, ażeby już na podstawie takiego sprawozdania rolnik był w stanie osądzić, o ile opisywana maszyna może być dla niego pożyteczną. — Dobry to projekt zapewne, obawiamy się tylko, czy w urzeczywistnieniu swojém nie napotka on znacznych trudności. W Halli, gdzie istnieje z jednéj strony towarzystwo rolnicze, z drugiéj zaś instytut rolniczy przy miejscowym uniwersytecie, stacya oceny maszyn ma byt zapewniony, bo ma na miejscu liczny zastęp specyalistów i techników, lecz w Warszawie kto będzie próbował maszyny? Delagacya tak chciała temu zaradzić.

Z powodu trudności znalezienia odpowiednich sił specyalnych w jedném miejscu — czytamy w sprawozdaniu — stacya musiałaby się składać z członków, rozrzuconych po kraju. Członkowie musieliby być zapraszani już to z mieszkańców Warszawy, już to z gospodarzy wiejskich, w rozmaitych okolicach mieszkających. Delegacya spodziewa się, że członkowie pełnić będą swoje obowiązki honorowo, a fabrykanci bezpłatnie będą wysełać swoje maszyny dla wypróbowania na wieś, do każdego z członków stacyi kolejno. Sposób przezwyciężenia trudności dość skomplikowany, potrzebuje on ciągłego czuwania, a zatém kierownictwa instytucyi stałéj; może się okaże skutecznym, jeżeli projekt stacyi weźmie w swoję opiekę Muzeum rolnictwa i przemysłu, od którego też decyzyi zawisła teraz cała jego przyszłość.

Drugie z kolei sprawozdanie — Rocznik towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, podaje interesujące szczegóły do sprawy znanego legatu hr. Kickiego. Znaczne dobra ziemskie i wogóle cały majątek zapisany na rzecz towarzystwa, w chwili objęcia

legatu przez zarząd instytucyi w marcu 1881 r. pozostawał w takim stanie, że od tego czasu aż do dziś dnia towarzystwo było zajęte jedynie uporządkowaniem hipoteki, zaprowadzeniem administracyi, przedewszystkiém zaś wypełnieniem wszystkich formalności sądowych, jakie legat nastręczył.

Towarzystwo weszło już w posiadanie dóbr Orłowskich z folwarkiem Dworzyska w lubelskiém, dóbr Rzyczki w powiecie rawskim w Galicyi, domu i placów na przedmieściu Pradze, oraz drobnych kosztowności, zdeponowanych w Banku polskim do dalszéj decyzyi komitetu towarzystwa.

Ponieważ Rada, zawiadująca zapisem, a powołana do téj czynności przez towarzystwo, sporządziła już szczegółowy inwentarz spadku, zaprowadziła jego administracyą i dokonała ostatecznego przejęcia majątków z rąk egzekutorów testamentu na rzecz instytucyi, przeto należy się spodziewać, że zapis Kickiego zostanie wkrótce wykonany w główněj swéj części, dotyczącéj wzorowych urządzeń gospodarskich, rolnictwa, leśnictwa i ogrodnictwa oraz wzorowych instytucyj celem podniesienia dobrobytu, moralności i oświaty śród miejscowéj ludności.

Przygotowawcze w téj mierze kroki zostały już podjęte. Sprawozdanie podaje projekt pierwszych działań do wprowadzenia w życie zapisu, podany komitetowi towarzystwa osad rolnych przez opiekuna—administratora zapisu, p. Ant. Białeckiego.

Podług tego projektu, urządzenia, jakie miał na myśli zapisodawca, mają być wprowadzane stosownie do warunków i potrzeb miejscowych. Zgodnie z tém, projektodawca żąda ażeby w dobrach Orłowskich, obejmujących 105 włók ziemi ornéj i 95 włók lasów zostały otwarte następujące urządzenia: gospoda chrześciańska ze sklepem spożywczym, dwie szkoły elementarne, oraz warsztaty przemysłowe, stolarskie i kolodziejskie, wreszcie, ażeby rozpocząć przygotowania celem urządzenia w Bartoszewie, folwarku do dóbr orłowskich należącym, szkoły agronomicznéj, na którą wyraźnie wskazuje testament Kickiego.

Co się zaś tyczy dóbr Rzyczki w Galicyi, projekt zwraca uwagę na potrzebę odbudowania tu zupełnie dziś zrujnowanego kościoła i założenia szkoły ludowéj.

Projekt ogranicza się na teraz dwoma wspomnianémi majątkami, inne bowiem nieruchomości bądź pozostają jeszcze w dzierżawie, bądź zostały oddane w czasową administracyą.

Legat Kickiego przekazał towarzystwu tak znaczne dobra, że wzorowe urządzenia, jakie mają tu być zaprowadzone, wpływem swym obejmą zapewne nietylko ściśle miejscowe stosunki. Poważna

działalność towarzystwa osad rolnych, w którego zawiadywaniu urządzenia te będą pozostawały, daje dobrą rękojmię ich rozwoju wszechstronnego.

Na zakończenie przeglądu sprawozdań pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia kalendarz *Strażak*, będący organem wszystkich w kraju istniejących towarzystw ochotniczéj straży ogniowéj. Myśl téj publikacyi podjęła przed dwoma laty straż piotrkowska i dzięki energicznemu zajęciu się urzeczywistnieniem projektu, mamy już drugi rocznik. *Strażak* zawiera szczegółowe wiadomości o pojedyńczych towarzystwach, oraz informacye dla chcących zakładać podobne urządzenia ochotnicze. Należałoby w przyszłych tomikach rozwinąć dział informacyjny, bo tylko dokładne traktowanie téj części sprawozdań może przyczynić się do liczebnego rozwoju towarzystw.

Bacząc na niedaleki stosunkowo czas w jakim zaczęły powstawać u nas straże ogniowe — najstarszą jest straż kaliska, założona w 1864 r.—przyznać trzeba, że na polu środków samopomocy przeciwko tak silnéj u nas klęsce pożarów, zrobiliśmy już dość wiele. Dziś w Królestwie funkcyonuje 63 towarzystw straży ogniowych. Liczba to nie wystarczająca jeszcze, bo wszak samych miast posiadamy 115, a przecież i w rzędzie osad znajdą się takie, których mieszkańcy mogą dostarczyć potrzebnych sił dla zawiązania straży ogniowych.

W ostatniéj kronice podnieśliśmy sprawę zamierzonego zjazdu górników świeżo zaś dzienniki doniosły, że ministeryum dóbr państwowych już zatwierdziło program tego zjazdu, który ma się odbyć w Warszawie, w d. 30 stycznia r. b.

Podług tego programu, zjazd górników w Królestwie ma się zająć następującemi sprawami: 1) jakie środki mogą rozszerzyć zbyt opału mineralnego w Królestwie Polskiém; 2) jakie środki są zdolne podnieść w Królestwie produkcyą wyrobów z surowca, żelaza lanego i stali; 3) jakie środki mogą rozwinąć w Królestwie kopalnie cynku i ołowiu; 4) środki, potrzebne do założenia szkoły sztygarów, wreszcie 5) kasy emerytalne i urządzenia pomocnicze dla ludności górniczéj.

Szkic takiego właśnie programu podawaliśmy w ostatniéj kronice.



Wydawca, W. Spasowicz.—Redaktor Piotr Chmielowski.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Lutego 1883 r.

---

1. **Uwagi o prawnéj stronie równouprawnienia narodowości** w Austryi, p. *Stanisława Starzyńskiego.* Lwów 1883. str. 99.
2. **Z dziwów przyrody,** I. Potop. Szkic przyrodniczo-filozoficzny. Skreślił *Erazm Majewski.* Wydanie drugie, nakład autora. Warszawa 1883 (str. X i 150).
3. **Dr. Jan Scherr.** Historya literatury Powszechnej, przekład *Br. Zawadzkiego.* T. II zeszyt trzeci. (Warszawa 1883 str. 321—480).
4. **Wydawnictwo T. T. Jeża.** Herbert Spencer. Szkice filozoficzne. Warszawa 1883 (str. 210).
5. **Wspomnienia dawnego studenta,** p. *Stanisława Sobieskiego.* Warszawa u Lesmana i Swiszczowskiego (1883 str. 84).
6. **J. W. Goethe.** Faust, przekład *Józefa Paszkowskiego.* Wydanie redakcyi „Przeglądu Polskiego“. Kraków 1883.
7. **Ad. St. Naruszewicz.** Wybór poezyi z dołączeniem kilku pism prozą. Warszawa u S. Lewentala 1883 (str. XXVIII i 508).
8. **Górnictwo i Hutnictwo.** Krótki wykład historycznego i technicznego rozwoju górnictwa i hutnictwa *dr. Adolfa Gurlta,* przełożył *Wincenty Kosiński.* Warszawa u Gebethnera i Wolfa. 1883 (str. IV i 218).
9. **Materyały do etnografii górali bieskidowych,** zebrał *dr. Władysław Kosiński.* Część pierwsza. II. Kraków 1882 (str. 105).
10. **Straduję.** Komedya w jednym akcie *Zofii Mellerowej.* Warszawa u T. Paprockiego. 1883.
11. **Siedmiolecie szkoły głównéj Warszawskiej** 1862—1869. Wydział prawa i administracyi. Notatki do historyi szkół prawa w Polsce p. *Aleksandra Kraushara.* Warszawa i Kraków. Gebethnera i Wolfa 1883 (str. 279).
12. **Anglo-Polisch Lexicon by** *J. J. Baranowski.* formerly Under Secretary of the Bank of Poland in Warsaw, Lesmanne and Swiszczowski. Warsaw 1883 Copy right reserved.
13. **Leon i Laib.** Studyum religijno-społeczne, napisał *Hilary Nussbaum.* Warszawa 1883.
14. **Teorya prawa wahadłowego,** wynikającego z powszechnej dwoistości w przyrodzie. Napisał *Wandalin Habdank* (*E. Szpaczyński*) na dochód kasy pomocy naukowéj imienia Józefa Mianowskiego. Wilno 1882.
15. **Krzysztofa Warszewickiego** niewydane pisma. Listy do znakomitych ludzi, tudzież inne dokumenty, zebrał i wydał Teodor Wierzbowski. Warszawa u Bergera 1883 str. 276.
